

JAK RZĄD POWINIEN TRAKTOWAĆ OPOZYCJĘ

Rafał A. Ziemkiewicz odpowiada
Jackowi Żakowskiemu



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 50/557 11-17 GRUDNIA 2023
CENA 9,90 zł (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

Kulisy wojny na Ukrainie,
czyli jak Kijów
wykiwał Warszawę



FENOMEN
PAWŁA HUELLE

Międzynarodówka
antykościelna w akcji

Wszystkie twarze Mateusza Morawieckiego

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



Nakład: 52 000 egzemplarzy

eprasa.pl 9b7ea0e038

LOTNISKO
WARSZAWA-RADOM

Z RADOMIA NA WYSPĘ SŁOŃCA

KOMFORT NA STARCIE

CYPR JUŻ OD 13 GRUDNIA

SPRAWDŹ NA NEKERA.PL



NEKERA



Zachęta do podrzynania gardeł



PAWEŁ LISICKI

Co do tego, że ukraińska kontrofensywa się nie powiodła, zgadzają się obecnie wszyscy. Jedni utrzymują, że winni są sami Ukraińcy, bo nie docenili przeciwnika i podawali zbyt optymistyczne informacje o swoich sukcesach na froncie. Inni mówią, że za wszystko odpowiada państwa Zachodu, bo nie dotrzymały słowa i nie dostarczyły na czas odpowiedniej ilości sprzętu. Można się spodziewać, że dyskusja ta będzie trwać jeszcze długo.

Dla mnie najciekawsze są na razie te ustalenia, które przytoczył w swoim niedawnym raporcie „Washington Post”. W artykule z 4 grudnia „Błędne obliczenia, podziały cechowały ofensywne plany USA i Ukrainy” autorzy przedstawili dogłębną analizę ostatnich miesięcy wojny. Oparli się przy tym na rozmowach z 30 wysokiej rangi oficerami i urzędnikami z USA, Ukrainy i państw Zachodu. Wiele wypowiedzi jest anonimowych, ale autorzy ręczą za ich wiarygodność. Co wynika z ich śledztwa?

Po pierwsze, tak Stany Zjednoczone, jak ich sojusznicy byli zaangażowani w wojnę na Ukrainie w stopniu nieporównywalnie większym, niż można to sobie było wcześniej wyobrazić. Przygotowaniu ukraińskiej ofensywy służyły częste spotkania (co najmniej osiem) i planowanie gier wojennych pod przewodnictwem USA. Można odnieść wrażenie, że przynajmniej w pierwszej fazie operacji to Amerykanie wręcz dowodzili.

Po drugie, to właśnie oni byli stroną bardziej aktywną i pracą do ataku. „Pentagon chciał, żeby natarcie zaczęło się w połowie kwietnia, żeby uniemożliwić Rosji wzmacnianie swoich pozycji. Ukraińcy się wahali, twierdząc, że nie są gotowi bez dodatkowej broni i szkolenia”. Amerykańscy

oficerowie zalecali zatem frontalne uderzenie na Rosjan i twierdzili, mimo że nie dostarczyli Ukrainie obiecanej broni, iż w ten sposób wojska Kijowa dotrą do Morza Azowskiego i odetną armię rosyjską w ciągu od 60 do 90 dni.

Autorzy tekstu przyznają, że amerykańscy oficerowie się mylili, jeśli chodzi o ocenę sił Rosjan – lekceważyli ją i byli pewni swego. Podobnie nie zważali na wątpliwości ukraińskie. „W miarę jak przybliżał się termin ofensywy, przywódcy ukraińscy wyrażali obawy, że ich wojsko poniesie katastrofalne straty – natomiast dowódcy amerykańscy wierzyli, że ostatecznie wynik będzie taki sam, jeśli nie dojdzie do decydującego ciosu”. Nie bardzo rozumiem, jak miał być taki sam, jeśli to właśnie działania zaczepne powodują nieporównywalnie większe straty.

Można to powiedzieć inaczej: Amerykanie gotowi byli podejmować nieporównanie większe ryzyko niż Ukraińcy. Nie ukrywali, że ich zamiarem jest rozbicie Rosjan. To być może najbardziej szokujący fragment artykułu: „Podczas jednej z wizyt w Wiesbaden Milley [głównodowodzący wojsk USA, gen. Mark Milley] rozmawiał z członkami ukraińskich sił specjalnych – którzy współpracowali z amerykańskimi Zielonymi Beretami – chcąc ich zainspirować do działań na terenie kontrolowanym przez wroga. »Ani jeden Rosjanin nie powinien iść spać bez pytania się, czy w środku nocy nie zostanie mu poderżnięte gardło« – mówił Milley według urzędnika obecnego przy tym zdarzeniu. »Macie tam wrócić i działać za liniami przeciwnika«. Tak na wszelki wypadek przypomnę: to są słowa amerykańskiego generała do ukraińskich komandosów, których namawia on do, ni mniej,

ni więcej, podrzynania gardeł wrogom w nocy.

Żeby była jasność: rozumiem, że okrucieństwo jest częścią każdej wojny. Jednak sytuacja, w której to tego rodzaju nauki głosi Ukraińcom przywódca armii amerykańskiej, która nie ponosi w starciu z Rosją żadnego ryzyka, jest co najmniej dwuznaczna moralnie. Czytając tekst w „Washington Post”, miałem nieodparte wrażenie, że dla Amerykanów Ukraińcy byli jedynie pionkami na wielkiej szachownicy, które można było swobodnie poświęcać w imię wyższego celu, a mianowicie osłabienia Moskwy. Dlatego z taką skwapliwością Amerykanie zachęcali do ataku i działań dywersyjnych, zupełnie nie licząc się z możliwymi retorsjami wroga. Do złudzenia przypomina to zachęty byłego ministra obrony Wielkiej Brytanii Bena Wallace’a, by obniżyć wiek poboru dla Ukraińców.

A zatem całość ryzyka brali na siebie Ukraińcy, a Amerykanie i Brytyjczycy nie tylko dyrgowali działaniami wojskowymi Kijowa, lecz także – jak wynika z wielu raportów dyplomatycznych – zdecydowali o zerwaniu negocjacji pokojowych z Rosją. Ktoś może powiedzieć, że Ukraińcy i tak nie mieli wyboru, bo zostali napadnięci i musieli się bronić. To prawda tylko częściowo. Mieli bowiem wybór, czy zaczynać ofensywę i tracić dziesiątki tysięcy żołnierzy czy nie. Dokonali go, bo zaufali swoim anglosaskim doradcom, którzy właśnie dlatego, że nie chodziło o ich własnych żołnierzy, wykazywali się bezprzykładną brawurą. Trudno nie uznać, że prezydent Wołodymyr Zełenski – bo to on ostatecznie ponosił odpowiedzialność za decyzję o ofensywie – popełnił tragiczny błąd. ©



TEMAT TYGODNIA

18 JAN FIEDORCZUK
**WSZYSTKIE TWARZE
MATEUSZA MORAWIECKIEGO**
Premier następcą prezesa?

KRAJ

22 ŁUKASZ WARZECHA
UDERZANIE KOMISJAMI
Polityczny teatr

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WŁADZY NIE ODDAMY NIGDY

30 ZUZANNA DĄBROWSKA
ZAKOCHANI W SOBIE

32 ROZMOWA Z DR KATARZYNĄ RATKOWSKĄ
ZMOWA MILCZENIA

34 ŁUKASZ ZBORALSKI
W IMIĘ DZIECI

KULTURA

36 PIOTR GOCIEK
CHRISTMASOTERAPIA
Świąteczne filmy sezonu 2023

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 LECH MAŻEWSKI
WYGRAĆ REFERENDUM RATYFIKACYJNE
Polska wobec zmian w Unii

47 ROZMOWA Z PROF. MARKIEM KORNADEM
**LIBERAŁOWIE I KOMUNIŚCI
PRZECIWKO KOŚCIOŁOWI**

HISTORIA

50 ADAM HLEBOWICZ
ODMIENNE SZLAKI
Paweł Huelle 1957–2023

ŚWIAT

54 MACIEJ PIECZYŃSKI
JAK UKRAIŃCY WYKIWALI POLSKĘ
Kulisy dyplomatycznej klęski Warszawy



58 PIOTR SEMKA
**INDOHOLENDZCY
– ZAPOMNIANY NARÓD**

EKONOMIA

62 JACEK PRZYBYLSKI
WYROČNIA BEZ KONFUCJUSZA
Recepta na bogactwo i długowieczność

64 JAKUB WOZINSKI
GIEŁDOWY SKANDAL

STYL

72 JOANNA BOJAŃCZYK
FUTERAŁ, CZYLI DOM POLSKI
Cztery ściany w PRL

**TYGODNIK LISICKIEGO
DO
RZECZY**
ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiękiewicz
STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski,
Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Buksele),
Tomasz Cukiermilk, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarniecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert
PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska,**
Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk,
Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sierkowski, Łukasz Zygańdo
STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
 Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
 Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczak-Stefaniak
RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
 Okładka: **Jacek Bednarczyk, Darek Delmanowicz/PAF**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

 Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

 Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

 Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmppg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
 prenumerata@pmppg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
 pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
 ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez **RUCH SA:**

 Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
 składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

 e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
 Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
 w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
 © © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Powtórka z historii?

Pod fałszowanymi wyborach z 19 stycznia 1947 r. PPR rozpoczęła ostateczną rozprawę z jedyną znaczącą partią opozycyjną, czyli PSL Stanisława Mikołajczyka. Znamienne, że faktycznie likwidująca demokrację w Polsce PPR ukryła się pod nazwą Bloku Demokratycznego, w którego skład wchodziły później jej przybudówki, jako stronnictwa demokratyczne. Współcześni partyjniacy z dawnych partii opozycyjnych, w tym totalsi, również zawłaszczyli dla siebie atrybut demokratyczności. To niejedyna analogia do końca lat 40. Związek Sowiecki, rozkazami Stalina, narzucił wtedy tzw. krajom demokracji ludowej ujednolicanie ich ścieżek rozwojowych, w tym wejście na tory gospodarki centralnie kierowanej. Unia Europejska jeszcze nie jest jego odpowiednikiem. Oby się nim nie stała.

Z poważaniem
Andrzej Przyemeński,
 emerytowany profesor UEP

Podziękowania dla red. Pawła Lisickiego

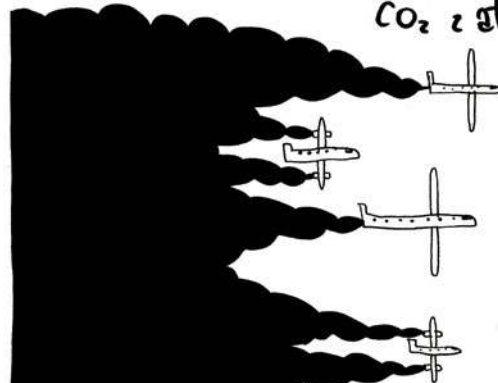
Szanowny Panie Redaktorze, [...] chciałem Panu bardzo serdecznie podziękować za książkę z roku 2013 pt. „Kto zabił Jezusa”. A dlaczego dziękuję? Otóż dzięki jej lekturze zacząłem się bardziej interesować Pismem Świętym. Korzystałem z różnych rekolekcji, co niedzielę uczęszczałem do Kościoła, ale do tej pory było to jałowe tak na zasadzie spełnienia obowiązku.

Dzięki Pańskiej książce otrzymałem coś, czego nie da się kupić. To zainteresowanie Biblią, Panem Jezusem, a w szczególności poszczególnymi Ewangeliąmi. Może więc zacząć się interesować obecną sytuacją w Kościele? (tj. np. „Świat i Kościół w kryzysie”).

Wracając jeszcze do książki „Kto zabił Jezusa”. Przyznam, że książka jest bardzo trudna. Część rozdziałów musiałem czytać przynajmniej dwa razy, sięgać do Internetu w celu wyjaśnienia niektórych pojęć oraz musiałem pozakreślać wiele miejsc w książce, aby później do nich wrócić. Ale przeczytanie tej akurat książki ma sens właśnie wtedy, jeśli przeczytamy ją dokładnie i ze zrozumieniem.

Reasumując: dziękuję, Panie Redaktorze, że otrzymałem od Pana coś, czego właściwie nie można kupić: bardzo mocne umocnienie w wierze, dziękuję za argumenty w dyskusji z przeciwnikami wiary. Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Zwietniające na szczyt klimatyczny w Dubaju setki prywatnych odtworców despotarcko abstrakcyjnego CO₂ z atmosfery



c e z a k y z k y j z t o n d



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Wiatrakowanie

Po wybuchu pierwszej afery koalicji PO-Trzecia Droga-Lewica można już pokusić się o oceny zachowania jej liderów w sytuacji kryzysowej.

Po pierwsze, nowy marszałek Sejmu, Szymon Hołownia, to polityk raczej na dobrą pogodę. Zajęty budowaniem swego wizerunku nie potrafił znaleźć dobrego sposobu na zmierzenie się z kłopotliwą sprawą. Jeżeli Hołownia nie wiedział, jakie kontrowersje niesie ze sobą ustawa, pod którą podpisali się liczni członkowie klubu Polski 2050, to fatalnie świadczy to o nim jako liderze ugrupowania. Jeśli wszystko wiedział, to znaczy, że zlekceważył sprawę albo uznał, że kontrowersyjne zapisy „ujdą w tłoku”. A gdy już awantura wybuchła, zwołał na prędce konferencję prasową wraz z Donaldem Tuskiem, na której zaprezentował styl „o co się czepiacie, jak coś w ustawie jest nie tak, to przecież poprawimy”. Gdy prokuratura przyjęła zawiadomienie od posłów PiS o możliwym działaniu lobbystów, zareagował agresją.

Po drugie, siostrzane partie zaczęły traktować projekt ustawy

wiatrakowej jak gorący kartofel. Najpierw posłanka Paulina Hennig-Kloska chętnie przyznała się do niego, ale gdy wybuchł skandal, politycy Polski 2050 zaczęli głosić, że był to projekt Platformy.

Po trzecie, przy okazji całej sprawy przypomniał o sobie Grzegorz Schetyna. „Trzeba przeprowadzić jakieś wewnętrzne śledztwo, które odpowie na pytanie, skąd się ten projekt wziął”, mówił. I dalej: „To na pewno musi zostać zrobione na poziomie szefów klubów – tych, którzy koordynują współpracę legislacyjną. Ona musi się opierać na elementarnym zaufaniu”. Schetyna dał do zrozumienia, że przynajmniej fragmenty ustawy podrzucili posłom jacyś tajemniczy ludzie z zewnątrz. Lobbyści? A jeśli tak, to kto kontrolował cały ten proces?

Po czwarte, wskrzeszono używany w latach 2007–2014 przekaz medialny pt. „Donald nic nie wiedział; jak się dowiedział, to się wściekł”. Ten model reagowania pokazuje, jak bardzo zagubione były w całej tej sprawie władze koalicji. Przy okazji wysłano kolejny przeciek mający gasić pożar. Ogłoszono, że zmałały

szanse Pauliny Hennig-Kloski na Ministerstwo Klimatu. Ale po kilku dniach ta deklaracja była już nieaktualna, nie wymierzono nawet takiej nieoficjalnej kary.

Piąty wniosek. Do Sejmu weszło wielu posłów, którzy są na Wiejskiej po raz pierwszy. W wypadku Polski 2050 to wręcz 60 proc. klubu. W naturalny sposób tacy posłowie narażeni są na pokusy ulegania atrakcyjnym ofertom lobbystów. Czy istnieją jakieś mechanizmy zapobiegające zacieraniu się granicy między polityką a korupcją?

Afera z wiatrakami boleśnie wyrwała Szymona Hołownię z upojonego początku marszałkowania. A główna bohaterka skandalu Paulina Hennig-Kloska poniewczasie postanowiła przejść do kontrataku: „Uważam, że przygotowaliśmy bardzo dobrą ustawę, która wymaga jedynie doprecyzowania przepisów w pewnych obszarach, by rozwiązać wątpliwości co do naszych intencji”.

Jak się okazuje, w sytuacjach kryzysowych nowa koalicja bardzo szybko sięga po pewność siebie i polaryzację my – oni. Polska polityka znowu wróciła w stare koleiny. ©



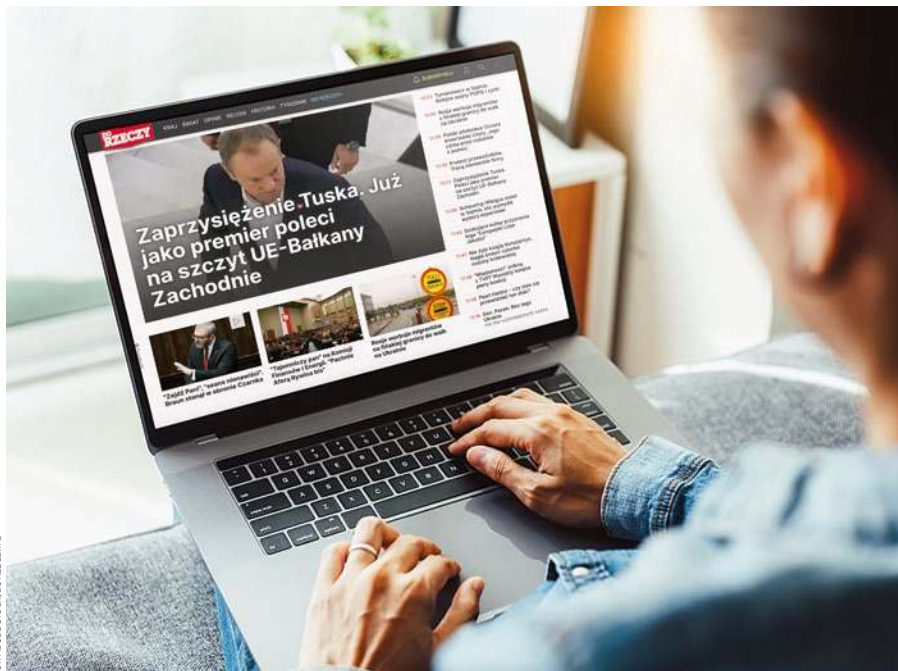
FOT. JACEK HEROW/GAZETA POLITYKA

KOMENDANT SZYMCZYK ZREZYGNOWAŁ ZE STANOWISKA

Generał Jarosław Szymczyk zrezygnował w czwartek ze stanowiska Komendanta Głównego Policji. Objął je kwietniu w 2016 r. Był więc najdłużej urzędującym komendantem głównym policji od czasu transformacji ustrojowej. Przy okazji jego odejścia media przypomniły o eksplozji granatnika na zapleczu gabinetu komendanta w 2022 r. ©

Kolejny rekord portalu DoRzeczy.pl

Blisko 4,4 mln użytkowników odwiedziło w listopadzie portal DoRzeczy.pl – wynika z danych Gemiusa. To rekord naszego serwisu. Przełożyło się to na 34,2 mln odsłon portalu. Dla porównania: serwis tvp.info odwiedziło w ubiegłym miesiącu 2,3 mln osób, tysol.pl – 1,9 mln, wpolityce.pl – 1,9 mln, niezalezna.pl – 1 mln, a tvrepublika.pl – 0,7 mln. W przypadku liczby odsłon nasz portal również uzyskał sporą przewagę nad pozostałymi serwisami. Wpolityce.pl zanotowało 28,5 mln odsłon, niezalezna.pl – 26 mln, tvp.info – 18,7 mln, a tvrepublika.pl – 2,8 mln. Wyprzedziliśmy również serwis wprost.pl, który w listopadzie miał 29,6 mln odsłon. – Cieszymy się z tych wyników, bo pokazują, że Polacy sięgają po sprawdzone informacje. Czytelnicy znajdują u nas różne punkty widzenia i to się na pewno nie zmieni – mówi szef portalu DoRzeczy.pl, Karol Gac. ©



FOT. ADAM STOK / DO RZECZY.PL

NEKROLOG

NEKROLOG

Szanownemu Panu

**Ireneuszowi
STACHOWIAKOWI**

wyrazy szczerego współczucia oraz żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają

**Minister Sprawiedliwości Prokurator Generalny
Marcin Warchoń**

oraz

**b. Minister Sprawiedliwości Prokurator Generalny
Zbigniew Ziobro**

Miłość nigdy nie ustaje

*Rektorowi-Komendantowi
Akademii Wymiaru Sprawiedliwości
doktorowi Michałowi Sopińskiemu oraz Jego
Rodzinie z powodu śmierci ukochanej babci*



Pani Kazimiery Sopińskiej,

*która w dniu 4 grudnia 2023 r. dołączyła w wieczności
do swojego zmarłego 16 lipca 2023 r.
wspaniałego męża **Jana Sopińskiego**,*

*składamy kondolencje oraz wyrazy głębokiego
współczucia.*

Cześć Jej pamięci

*składają współpracownicy
i cała Społeczność Akademicka
Akademii Wymiaru Sprawiedliwości*



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Coś trzeba dać

Idzie nowe – tyle że stare. Konkretnie mam na myśli nowe ministerstwa. Jednym z nim ma być ministerstwo do spraw równości – po to, żeby było czym obdzielić feministkę Katarzynę Kotulę. Bo feministki też trzeba czymś w rządzie nowego-starego premiera obdzielić, a trudno powierzyć im poważny resort.

Tworzenie fejkowych ministerstw pod potrzeby personalne to stara praktyka Donalda Tuska. Nigdy dość przypominania, jak sporkurował taki niby-resort „do spraw wykluczonych”, żeby wyciągnąć z szeregów SLD wschodzącą gwiazdę tego ugrupowania – Bartosza Arłukowicza. Z dnia na dzień młody gniewny krytyk rządów PO został w PO ministrem i z racji okazanej

niezlomności swych zasad robienia kariery okazał się dla Tuska bardzo cennym nabytkiem, z czasem nawet dostał prawdziwe ministerstwo po Ewie Kopacz (na której jako działacz SLD nie zostawiał suchej nitki) i gorliwie kontynuował jej dzieło. A wcześniej, przypomnijmy, wymyślił Tusk „ministerstwo korupcji” (to znaczy wszystkie właściwie zasługiwały na to miano, ale to akurat miało z korupcją walczyć), żeby wyciągnąć z kręgu PiS Julię Piterę i razem z drugim „przekręconym” PiS-owcem wystąpić z nią na plakacie wyborczym.

Z podobnych powodów, żeby dać lewicy coś, ale nic ważnego, zapowiedziano też podział resortu edukacji na ministerstwa edukacji niższej i wyższej, będzie też

ministerstwo do spraw seniorów, w drodze zapewne ministerstwo do spraw młodzieży. Może nawet osobne do spraw nastolatków i młodzieży starszej?

Nie lubię mówić „a nie mówiłem”. Ale co mam powiedzieć, że jeśli PO nie dać Boże wróci do rządów, to cała Polska będzie wyglądać jak miasto stołeczne Warszawa pod Trzaskowskim: gdzie kasa, tam Kierwińscy i Karpińscy, a życiem mieszkańców niech się bawią wariaci od zakazywania samochodów i likwidowania dróg i parkingów oraz wariatki od zmieniania ronda Dmowskiego na rondo Aborcji i alei Jana Pawła II na „ofiar” Jana Pawła II. Coś im trzeba przecież dać. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Tylko Wy

Białystok i Legnica, Chełm, Wrocław i Rybnik, Nysa, Ostrów Wielkopolski i Elk, Płock, Kościerzyna i Kalisz. We wszystkich tych okręgach wyborczych w ostatnich wyborach do Senatu kandydaci PiS i Konfederacji uzyskali więcej głosów od wybranych senatorów opozycji.

Nie wiadomo, w jakim stopniu te głosy by się zsumowały, wiadomo natomiast, że efekt niespójności w mniejszym albo w większym (!) stopniu skompensowałyby efekt jednoci. To drugie jest hipotezą bardzo mocną, bo wyniki wyborów pokazują, że prawicy najłatwiej byłoby wspólnie wygrywać tam, gdzie opozycję reprezentowała lewica. To wyraźny znak oporów, z jakimi

umiarkowani zwolennicy PSL czy nawet PO głosowali na radykalnych kandydatów swej senackiej koalicji.

Nawet jeśli zupełne odwrócenie wyniku wyborów do Senatu byłoby trudniejsze niż cztery lata temu (wtedy było bardzo łatwe), to z pewnością można było bardzo osłabić pozycję radykalnej lewicy w koalicji i samą współpracą senacką budować wzajemne zaufanie, które przydałoby się choćby dla dodania powagi inicjatywie „trzeciego rządu Morawieckiego”.

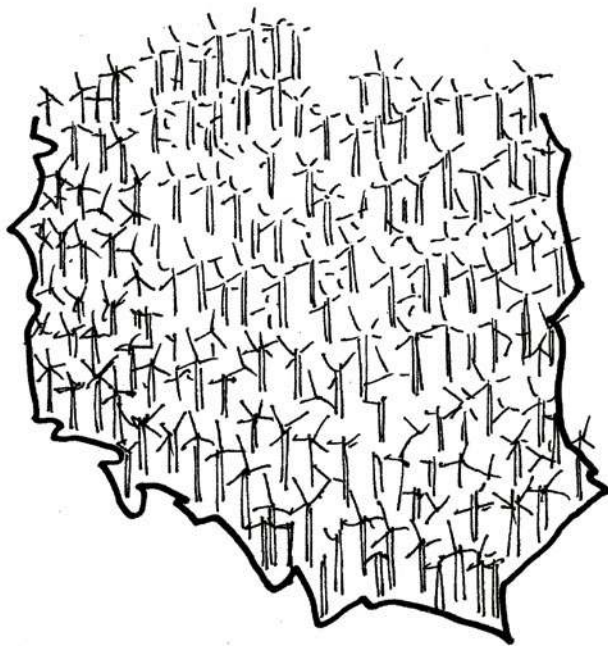
A kto tego nie chciał? Z pewnością liderzy. PiS i Konfederację dzieli wiele, a szczególnie to, co ich łączy: ideologia „tylko my”.

Ale to nie tylko wina liderów. Na początku sierpnia ogłosiłem

na Twitterze prosty apel: „Oczywista reakcją na pakt senacki opozycji powinno być porozumienie w sprawie wyborów do Senatu Prawa i Sprawiedliwości oraz Konfederacji”. Apel, dzięki komentarzom, stał się ciekawym eksperymentem socjologicznym. Okazało się, że najbardziej zapaleni zwolennicy PiS i Konfederacji z wielką ochotą będą walczyć – ze sobą.

Niestety, wybory to nie tylko wyznaczanie optymalnego rządu czy wzmacnianie siły własnych postulatów wobec tych, z którymi trzeba będzie potem współpracować. To również rytuał tożsamościowy, pozwalający „poczuć się razem”. Demokracja, po prostu, ale czy – Rzeczpospolita? ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Polska
2050



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Allahu Akbar

Dyrekcja stoczni w Monfalcone pod Triestem wymyśliła, że o wiele taniej będzie zatrudniać migrantów niż Włochów. Powierzyła organizację przedsięwzięcia sieci pośredników, którzy zajęli się wszystkim, z mieszkaniem socjalnym dla przybyszów włącznie.

Dziś w 30-tysięcznym Monfalcone mieszka ponad 9 tys. obcokrajowców, w większości muzułmanów z Bangladeszu. Niebawem autochtoni będą mniejszością. Islamskie kobiety rodzą czworo- pięcioro dzieci, a Włoszki, jeśli już, zaledwie jedno. W szkołach dzieci przybyszów to już niemal 70 proc. uczniów, często gnębiących swoich włoskich kolegów. Poza tym rocznie z Bangladeszu przybywa ok. 700 osób w ramach łączenia rodzin.

W Monfalcone powstały trzy ośrodki integracyjne, ale zieleń pustką. Przybysze omijają je szerokim łukiem, bo o wiele bardziej odpowiadają im kultura, obyczajowość i religia, które przywieźli ze sobą. Banglijczycy pozamykali swoje żony w domach. Na ulicach pojawiają się same jedynie z okazji zakupów albo odbierając dzieci ze szkoły. Wieczorem, gdy towarzyszą mężom, podążają o metr z tyłu. Włoskiego nie znają. Spośród kilku tysięcy islamskich kobiet w Monfalcone pracuje zaledwie siedem. Często 14-, 15-letnie dziewczęta wyjeżdżają do Bangladeszu na wakacje i wracają do domu jako mężatki. Naturalnie mąż Banglijczyk rządzi w domu twardą ręką. W dwóch przypadkach pobite żona i córka zdobyły

się na odwagę i poszły na policję. Sędziowie w Trieście sprawców uniewinnili z powodu „specyficznego dziedzictwa kulturowego”. Mieli rację. Oto cytat z podsłuchanej konwersacji dwóch Pakistańczyków w Trieście: „Kobieta nie jest gorsza od zwierzęcia, ale dobrze jest trzymać ją w domu jako niewolnicę”.

Co na to włoskie feministki? Nic. Walczą z patriarchalnym systemem Italii, którego emanacją ma być Giorgia Meloni, o integrację migrantów i oczywiście o wolną Palestynę.

Naturalnie atak Hamasu na Izrael muzułmanie w Monfalcone przyjęli z entuzjazmem. Udali się z flagami palestyńskimi pod największy kościół, wrzeszcząc: „Allahu Akbar”. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

U GESSLER JAK ZA ZBOŻE

Boże Narodzenie tuż-tuż, a więc czas na absurdalnie wysokie ceny produktów markowanych przez celebrytów. Jak co roku świąteczną żywność można kupić u restauratorki Magdy Gessler. I jak co roku ceny powalają... W łódzkiej restauracji Polka za kilogram pierogów zapłacimy 92 zł. Podobnie za kilogram uszek. Bigos od gwiazdy TVN to koszt rzędu 96 zł za kilogram, a taka sama ilość sałatki warzywnej kosztuje 58 zł. Barszcz z uszkami



FOT. MATEUSZ JAGIELSKI/EAST NEWS

to 26 zł za 350 ml. Dla koneserów ryb Magda Gessler przygotowała 150-gramową porcję śledzia w oleju w cenie 30 zł oraz dorsza po grecku za 42 zł. Ceny kilogramowych porcji ciast zaczynają się od 90 zł. Drogo? Za jakość i nazwisko trzeba płacić. Tak przynajmniej uważa córka restauratorki, Lara. W jednym z wywiadów wyjaśniła, dlaczego ceny za garmażerkę w „Polce” są tak wysokie. – Zaczniemy od inflacji – to jest taka główna rzecz. My za-

wsze po prostu korzystamy ze składników superjakości, więc to jest podstawa do tego, żeby to kosztowało tyle, a nie mniej – przekonuje Lara, która sama zajmuje się gotowaniem. Córka gwiazdy TVN dodaje, że przecież nikt nie zmusza nikogo do zakupu. – Ja cały czas mówię, że ani ja, ani mama nie jesteśmy zaborcze na wiedzę w żaden sposób, wszystkimi przepisami się dzielimy. Więc jeśli ktoś uważa, że jest za drogo, to może to sobie zrobić sam. Natomiast jeśli ktoś nie ma czasu, umiejętności, no to w razie czego my jesteśmy po to, żeby po prostu pomóc – podkreśla. „Po prostu pomóc” – w cenie 96 zł za kilogram. To jednak nie koniec wyjaśnień. – No na pewno, oczywiście, mama nie po to pracowała na swoją markę przez tyle lat, żeby kasować tyle samo, co ludzie, którzy dopiero zaczynają [...]. Jej praca, jej rozwój rok po roku to jest gigantyczna inwestycja [...]. Ona też utrzymuje się na rynku bardzo długo, to też ją kosztuje dużo nerwów, dużo zdrowia i dzięki temu zarobiła sobie na nazwisko, które jest w tej chwili marką i daje jej tytuł do tego, żeby ustalić wyższe ceny – podsumowała Lara Gessler. Smaczniejsze!

MOŻE ŚWIECZKĘ?

„Luksusowy kalendarz adwentowy premium, a w nim: świece zapachowe, woski zapachowe i kosmetyki. Kosztuje aż 699 zł!” – ogłosiła youtuberka „Glam Paula”, która zajmuje się otwieraniem coraz bardziej popularnych kalendarzy adwentowych. Filmy te biją rekordy popularności, a Paula jest uznawana za „królową kalendarzy adwentowych”. Youtuberka otworzyła przed kamerami kalendarz przygotowany przez firmę Angeliki Trochonowicz vel „Andziaks”, którą na Instagramie obserwuje milion osób. Jako rasowa celebrytka Trochonowicz uruchomiła kilka lat temu własny biznes. Sprzedaje świece i inne zapachowe gadżety. W tym roku, podążając za trendami, przygotowała adwentowy produkt. – Sam proces zakupu i wysyłki leżał. 7 listopada złożyłam zamówienie na dwa kalendarze adwentowe na kwotę 948 zł i przyszły one niestety po 23 dniach. W Internecie było wiele filmików od osób, które dostały ten

kalendarz, a osoby, które kupiły, wydają się być traktowane niesprawiedliwie – narzeka w swojej recenzji „Glam Paula”. Po przeleżeniu cen świeczek i wosków umieszczonych w kalendarzu okazało się, że całość jest mocno przeplaconą, a do tego niezbyt dobrej jakości. – Nieładny, dziadkowy zapach świece, niepełnowymiarowa świeca. Znikomy zapach wosku – stwierdziła youtuberka. – Jest po prostu nieopłacalny. 699 zł to dużo – podsumowała Paula. Okazało się, że pani „Andziaks” źle znosi krytykę i po prostu zablokowała na swoich mediach społecznościowych recenzentkę kalendarza. Można i tak.

WIELKI COME BACK

Świetna wiadomość dla fanów kiepskich reality show. Szykuje się nowe, z trzeciogowymi celebrytkami w rolach głównych. Informacja jeszcze świetniejsza – wśród nich „najsłynniejsza Polka w Bollywood”, czyli Natalia Janoszek. Natalce, jak widać, nie zaszkodziła wielka akcja demaskatorska przeprowadzona przez Krzysztofa Stanowskiego, która ujawniła, że jej rzekoma wielka kariera w Indiach to jedna wielka ściema. – Chwilę mnie tutaj nie było, ale większość spekulacji, jak to z plotkami bywa, była nietrafiona – ogłosiła w instagramowej relacji. – W końcu mogę wam zdradzić prawdziwy powód mojej nieobecności. Już pod koniec grudnia będziecie mogli zobaczyć mnie w nowym programie „Królowa przetrwania”. Bez telefonu, bez wygód, w środku dżungli – dodała Janoszek. O komentarz w sprawie powrotu celebrytki do polskiego show-biznesu został poproszony nie kto inny, jak Stanowski. „Sądzę, że skoro nie spłonęła ze wstydu do tej pory, to dla mnie jest już Królową Przetrwania i powinno się jej przyznać ten tytuł z góry, bez konieczności udziału w jakimś programiku TV” – stwierdził w rozmowie z portalem shownews.pl. Dziennikarz życzył też „powodzenia”, zarówno Natalii, jak i stacji, która ją zatrudniła. „Każdy dzisiaj wie, kogo dokładnie i gdzie ogląda, sytuacja jest klarowna i o to chodziło. Prawda została ujawniona, teraz niech każdy robi z tą prawdą, co chce” – podsumował. Prawda prawdą, a biznes musi się kręcić. ©



Dbamy
o wartość
polskiego
pieniądza



nbp.pl

Narodowy Bank Polski
informuje:



NARODOWY BANK POLSKI

**JAKO JEDEN
Z PIERWSZYCH**
rozpoczął walkę z inflacją



**WSZYSTKIE
DZIAŁANIA NBP
SĄ ZGODNE
Z PRAWEM**

i spełniają najwyższe standardy
międzynarodowe



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, widzieliśmy jakieś zestawienie, iż Polskie Linie Lotnicze LOT należą do najlepszych linii lotniczych na świecie. Na początku mieliśmy trochę bekę, że to pewnie taki sam czempion jak Orlen czy inna Izera, ale potem przyszła do nas refleksja.

Otóż wiecie, czyją zasługą jest to, iż LOT tak wspaniale sobie radzi na tle globalnej konkurencji? No czyją? No wiadomo – Donalda Tuska.

Może pamiętacie, jak kilka lat temu nasz prawie że premier powiedział coś w stylu, iż nie można bezwarunkowo ratować LOT-u tylko dlatego, że to LOT i ma piękną tradycję.

I teraz co? Od wypowiedzenia tych słów minęło 10 lat, LOT rozkwitł i – jak wiadać – potrzebował takiego motywacyjnego kopa, iżby odbić się od dna i zacząć prawidłowo prosperować.

Gdyby nie słowa pana Tuska, pewnie nic takiego by się nie wydarzyło. To jest właśnie, kochani, potęgą takiego pozytywnie wzmacnianego motywowania. Inaczej LOT latałby sobie teraz między Rzeszowem a Krakowem.

Of kors wciąż jest sporo do nadrobienia, iż w rzeczonym rankingu LOT został wyprowadzony przez niemiecką linię Eurowings. A zatem wciąż jest sporo do nadrobienia – np. ostatnio, jak lecieliśmy LOT-em na zagraniczną konferencję, to dostaliśmy drożdżówkę. Może więc czas

na jakieś carpaccio z buraka, kielki sushi czy coś. Lufthansa natomiast podaje dystygowaną kostkę czekolady, jednak co klasa – to klasa, a nie jakieś drożdżówki.

Jak tam w ogóle, kochani, radzicie sobie z neutralnym światopoglądowo przygotowaniem do Winter Holidays?

My wciąż czekamy, po pamiętnym fiasku z roku 2021, na jakieś wytyczne,

znacznie chrześcijańsko-religijny charakter tych wakacji. Pamiętajcie, iż każde eventy w waszym korpo, typu ubieranie choinki, łamanie się opłatkiem, wręczenie sobie prezentów czy śpiewanie kolęd i pastorałek, powinny odbywać się w sposób neutralny światopoglądowo, bez obecności przedstawicieli Kościoła, najlepiej gdyby udało się wam zaprosić przedstawicieli innych kultur i religii.

Of kors, jeśli tylko będziecie mieli taką ochotę, możecie też zorganizować sobie dekonstrukcję tradycyjnej wigilii – zastępując te wszystkie barszcze i pierogi jakąś tufoczną, smażonym seitanem czy sałatką z jarmużu, łez i smutku.

Co więcej, możecie pójść nawet na pasterkę, ale oczywiście w kontekście ironiczno-etnograficznym, iżby na własne oczy przekonać się, jak wyglądają relikty średniowiecznych tradycji przeniesione żywcem do centrum Europy w XXI w.

A wracając do prezentów – nie zapomnijcie o tym, iż nie mogą być one w żaden sposób nacechowane płciowo, a więc jeśli skarpetki, to rozmiar uniwersalny, a design unisex, iżby nikogo nimi nie urazić!!! ☺☺

Już wiedtugo roz pocznie się wyptata
teparacji Niemcom za krzywdy doznane
w wyniku tżg dów
Zjednoczonej Prawicy
w Polsce...



Ł. x y 12 TOP d x e u d t c i n w a t c h o l

dzięki którym będziemy w stanie rozmawiać z rodziną i ze znajomymi na temat wszystkich tych winterholidayowych zwyczajów w sposób neutralny i inkluzywny, nie wyłączając nikogo z możliwości celebrowania tego, zgodzimy się tu wszyscy, wyjątkowego okresu w roku.

Przed wszystkim, co pewnie wiecie, należy zdecydowanie unikać nadużywania sformułowań sugerujących jedno-

Ale, Sławek, to nie jest przecież żaden rzęch, to jest bardzo porządne volvo.

To ja tak prywatnie wiem. Ale sorry, to jest polityka. Tesle se kup. Ta, jasne. Żeby mi wytykali, że mnie stać na zabawkę za trzysta koła.

To sprzedaj volviaka, zrezygnuj ze służbowego i zacznij jeździć zbiorkomem.

Zwariowałeś?! Ciągłe bym się spóźniał. Poza tym nie będę się przecież z tą tłuszczą gniotł.

To na rower wsiądz.

Ty za okno wyjrzyj. Minus pięć i śnieg leży. Trzeba być walniętym, żeby na rowerze jeździć.

To już nie wiem. To se helikopter kup. O, widzisz, teraz z sensem gadasz. ☺☺

Łukasz Warzecha

PODSŁUCHANE

Zbiorkomem z tłuszczą

Rafał, musisz zmienić ten samochód. Nie możesz tym rzęchem jeździć, jak wprowadzasz strefę i walczysz z blachosmrodami.

OD RZECZY

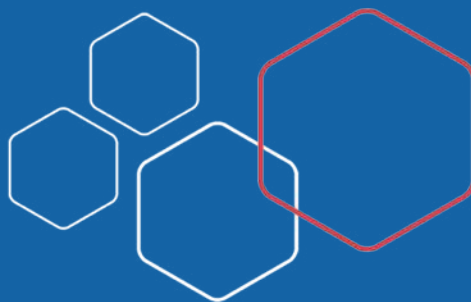
„Tusk, znany także jako jastrząb w sprawie Rosji”.

PHILIPP FRITZ, warszawski korespondent niemieckiego dziennika, w „Die Welt”

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO



RODZINA
800+



Od  1 stycznia 2024 r.

Sprawdź na gov.pl/rodzina 

dwaj panowie g

Pieski los, dopiero co człowiek został ministrem, a już przyszedł czas pożegnania. Jednak niektórzy ministrowie trzeciego rządu Mateusza wcale się nie kwapili do przeprowadzki do ministerialnych gabinetów. I tak np. Paweł Szefernaker, choć mógł wziąć gigantyczny gabinet po swoim poprzedniku Mariuszu Kamińskim, postanowił dalej urzędować tam, gdzie urzędował – w znacznie skromniejszym gabinecie wiceministra. Nie mógł natomiast zrezygnować z przydzielonej mu ochrony SOP. Bo do tego trzeba zmiany ustawy.

Tak naprawdę nawet w samej Zjednoczonej Prawicy mało kto przejmował się tym, który minister gdzie urzęduje. Niemal całą uwagę wszyscy skupiają na manewrach przed wyborami samorządowymi i europejskimi. A tu ciekawa pułapka. Wiele zależy od tego, jaką datę samorządowych wskaże prezydent Andrzej Sebastian. Byłe nie za późną. Tak się bowiem składa, że druga tura samorządowych może wypaść już po ostatecznej dacie zamykania list do wyborów europejskich. A to by oznaczało, że nie da się kandydować w jednych i drugich, dla zwiększenia szans na jakąkolwiek robotę.

Są chlubne wyjątki. Mateusz mężnie mówi, że do Brukseli nie chce. Podobnie Głiński. Ale np. Sasin czy Rau widzą się w fotelach europosłów. Jest problem, bo nawet potencjalni kandydaci na prezydentów dużych miast woleliby Brukselę. Na przykład Kacper Płażyński: Nowogrodzka namawia go, żeby walczył o Gdańsk, a on woli Europę. Ukuliśmy w związku z tym hasło: „Płażyński nie chce umierać za Gdańsk”.

Ważna wiadomość dla młodych oraz dla kobiet. Idźcie czym prędzej do PiS. Z woli szeregowego posła znanego także jako Naczelnik partia ma bowiem przejść daleko idącą rekonstrukcję. Szczególnie intryguje nas sprawa młodości. Z tego, co pamiętamy, Naczelnik za młodego uważa każdego młodsze- go od siebie, więc drzwi do kariery mogą otworzyć się szeroko dla wielu Polaków i Polek. Ponadto uważa też, że młodzi generalnie nie są za mądrzy i muszą się jeszcze długo uczyć. I uważał tak jeszcze przed ostatnimi wyborami.



Wkażdym razie nie żartujemy, wielkie trio skierowane do organizacji wielkiej konferencji sił patriotycznych planowanej na styczeń usłyszało, że teraz podstawa to młodzi i kobiety. Owego trio, jeśli jeszcze nie słyszeliście, to Głiński, Czarnek i Rau. Przewidujemy szturm młodych (i kobiet) na konferencję, jakiego jeszcze nikt w Polsce nie widział.

Pamiętacie, jak pisaliśmy, że dowiedzieliśmy się, dlaczego szef ABW nie został mianowany generałem, mimo złożenia takiego wniosku przez szefa MSWiA? No więc sprawdziliśmy. Zdawało się, że kandydaturę utrupił pałac Andrzeja Sebastiana, ale byliśmy w mylnym błędzie. Sprawę osobiście uważył premier Mateusz. Teraz, kiedy wybuchała afera z brakiem rekomendacji ABW dla atomowej spółki Orlenu z Michałem Sołowowem, nawet domyślamy się, dlaczego Wacławek nie spodobał się w rządzie, a dokładniej – dlaczego nie spodobał się w Orlenie.

Jeśli ktoś mówi, że Jacek Kurski zbiegł przed karzącą ręką sprawiedliwości za granicę, to jest wrednym kłamcą. Kura nie Giertusk i choć nie łapie się na immunitet, to odwiedził starą ojczyznę. Był nawet widziany tu i ówdzie w Warszawie. Jeśli bylibyśmy opozycją, która zaraz będzie koalicją rządzącą, poczulibyśmy lekki niepokój

Szybko poszło. Zły Donald z Sopotu jeszcze nie został premierem, a już „się wściekł”. Młodszym czytelnikom naszej rubryki wyjaśniamy, że za poprzednich kadencji Peło był to ulubiony chwyt Donalda. Kiedy tylko w rządzie wybuchała jakaś afeta, pokemonki Tuska leciały do mediów powiedzieć, że „Donald się wściekł”. Formuła „dobry car, tylko bojarzy źli” to w końcu sprawdzona metoda rządzenia. Zwłaszcza u wyznawców resetu.

Czy wypada się wściekać żywemu świętemu? A przecież Donald jest najbardziej wpływowym człowiekiem Europy, nadzieją centrystów całego kontynentu, a w dodatku pracuje kilkanaście godzin na dobę, tym czasem podli dziennikarze mu przeszkadzają, próbując zadawać jakieś pytania. Oto świat wedle tzw. poważnych mediów, od Politico do Wirtualnej Polski. Młodszym czytelnikom naszej rubryki wyjaśniamy: to dopiero początek, nawet jeszcze nie wiecie, z jaką świetlistą postacią macie do czynienia. I jak niezależne potrafi być dziennikarstwo.

Tymczasem Grzegorz Nikt Ważny Schetyna (sorry, ale musieliśmy mu zmienić ksywę po frajerskim zesłaniu do Senatu) ogłosił, że Radek Sknerus Sikorski to dobry kandydat na ministra od zagranicy, gdyż jest dużą postacią. Przypomniało nam to słynną anegdotę napoleońską. Kiedy Bonaparte nie dał rady sięgnąć po mapę leżącą na szafie, jego generał rzekł: „Sire, pomogę, jestem większy”. „Nie większy, tylko dłuższy” – odparł Bonaparte.

Wielkie zainteresowanie naszych czytelników wzbudziła informacja o tym, że za zmianą traktatów w europarlamencie polscy czerwoni i różowi głosowali ręką w rękę z Alesandrą Mussolini, wnuczką sławnego Benita. Chcielibyśmy przybliżyć tę postać (Alessandry, nie Benita). Otóż Alessandra zasłynęła w swoim kraju z głośnego hasła: „Lepiej być faszystą niż pedałem”. Po latach zmieniła zdanie i jest dziś gorącą orędowniczką LGBT+. Co zmusiło nas do refleksji nad losem takiego np. Romana Giertuska. Jeśli naprawdę chce być kochany na salonach, to ma jeszcze kawałek drogi do przejścia. ©

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH

KULISY GŁOŚNYCH SPRAW I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE RELACJE

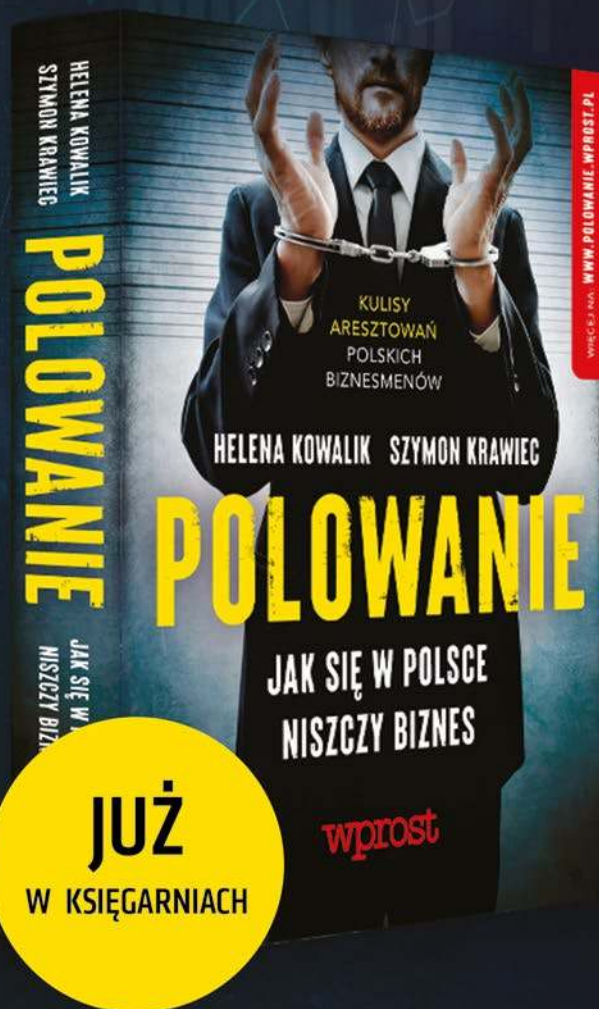
ROZMOWY Z EKSPERTAMI I LUDŹMI
Z WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD 500 NAZWISK I FIRM

AUTORAMI SĄ DOŚWIADCZENI
DZIENNIKARZE ŚLED CZY

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.



Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL



Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt
+48 539 953 631, +48 508 040 664

PARTNERZY:



Comparic.pl



BRIEF

Dofinansowania 2023.

Cykl wyścigów
kolarskich MTB
cross country
o Koronę Króla Węgier
Jana Zápolyi

Koncert Oratorium
In memoriam
János Esterházy

Film
dokumentalny
o prof. Wacławie
Felczaku

Opracowanie
3 innowacyjnych
app-booków
do nauczania w szkołach
podstawowych
o Węgrzech

Polski przekład
tomiku wierszy
węgierskiego poety
Gézy Gyóniego

Organizacja
pieszego wyścigu
szlakami kurierskimi

Wymiany
młodzieżowe
i wyjazdy
sportowe

Dwujęzyczna
wystawa
o Izabeli
Węgierskiej

Wystawa
prac artystów
z Polski i Węgier

Warsztaty
teatralne

Publikacja
artykułów
o wybitnych
węgierskich
postaciach

Międzynarodowy
Festiwal Muzyczny

Cykl wydarzeń
upamiętniających
postać
prof. Wacława
Felczaka

Rajd rowerowy
dla dzieci i młodzieży

Film dokumentalny
o ochotnikach
węgierskich
w Wojsku Polskim

Polska Muzyka
Filmowa
na Węgrzech

ViaCarpatia
Network

Wystawa
upamiętniająca
postać
Pála Telekiego



INSTYTUT
WSPÓŁPRACY
POLSKO-
WĘGERSKIEJ

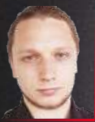
IM. WACŁAWA FELCZAKA

Ogłoszenie o konkursie otwartym

na wnioski w sprawie finansowania lub dofinansowania przedsięwzięć podejmowanych na rzecz współpracy polsko-węgierskiej w 2024 roku

Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka – na podstawie § 2 ust. 2 pkt 2 Rozporządzenia Prezesa Rady Ministrów z dnia 14 listopada 2018 roku w sprawie finansowania lub dofinansowania przez Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka przedsięwzięć podejmowanych na rzecz współpracy polsko-węgierskiej (Dz. U. 2018 r., poz. 2168), ogłasza, że w dniu 15 grudnia br. ogłoszony zostanie konkurs otwarty na przedsięwzięcia podejmowane na rzecz współpracy polsko-węgierskiej w 2024 roku na następujących warunkach:

1. Wnioski należy składać w trybie i na warunkach określonych w *Regulaminie udzielania w trybie konkursu otwartego przez Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka finansowania lub dofinansowania na przedsięwzięcia podejmowane na rzecz współpracy polsko-węgierskiej*.
2. Wniosek składa się elektronicznie za pośrednictwem generatora wniosków dostępnego od dnia zamieszczenia ogłoszenia o naborze. Formularz do wypełnienia wniosku znajduje się pod adresem: www.wnioski.kurier.plus.
3. Regulamin, o którym mowa w pkt 1 i wzory załączników udostępnione zostały na stronie Instytutu: <https://kurier.plus/node/3098>
4. Wniosek można złożyć na przedsięwzięcia realizowane nie wcześniej niż od dnia **5 marca 2024 roku** i nie później niż do dnia **1 listopada 2024 roku**.
5. Wnioski będą przyjmowane **do 15 stycznia 2024 roku do godziny 12:00**.
6. Lista przedsięwzięć priorytetowych pojawi się na stronie www.kurier.plus



Jan Fiedorczuk

Mateusz Morawiecki podczas sześciu lat na stanowisku premiera dowiódł, że ma wiele twarzy. Tak wiele, że trudno dociec, kiedy widzimy jego prawdziwe oblicze, a kiedy jedynie kolejną maskę. Czasem pozował na suwerennościowca, innym znowu razem – na zwolennika unijnej integracji. Czasami pokazywał twarz wolnorynkowca, kiedy indziej – etatysty. Jakże właściwie ma poglądy oraz w co zmieni się PiS, jeżeli to on zostanie następcą Jarosława Kaczyńskiego?



Już po przegranych przez PiS wyborach Mateusz Morawiecki udzielił głośnego wywiadu portalowi Interia, w którym stwierdził, że zawsze był zwolennikiem kompromisu aborcyjnego. „Wniosek do Trybunału Konstytucyjnego w tej sprawie był błędem” – ocenił premier. To prawda, że Morawiecki nigdy nie deklarował się jako zwolennik zaostreżania przepisów, niemniej powyższa deklaracja jest interesująca z dwóch powodów: po pierwsze, lider obozu, który głosi walkę z lewicowo-liberalnym mainstreamem, umywa oto ręce od być może największego zwycięstwa, które polscy konserwatyści odnieśli w sferze społeczno-kulturowej w ostatnich dekadach; po drugie, mówi to człowiek, który przejmując fotel premiera w 2017 r., przekonywał, że jego marzeniem jest „rechrystianizacja Europy”.

„Niestety, w wielu miejscach nie śpiewa się kołęd, kościoły są puste i są zamieniane na muzea. To wielki smutek” – deklarował w Telewizji Trwam. Trudno jednak o rechrystianizację Europy, jeżeli samemu broni się przepisów dopuszczających przerywanie ciąży ze względu na

chorobę dziecka. Podobnie zaskakującą woltą okazała się informacja przekazana przez rzecznika rządu Piotra Müllera, że gabinet, który już po przegranych wyborach próbował zmontować Morawiecki, zajmie się kwestią refundacji procedury in vitro (zapewne w postaci tzw. bonu rodzicielskiego, gdyż konkretnych deklaracji nie otrzymaliśmy w tej sprawie).

Ten rozdzwiek ma jednak o wiele szerszy wymiar i znamionował również forsowaną przez Morawieckiego wizję polityki międzynarodowej czy gospodarczej. Można odnieść wrażenie, że gdy premier występuje w Telewizji Trwam, to jest konserwatystą, obrońcą Europy Ojczyzn i kontrrewolucjonistą w jednym, ale gdy idzie do TVN24 albo pojawia się na unijnych salonach, to nagle zmienia się w chłodnego technokratę niezainteresowanego wojną kulturową. Teraz, gdy po sześciu latach Mateusz Morawiecki żegna się z fotelom prezesa Rady Ministrów, warto zadać pytanie: Która z tych twarzy jest prawdziwa?

Wbrew pozorom to pytanie nie o przeszłość, ale o przyszłość polskiej

sceny politycznej. Jarosław Kaczyński w kilku wywiadach wyraźnie dał do zrozumienia, że niedługo pożegna się z funkcją prezesa partii, co oznacza, że to Morawiecki stanie się jednym z głównych pretendentów na jego następcę. Mimo wyborczej porażki Morawiecki pozostaje zatem kluczową postacią po prawej stronie sceny politycznej i w kolejnych latach to on może nadawać ton konserwatywnemu obozowi.

DOKTOR JEKYLL I PAN HYDE

Mimo sympatii Kaczyńskiego pozycja Morawieckiego w PiS nie jest mocna. Głównie ze względów historyczno-personalnych. Morawiecki nie przeszedł całej drogi, którą musieli przemierzyć pozostali działacze u boku Jarosława Kaczyńskiego. Nie doświadczył ośmiu lat opozycji, nie doświadczył również Smoleńska oraz tego wszystkiego, co spadło na obóz Kaczyńskiego po 10 kwietnia 2010 r. Wszedł „na gotowe”, władzę otrzymał z namaszczenia prezesa, co jedynie irytowało tzw. zakon PC. Sprawy nie ułatwiało to, że do wielkiej polityki przyszedł przeciw

Wszystkie twarze Mateusza Morawieckiego

FOT. ARTUR GRABOWSKI/JEST NEWS

z obozu „zdrady narodowej” – od samego Donalda Tuska. Jakby jeszcze tego było mało, to przecież wkroczył jako były prezes banku, czyli instytucji symbolizującej neoliberalny porządek, któremu PiS wypowiedziało wojnę.

Jako prezes rzeczonego BZ WBK Morawiecki ponoć zwykł sponsorować patriotyczne projekty i wydarzenia, a sam bank pod jego zarządem nazywano w żartach ministerstwem kultury. Jednak już poglądy gospodarcze Morawieckiego w tym czasie miały dalece odbiegać od linii programowej Prawa i Sprawiedliwości. – Zdecydowanie popierał liberalną politykę, rozwiązania prywatyzacyjne, wszystko to, co się w III RP w zakresie gospodarki działo. Gdy teraz oglądam premiera Morawieckiego, to wspominam to jak słynną opowieść o doktorze Jekyllu i panu Hydzie. To są kompletnie różne osoby – mówił kilka lat temu w programie TVN24 „Czarno na Białym” Bogusław Grabowski, były członek Rady Polityki Pieniężnej, a także Rady Ekonomicznej przy premierze Donaldzie Tusku, gdzie panowie się poznali.

Zresztą sam Morawiecki na słynnych taśmach z Sowcy i Przyjaciół przyznawał, że jest „liberałem wolnorynkowcem”. Jeszcze na początku rządów PiS Morawiecki był krytykowany za zbyt liberalną politykę. Rafał Woś na łamach „Magazynu DGP” zarzucał mu np., że jego „wizja i praktyka mocno rozjeżdżają się z oczekiwaniami sporej części komentatorów i elektoratu. Głównie tych, którzy w 2015 r. dali zielone światło PiS-owskiej wizji zerwania z neoliberalną filozofią gospodarczą III RP”. Morawiecki jako wicepremier przekonywał polski biznes, że ten nie ma powodu, by obawiać się ekipy PiS. – Wszyscy jesteśmy wolnorynkowcami – zapewniał. „Został [Morawiecki – przyp. J.F.] wychowany w duchu neoliberalnego spojrzenia na świat i nie widać, aby specjalnie ciasno było mu w tym gorsecie. To, że czasem pokrzączy o uwłaszczonej na państwowym majątku postkomunie, nie czyni go jeszcze Robespierre’em polskiej gospodarki” – pisał z kolei w 2017 r. w „DGP” Bartłomiej Godusławski.

Również pierwsze lata Morawieckiego w polityce, najpierw na stanowisku wicepremiera, a następnie już szefa rządu,

nie zapowiadały totalnego nastawienia na konsumpcję, które zdominowało myślenie PiS w ostatnich latach. Owszem, Zjednoczona Prawica od początku mocno postawiła na redystrybucję PKB w postaci świadczeń społecznych, ale jednak oprócz prostego przekazywania pieniędzy rząd nadal starał się stawiać też na rozwój gospodarki.

Jeszcze tzw. plan Morawieckiego (konkretyzowany następnie przez Strategię na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju) miał wiele ambitnych celów na kolejne lata. Chodziło nie tylko o budowę już legendarnych 100 tys. mieszkań czy miliona samochodów elektrycznych, lecz także o wiele założeń z dziedziny inwestycji, które miały dać impuls do rozwoju gospodarki, wspomóc polskie firmy w ekspansji na Zachód oraz ściągnać do Polski zagraniczny kapitał. Plan Morawieckiego zakładał modernizację polskiej gospodarki, co miało umożliwić państwu ucieczkę z tzw. pułapki średniego rozwoju – cel strategii był zatem długofalowy i prorozwojowy, a nie wyłącznie konsumpcyjny. Strategia przewidywała np. osiągnięcie 25 proc. udziału inwestycji w PKB do lat 2025–2030 czy choćby wzrost wydatków na badania.

To, czym premier chwalił się przez ostatnie miesiące, a co się faktycznie rządowi udało, czyli redukcja ubóstwa oraz obniżenie poziomu bezrobocia, są niewątpliwie plusami, jednak są to pozytywne o charakterze głównie społecznym i konsumpcyjnym. Niskie bezrobocie summa summarum nie jest jeszcze niczym wskaźnikiem, a jedynie informacją – i to niepełną, gdyż nie oddaje całej struktury rynku pracy oraz tego, ile osób pracuje poniżej swego wykształcenia. Zmniejszenie ubóstwa ma pośrednio pozytywny wpływ na gospodarkę, ale nie może przesłonić niezrealizowanych pomysłów z ambitnej Strategii ogłoszonej na początku rządów PiS.

Nawet słynne „500+” w założeniu miało być projektem prodemograficznym, dłatego było adresowane do konkretnej grupy obywateli, a nie – jak się finalnie stało – projektem „godnościowym”, w którym partycypują niemal wszystkie rodziny. Zresztą warto przypomnieć, że stosunek samego Morawieckiego do słynnego świadczenia początkowo był dość znuansowany.

■ Zwłaszcza na tle entuzjastycznych przemówień z ostatnich lat. – W dłuższej perspektywie „500+” nam nie zbuduje PKB. Państwu bardziej niż konsumpcja potrzebne są inwestycje i oszczędności. A przypominam, że „500+” jest na kredyt. Zadłużyliśmy się o dodatkowe 20 mld zł, bo chcemy promować dietność. Jesteśmy we własnym gronie i nie musimy mówić sobie tylko pięknych słów – przemawiał na spotkaniu z sympatykami PiS w 2016 r.

EKONOMICZNY EKLEKTYZM

Od tego czasu wiele się zmieniło. Z biegiem lat w retoryce Morawieckiego aspekty inwestycyjne i rozwojowe zaczęły ustępować miejsca hasłom populistycznym, a następnie – zwykłej demagogii, której prawdziwą erupcję obserwowaliśmy w czasie ostatniej kampanii, gdy premier ścigał się z Donaldem Tuskiem na obietnice wyborcze. Wyścig był tak zażarty, że w pewnym momencie Morawiecki zaczął mówić o rzeczach, które PiS już obiecywał w przeszłości – jak np. dopłaty do posiłków w szpitalach. Wszystko na tle rekordowego zadłużenia państwa polskiego.

Kim jest zatem Morawiecki? Gdy w 2013 r. został nagrany u Sowy i Przyjaciół, deklarował się jako „liberał, wolnorynkowiec”, gdy jednak prowadził kampanię, to właśnie liberałowie byli największymi wrogami Polski. Jako bankowiec był zwolennikiem prywatyzacji, gdy jednak stał się premierem, prywatyzacja okazała się wyprzedacją narodowego majątku. Dość wymownym przykładem pozostaje prywatyzacja Ciechu, o którą PiS oskarżał PO, a w której to transakcji pośredniczył bank BZW BK. Podobnie wyglądała sprawa z frankowiczami – jednego dnia członkowie rządu ciskają gromy, następnego okazuje się, że to bank Morawieckiego oferował kredyty we frankach. W dzień doktor Jekyll, w nocy pan Hyde.

– Jedni mają trochę takie poglądy, bardziej lewicowe, drudzy bardziej prawicowe. Wszystkich potrzebujemy, bo również w tej lewicowej – nazwijmy to dawnej „PPS-owskiej” – tradycji tam rostała ta wrażliwość społeczna, jakże potrzebna dla sprawiedliwości społecznej. To Solidarność jest spadkobiercą chrześcijańskiego myślenia o miłości bliźniego, a także robotniczej myśli socja-

listycznej. Ta myśl jest głęboko w filozofii Prawa i Sprawiedliwości obecna – mówił Morawiecki w 2019 r. I faktycznie ten „ekonomiczny eklektyzm” stał się z czasem jego znakiem firmowym.

Takich gruntownych przemian było jednak więcej. O ile jednak wiele wołt „drugorzędnych” można zrzucić na karb dynamiki politycznej (jak np. tą z samochodami spalinowymi, od których początkowo rząd chciał odchodzić), to już bardzo trudno znaleźć usprawiedliwienie dla przewartościowań w sprawach absolutnie fundamentalnych, których skutki będziemy odczuwać latami. Wymownym przykładem pozostaje choćby pakiet „Fit for 55”, czyli wiele regulacji klimatycznych, których celem jest radykalne ograniczenie emisji gazów cieplarnianych w Europie, na które to rozwiązanie zgodził się polski rząd na szczycie UE w 2020 r. Ten sam pakiet

był stosunek wobec Ukrainy po 24 lutego 2022 r. Czym innym była słuszną pomoc napadniętej Ukrainie oraz uchodźcom, a czym innym proukraińska szarża, którą rząd prowadził przez wiele miesięcy, a która skończyła się wyjątkowo żałośnie – zignorowaną przez Kijów tragedią w Przewodowie, przemową Zełenskiego na forum ONZ, gdzie oskarżał Polskę o pomoc Rosji, czy choćby zbagatelizowaną rocznicą rzezi wołyńskiej.

Szczególnie ta ostatnia kwestia dobitnie pokazała, że polskie władze właściwie nie miały wypracowanej żadnej polityki względem Ukrainy i działały powodowane emocjami. Przypomnijmy, że jeszcze pod koniec czerwca z rządu płynęły lakoniczne, zdawkowe sygnały na temat uroczystości związanych z 80. rocznicą ukraińskiego ludobójstwa. Uroczystości, które ostatecznie okazały się wielką kłapą – prezydent

Gdy kampania wyborcza zaczęła nabierać tempa, nastąpiło nagłe ochłodzenie relacji Warszawy z Kijowem na tle sporu o eksport zboża, a antyukraiński przekaz Morawieckiego niewiele już wtedy różnił się od narracji Konfederacji

następnie był bezpardonowo krytykowany przez samych członków rządu, którzy wskazywali na jego potencjalnie katastrofalne skutki dla polskiej gospodarki. Ostatecznie w roku wyborczym sam Morawiecki stwierdził, że Polska „nigdy nie poparła żadnego pakietu »Fit for 55«”. – To pakiet, który jest realizowany poprzez dyrektywy, które uważamy, że w większości powinny być realizowane przez jednogomyślność, jednak KE decyduje, by była to kwalifikowana większość, i Polska jest przegłosowywana – stwierdził kilka miesięcy temu szef rządu. Premiera krytykowali po tych słowach nie tylko komentatorzy, lecz także pośrednio politycy Zjednoczonej Prawicy. Zbigniew Ziobro czy Beata Szydło wprost podkreślali, że jeszcze w wstępnym etapie prac rząd mógł zablokować ten projekt za pomocą weta.

WOLTA UKRAIŃSKA

Podobna schizofrenia, rzucanie się od ściany do ściany charakteryzowały podejście rządu do polityki zagranicznej, czego najbardziej dobitnym przykładem

przestrzegał przed „polityką biegania z widłami”, a premier samotnie, gdzieś na ukraińskim polu, gdzie niegdyś mieściła się wieś Ostrówka, wbił symboliczny krzyż. Minęło jednak zaledwie kilkanaście dni i Morawiecki zaczął ostro strofować Kijów, uzależniając relacje między państwami od wydania zgody na ekshumację ofiar rzezi. – Nie będzie pojednania do końca bez zgody na ekshumację naszych rodaków. Pojednanie musi być oparte na prawdzie, inaczej nie jest żadnym pojednaniem – podkreślał szef rządu.

Ostatecznie, gdy kampania wyborcza zaczęła nabierać tempa, nastąpiło nagłe ochłodzenie relacji Warszawy z Kijowem na tle sporu o eksport zboża, a antyukraiński przekaz Morawieckiego niewiele już wtedy różnił się od narracji Konfederacji. Natomiast już po wyborach, gdy na granicy polsko-ukraińskiej zaczęli protestować polscy przewoźnicy, rząd właściwie umył ręce, wydając jedynie kilka zdawkowych komunikatów. Być może stało się tak dlatego, że to właśnie rząd Morawieckiego poparł zniesienie

pozwoleni ukraińskim przewoźnikom na wjazd do Unii Europejskiej.

„TAK” DLA INTEGRACJI

O ile jednak stosunek do Ukrainy był kuriozalny i potencjalnie niebezpieczny, o tyle prawdziwą katastrofą okazała się polityka wobec Unii Europejskiej, której konsekwencje Polska będzie odczuwać jeszcze przez długie lata, jeśli nie dekady.

Zarzewiem całego konfliktu okazały się, o czym wielokrotnie pisaliśmy w „Do Rzeczy”, pieniądze z pocovidowego Funduszu Odbudowy. Środowisko premiera uznało najwyraźniej, że te środki będą doskonałą trampoliną dla PiS do trzeciej kadencji, a Morawiecki ostatecznie zgodził się na uwspólnotowienie unijnego długu oraz wprowadzenie mechanizmu „pieniądze za praworządność”. Premiera krytykowały wówczas nie tylko Konfederacja, lecz także jego własny koalicjant – Zbigniew Ziobro. Jak pisałem równo dwa lata temu („Do Rzeczy” nr 51/2021), PiS wbrew pozorom jest najbardziej prounijną ekipą, która rządziła w III RP. Żaden inny rząd nie zrobił tyle dla centralizacji Unii Europejskiej i powołania superpaństwa, ile właśnie rząd Morawieckiego. Polskie władze wszczynały przez lata kolejne spory z Brukselą, których nie były w stanie wygrać (praworządność, Turów), a następnie się cofały. Uderzały i robiły dwa kroki wstecz, a na opuszczone miejsce wkraczali unijni urzędnicy, metodą faktów dokonanych przejmując kolejne kompetencje państw członkowskich. Z jednej strony buńczuczna retoryka, z drugiej ciągłe ustępowanie pola Brukseli.

Przez kolejne długie miesiące obserwowaliśmy, jak zmieniała się narracja rządzących wobec pieniędzy z KPO – od wielkiego triumfu do wzruszenia ramionami. Przypomnijmy, że na samym początku tej epopei rząd oplakatował pół Polski billboardami, na których chwalił się, że na unijnych salonach zdobyto „770 miliardów złotych dla Polski”. – Postulowałem plan Marshalla dla Europy. Nasze postulaty przebiły się do świadomości partnerów europejskich [...]. To wielki sukces Polski – deklarował szef rządu. W kolejnych latach, gdy przedłużał się spór z Brukselą, która bezlitośnie wykozystała bat wręczony jej do rąk przez premiera, Morawiecki zaczął zmieniać zdanie, aż w końcu stwierdził, że unijne pieniądze „nie są tak potrzebne jak kiedyś”. – KPO to

Morawiecki – chcąc się uwiarygodnić zarówno w oczach elektoratu, jak i prezesa – stał się bardziej PiS-owski niż PiS-owski beton

120–130 mld zł. Jak podzielimy to na sześć lat, to okrągło wychodzi 20 mld zł rocznie. To nie jest naprawdę coś, co zmienia zasadniczo sytuację gospodarczą czy sytuację finansową Polski – mówił już w zeszłym roku. To jednak nie był koniec wolt premiera, gdyż w roku wyborczym Morawiecki znowu zaczął przekonywać, że pieniądze z KPO nie tylko jednak się Polakom przydadzą, lecz także nawet już niedługo trafią do kraju. Retoryka Morawieckiego względem środków unijnych była zatem dość szeroka, ponieważ rozpierała się od stanowiska „damy sobie bez nich radę” aż do stwierdzenia, że „wzmocnią polską suwerenność i potencjał niepodległości”.

Teraz Jarosław Kaczyński ponownie przestawił wajchę i były premier kolejny raz zaczął straszyć Unią Europejską. W swoim niejako pożegnalnym przemówieniu w Sejmie Morawiecki podkreślał, że zmiana traktatów UE oraz pogłębiająca się integracja kontynentu stanowią zagrożenie dla polskiej niepodległości, i naprawdę ciężko w tym momencie zachować powagę, mając w pamięci podejście polskiego rządu względem KPO.

Aby oddać schizofrenię stosunku rządu PiS wobec Brukseli, najlepiej będzie przytoczyć dwa sejmowe przemówienia Morawieckiego, które dzielą zaledwie trzy lata. Pierwsze pochodzi z 6 kwietnia 2020 r., gdy zaczęły kiełkować pomysły unijnego funduszu służącego do pocovidowej odbudowy gospodarek. – Polska podkreśla bardzo jednoznacznie, że Unia Europejska musi zbudować odważny pakiet, że musimy wrócić do pomysłów takich jak podatek cyfrowy, podatek od transakcji finansowych, do pomysłów takich jak podatek od śladu węglowego czy pomysłów takich jak ten, który jest unikalnym pomysłem Grupy Wyszehradzkiej, czyli podatek od wielkich korporacji międzynarodowych. Do budżetu Unii Europejskiej wpłyną dziesiątki miliardów euro rocznie nowych środków na walkę z koronawirusem – przekonywał wówczas premier z mównicy sejmowej.

Z kolei w połowie listopada 2023 r., gdy już wiedział, że jego dni w roli szefa rządu są policzone, Morawiecki straszył

przed poszerzaniem kompetencji UE również w zakresie polityki podatkowej. – Czy zdają sobie państwo sprawę, że po zmianie prawa Unii będzie możliwość nałożenia nowych podatków? Ja do tej pory wetowałem wiele takich prób, teraz nie będzie możliwości weta, ponieważ całe władztwo podatkowe przejdzie w ręce Unii Europejskiej – przestrzegał premier.

KAMELEON

Kim jest zatem Morawiecki? Kapitałista czy socjalista? Suwerennościowcem czy „unijczykiem”? Konserwatystą czy zwolennikiem liberalizacji prawa aborcyjnego? Wolnościowcem czy etatystą? Po trochu każdym z nich – wszystko zależy od środowiska, w którym aktualnie przebywa. Dlatego też zamiast złagodzić oblicze PiS i ściągnąć do partii centrowego wyborcę, sam Morawiecki „spisał się” – chcąc się uwiarygodnić zarówno w oczach elektoratu, jak i prezesa, stał się bardziej PiS-owski niż partyjny beton, czego uwieńczeniem była firmowana przez niego kampania wyborcza de facto skupiona wyłącznie na Donaldzie Tusku.

Jednakże to „spisienie” premiera odbiło się głównie na jego wizerunku i służyło budowie własnej pozycji wewnątrz partii. Mocno konserwatywna retoryka nie szła w parze z realnymi działaniami. W rzeczywistości Morawiecki pozostał na pozycjach umiarkowanej centroprawicy, nie tak znowu odległej od światopoglądu Jarosława Gowina i innych umiarkowanych konserwatystów. Szczególnie w relacjach z Unią Europejską wyraźny stał się rozdźwięk między patriotyczno-suwerennościową retoryką a realnymi działaniami, które sprowadzały się do regularnego ustępowania Brukseli.

Jeżeli po przejściu Jarosława Kaczyńskiego na emeryturę to właśnie Morawiecki przejmie funkcję prezesa partii, to można się spodziewać, że ten kurs będzie kontynuowany i czekają nas ze strony „nowego PiS” ostra retoryka i obietnice walki o suwerenność. Przynajmniej dopóty, dopóki partia pozostanie w opozycji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Uderzanie komisjami



Łukasz Warzecha

Komisje śledcze miały być lekarstwem na różnego rodzaju nadużycia władzy, a okazywały się głównie teatrem. Podobnie będzie z tymi, które niebawem powstaną

Było ich dotychczas w historii III RP 11. Swoje zadanie spełniły w bardzo ograniczonym stopniu, jednak przyniosły opinii publicznej wiedzę o sprawach, o których inaczej byśmy się nie dowiedzieli. Pytanie, czy tą wiedzą ludzie byli w ogóle zainteresowani.

W tej kadencji jest pomysł już na sześć takich przedsięwzięć. Trochę dlatego, że sejmowe komisje śledcze cały czas są uznawane za dobry sposób na wypromowanie się zasiadających w nich polityków, a także całych ugrupowań. Trochę dlatego, że część bardziej idealistycznie patrzących posłów i komentatorów wciąż ma nadzieję, że dzięki komisjom śledczym opinia publiczna zacznie naciskać, żeby nieprawidłowości ukrócić. Może

nawet niektórzy sądzą – choć to już bardzo daleko posunięta naiwność – że na podstawie raportów kończących prace komisji wprowadzone zostaną zmiany systemowe.

RYWIN I AFERA

Przypomnijmy, jak to się zaczęło. Jest 26 grudnia 2002 r., niemal dokładnie 21 lat temu. W „Gazecie Wyborczej”, której pozycja na rynku medialnym jest wówczas nieporównanie większa niż dzisiaj – „GW” jest w zasadzie hegemonem, wręcz samodzielną partią polityczną – ukazuje się artykuł Pawła Smoleńskiego, zatytułowany „Ustawa za łapówkę, czyli przychodzi Rywin do Michnika”.

„Pisaliśmy ten tekst od początku sierpnia. Próbowaliśmy dziennikarskiego śledztwa, chcieliśmy się czegoś dowiedzieć, zrozumieć. Drukujemy wszystko, co udało się ustalić” – tak rozpoczyna się artykuł, który w styczniu kolejnego roku doprowadzi do powstania pierwszej w dziejach III RP i zarazem do dziś chyba najbardziej znanej komisji śledczej Sejmu, powołanej na podstawie ustawy o sejmowej komisji śledczej z 1999 r. Zasiadali w niej Jan Maria Rokita, dzisiaj już poza polityką, Anita Błochowiak z SLD (autorka słynnej repliki o „pedałach

w kolorowych skarpetkach”) i Renata Beger z Samoobrony, a także Zbigniew Ziobro, dla którego był to poważny impuls w jego politycznej karierze. Przed komisją, poza samym Lwem Rywinem, stanęli m.in. Adam Michnik czy Leszek Miller. To podczas przesłuchania tego ostatniego doszło do pamiętnego spięcia ze Zbigniewem Ziobrą. „Jest pan zerem, panie Ziobro” – wyszczał wtedy pod adresem posła premier.

Ustawa obowiązująca do dzisiaj mówi, że o powołaniu komisji śledczej Sejm decyduje większością bezwzględną, podobnie jak o jej składzie. Oznacza to, że głosów „za” musi być więcej niż łącznie głosów sprzeciwu oraz wstrzymujących się. Ustawa mówi również – to ważne – że komisję można powołać „do zbadania określonej sprawy”. Komisja nie może zatem badać np. całego okresu kadencji bez sprecyzowania, co ma badać konkretnie. Nie da się na tej podstawie powołać choćby „komisji śledczej do sprawy rządów Zjednoczonej Prawicy”. Ustawa zaznacza także, że w każdej komisji śledczej powinna się znaleźć proporcjonalna reprezentacja klubów i kół poselskich, ale liczba członków gremium jest ograniczona do 11 osób. Prosta sejmowa arytmetyka wskazuje, że głosująca



Sejmowa komisja śledcza do sprawy Amber Gold przyciągała uwagę, bo dotyczyła bezpośrednio wielu osób

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER

zgodnie większość sejmowa, mając 248 posłów, jest w stanie powołać dowolną komisję śledczą.

Komisje śledcze bywają czasami mylone z komisjami powoływanymi odrębnymi ustawami, ale funkcjonującymi poza Sejmem i w odrębnym reżimie. Taki status miała opróżniona już poprzez odwołanie wszystkich jej członków Komisja do spraw Badania Wpływów Rosyjskich. W odróżnieniu od sejmowej komisji śledczej działalność takiej komisji nie kończy się automatycznie wraz z upływem kadencji Sejmu, w trakcie której została powołana. Nie muszą w niej też zasiadać posłowie, a o tym, czy mogą, decyduje konkretna ustawa, którą powołuje się daną komisję.

Gdyby dzisiaj poprosić nawet względnie uważnego obserwatora polityki, żeby z marszu wymienić wszystkie 11 dotychczasowych komisji śledczych, mało kto by sobie z tym poradził. Zapewne poza komisją do sprawy afery Rywina pamiętane są jeszcze komisja „do zbadania prawidłowości prywatyzacji Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Spółka Akcyjna” (IV kadencja, 2001–2005) czy komisja „do zbadania prawidłowości i legalności działań organów i instytucji publicznych wobec podmiotów wchodzących w skład

Gdyby poprosić kogoś, aby wymienić 11 poprzednich komisji śledczych, mało kto by sobie z tym poradził

Grupy Amber Gold” (VIII kadencja, 2015–2019). Ale ile osób pamiętałoby jeszcze komisję do sprawy zbadania okoliczności porwania i zabójstwa Krzysztofa Olewnika (VI kadencja, 2007–2011) albo tzw. komisję naciskową o rekordowo długiej formalnej nazwie („Komisja śledcza do spraw nielegalnego wywierania wpływu przez członków Rady Ministrów, Komendanta Głównego Policji, Szefa Centralnego Biura Antykorupcyjnego oraz Szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, na funkcjonariuszy Policji, Centralnego Biura Antykorupcyjnego oraz Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, prokuratorów i osoby pełniące funkcje w organach wymiaru sprawiedliwości w celu wymuszenia przekroczenia uprawnień lub niedopełnienia obowiązków”, VI kadencja)?

W wielu przypadkach nadzieje na to, że działalność komisji i posłów w niej

zasiadających przyniesie jakieś wizerunkowe profity, spalały na panewce. Działo się tak choćby wówczas, gdy rozpatrywana materia była tak skomplikowana, że problem z odnalezieniem się w niej mieli nawet sami członkowie komisji, a cóż dopiero zwykła publiczność. Tak było z komisją śledczą do sprawy podatków VAT i akcyzowego (VIII kadencja, 2015–2019). Sama konstrukcja podatku VAT w Polsce jest patologicznie skomplikowana, a połapanie się w meandrach sprawy było dla przeciętnego wyborcy kompletnie niemożliwe. Gdy nowa władza, czyli PiS, decydowała o stworzeniu tej komisji, wydawało się, że będzie to wręcz wunderwaffe przeciwko Donaldowi Tuskowi. Chodziło przecież o domniemane zaniedbania władzy za czasów jego rządów w uszczelnianiu systemu podatkowego. Te rachuby okazały się chybione.

W tamtej kadencji na fali planów rozliczenia PO oprócz komisji do sprawy VAT powołano również wspomnianą już komisję do sprawy Amber Gold, która przyciągnęła większą uwagę – nietrudno zrozumieć dlaczego: sprawa nie tylko była znacznie prostsza, lecz także dotyczyła bezpośrednio wielu osób. A nawet jeśli ktoś nie utopił swoich ośzyczeń w piramidzie finansowej z Trójmiasta, to mógł się łatwo utożsamiać z pokrzywdzonymi. W ostatniej zakończony, IX kadencji żadnych komisji śledczych już nie powołano.

Właśnie prostota rozpatrywanego zagadnienia i jego bliskość wobec ludzi wydaje się jednym z podstawowych warunków, aby komisja śledcza cieszyła się zainteresowaniem opinii publicznej. Z punktu widzenia korzyści dla państwa dobrze jest natomiast, jeśli komisja zostaje powołana dla rozpatrzenia sprawy, której nie da się w pełni wyjaśnić w toku ewentualnego postępowania prokuratorskiego i sądowego. Komisja śledcza ma bowiem służyć – w teorii – wyciągnięciu wniosków systemowych. Jak z punktu widzenia tych założeń wyglądają propozycje komisji śledczych w tej kadencji Sejmu?

PEGASUS I INNE SPRAWY

Nowa większość proponuje powołanie trzech takich komisji. Swoje własne trzy propozycje ma także Konfederacja. Zapewne najszybciej może powstać

komisja śledcza do sprawy nielegalnych podsłuchów za pomocą programu Pegasus – i ma ona szansę stać się prawdziwym hitem, korzystając również z nagle rozbudzonego zainteresowania życiem Sejmu. Można spokojnie założyć, że transmisje z jej posiedzeń – o ile ze względu na przedmiot sprawy nie zostaną wyłączone jawność – cieszyłyby się rekordową oglądalnością na YouTube.

Sprawa Pegasus wydaje się idealnie skrojona pod komisję śledczą. Jest względnie prosta i wpisuje się w oczekiwanie rozliczenia poprzedniej władzy, które motywowało wielu wyborców nowej większości. Ma też element osobisty. Nie mówimy tu tylko o jakichś abstrakcyjnych kwestiach dotyczących naruszenia przepisów, lecz także o naruszeniu prywatności konkretnych osób, z najbardziej znanym przypadkiem małżeństwa Brejzów na czele.

Trudno też mieć wątpliwości, że powołanie tej akurat komisji jest uzasadnione. Sprawy prywatności i kompetencji służb to właśnie problem systemowy, którym Zjednoczona Prawica nie miała ochoty się zajmować, a nawet przeciwnie – zrobiła bardzo dużo, żeby kompetencje służb powiększyć ponad miarę, a możliwości chronienia własnej prywatności obywatelom ograniczyć. Zatem w idealnej sytuacji komisja powinna nie tylko wskazać winnych naruszenia prawa i ewentualnie – ma do tego prawo i to jej obowiązek – skierować wnioski do prokuratury w razie podejrzenia popełnienia przestępstwa, lecz także w raporcie zaprezentować propozycje systemowych zmian. Gdyby praca została wykonana rzetelnie, wszyscy moglibyśmy na tym skorzystać.

Pozostałe dwie komisje budzą już jednak wątpliwości. Jedną z nich to komisja śledcza do sprawy afery wizowej. Z pewnością spełniony jest tutaj warunek konkretności tematu i prostoty sprawy. Nieprawidłowości miały miejsce, natomiast spór dotyczył ich skali. Komisja faktycznie mogłaby pomóc do ustalić. Można by także argumentować, że taka komisja pozwoliłaby wyciągnąć wnioski systemowe przede wszystkim co do sposobu, w jaki polskie państwo prowadzi politykę migracyjną. Nie jest wielkim odkryciem – pisaliśmy o tym wielokrotnie w „Do Rzeczy” – że odchodzący rząd oficjalnie deklarował

Proponowana przez Konfederację komisja do spraw lockdownów bez dwóch zdań powinna powstać

powstrzymywanie masowej imigracji, a jednocześnie pozwalał zewnętrznym podmiotom sprowadzać do Polski setki tysięcy pracowników bez żadnej selekcji czy weryfikacji, skąd przyjeżdżają i jaki może być ich wpływ na naszą sytuację wewnętrzną. Tyle że nowa większość zawsze sprzeciwiała się antyimigracyjnej linii, trudno sobie zatem wyobrazić, żeby powołana przez nią komisja faktycznie poszła w kierunku wskazania sposobów na zwiększenie szczelności naszego systemu imigracyjnego.

Największe wątpliwości budzi pomysł trzeci: komisja do sprawy wyborów kopertowych. To po prostu plan na zorganizowanie politycznego teatru. Owszem, znów mamy tutaj jedną, wąską zdefiniowaną sprawę, a pewnie i zainteresowanie byłoby niemałe. Tyle że robotę komisji śledczej wykonała już tutaj Najwyższa Izba Kontroli, która niedoszłe wybory kopertowe z 2020 r. dokładnie prześwietliła, opracowała na ten temat obszerny raport i skierowała kilka wniosków do prokuratury. Komisja śledcza wiele więcej tutaj nie dołoży. Posłuży najwyżej do przeczołgania Jacka Sasina czy Mateusza Morawieckiego. Trudno też wyobrazić sobie jakieś systemowe wnioski, bo mieliśmy do czynienia z sytuacją jednorazową i nadzwyczajną.

ROZLICZENIE ZA LOCKDOWNY

Konfederacja proponuje utworzenie komisji śledczej do sprawy lockdownów i – szerzej – polityki covidowej rządu Mateusza Morawieckiego, z zakupem szczepionek łącznie. Taka komisja bez dwóch zdań powinna powstać. Jest potrzebniejsza niż ta do sprawy wyborów kopertowych czy afery wizowej, ponieważ podczas pandemii mieliśmy do czynienia z systemowym łamaniem prawa i gwałceniem wolności obywateli. Prześwietlone powinny zostać proces decyzyjny, działalność rady medycznej przy

premierze, przedstawienie służby zdrowia w tryb wyłącznie covidowy, sposób przyznawania funduszy z tarcz antycovidowych czy postępowanie policji oraz sanepidu. Zakres zagadnień jest szeroki, ale skutki tamtych poczynań władzy dotknęły ogromną liczbę osób i trwają w wielu przypadkach do tej pory. Na podstawie działań takiej komisji można by postawić wiele systemowych wniosków. Problem w tym, że nowa większość nie tylko nie krytykowała władzy za przyjęty kierunek, lecz także domagała się jeszcze większej surowości i jeszcze głębszego naruszania praw obywateli. Dlatego obawiam się, że przygotowany przez Konfederację projekt uchwały w sprawie powołania takiej komisji nie spotka się z zainteresowaniem.

Konfederacja proponuje również powołanie komisji do sprawy afery zbożowej. Tu pojawia się jednak pytanie, czy faktycznie mieliśmy do czynienia z jakąś aferą czy też po prostu z nieudolną i szkodliwą dla Polski, ale realizowaną w ramach demokratycznego mandatu polityką wobec Ukrainy.

Jeszcze większe wątpliwości budzi propozycja powołania komisji do spraw polskiej polityki energetycznej w latach 1998–2022. Tak zdefiniowany zakres prac komisji nie bardzo spełnia nawet wymóg ustawowy zajmowania się „określoną sprawą”. Okres, który miałby być badany – aż 24 lata – jest tak długi i obejmuje działalność tak wielu rządów, że nawet pełny okres X kadencji mógłby się okazać zbyt krótkim czasem na uporaenie się z tak sformułowanym zadaniem. Przede wszystkim zaś żadna ze stron sporu politycznego nie ma interesu, żeby na taką komisję się zgodzić, bo każda mogłaby uciepować. Wszak w tym czasie władzę sprawowali i jedni, i drudzy. I jednym, i drugim można by zadawać kłopotliwe pytania. Posłowie Konfederacji doskonale to oczywiście wiedzą, więc chodzi im zapewne jedynie o to, żeby podkreślić, że oni sami w te kwestie zaangażowani nie byli.

Po przerwie trwającej cztery lata jest niemal pewne, że jakąś komisję śledczą teraz w Sejmie ujrzymy. Motywacją będzie przede wszystkim chęć politycznego lansu i uderzenia w przeciwnika. Nie znaczy to jednak, że nie wyniknie z tego coś dobrego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

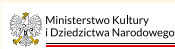


ks. Andrzej Witko

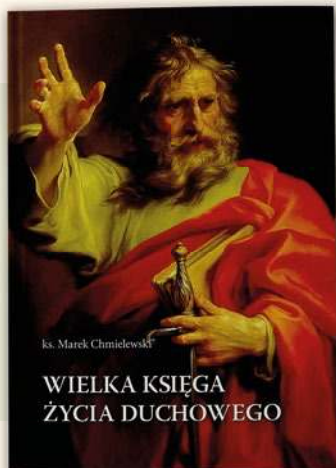
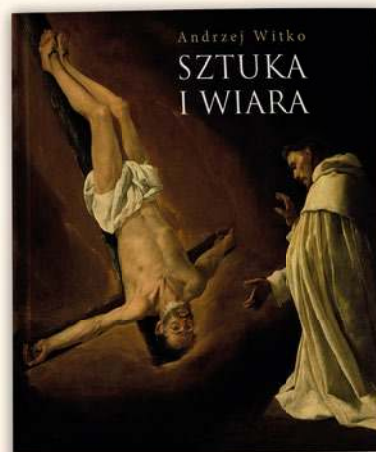
Sztuka i wiara

Dwanaście znakomitych programów ikonograficznych powstałych na przestrzeni XVII i XVIII stulecia w Sewilli, zrealizowanych przez najwybitniejszych artystów sztuki europejskiej tego czasu jak Zurbarán, Murillo, Valdés Leal, Pacheco i inni.

Cena: 199 zł | Wydawnictwo AA, 240×330, twarda oprawa



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

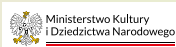


ks. Marek Chmielewski

Wielka księga życia duchowego

Publikacja omawia szeroko rozumianą problematykę duchowości katolickiej. Stanowi kontynuację książki pt. *Wielka księga duchowości katolickiej*, wydanej przez Wydawnictwo AA w 2015 roku.

Cena: 99 zł | Wydawnictwo Aromat Słowa, 170×240, twarda oprawa



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



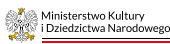
Monika Karolczuk

Polskie Camino

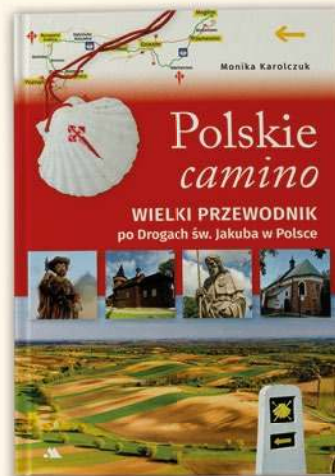
Wielki przewodnik po Drogach św. Jakuba w Polsce

Przewodnik oddający bardzo dokładnie poszczególne odcinki tej jedynej w swoim rodzaju pielgrzymiej drogi. Scala w jedną całość wszystkie trasy jakubowe na terenie naszego kraju ukazując zarówno bogactwo lokalnych zabytków architektury i przyrody jak i historię pielgrzymowania do Santiago de Compostela – od jego genezy aż do czasów współczesnych.

Cena: 69 zł | Wydawnictwo Aromat Słowa, 170×240, okładka zintegrowana



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Michael Hesemann

Niewyjaśnione zagadki chrześcijaństwa

Znakomicie napisana i bogato ilustrowana książka pełna fascynujących tajemnic, które nadal pozostają niewyjaśnione mimo setek lat rozmaitych badań, hipotez i teorii na ich temat.

Cena: 79 zł | Wydawnictwo AA, 170×240, twarda oprawa



Zamówienia:

www.religijna.pl, tel. 12 345-42-00





Rafał A. Ziemkiewicz

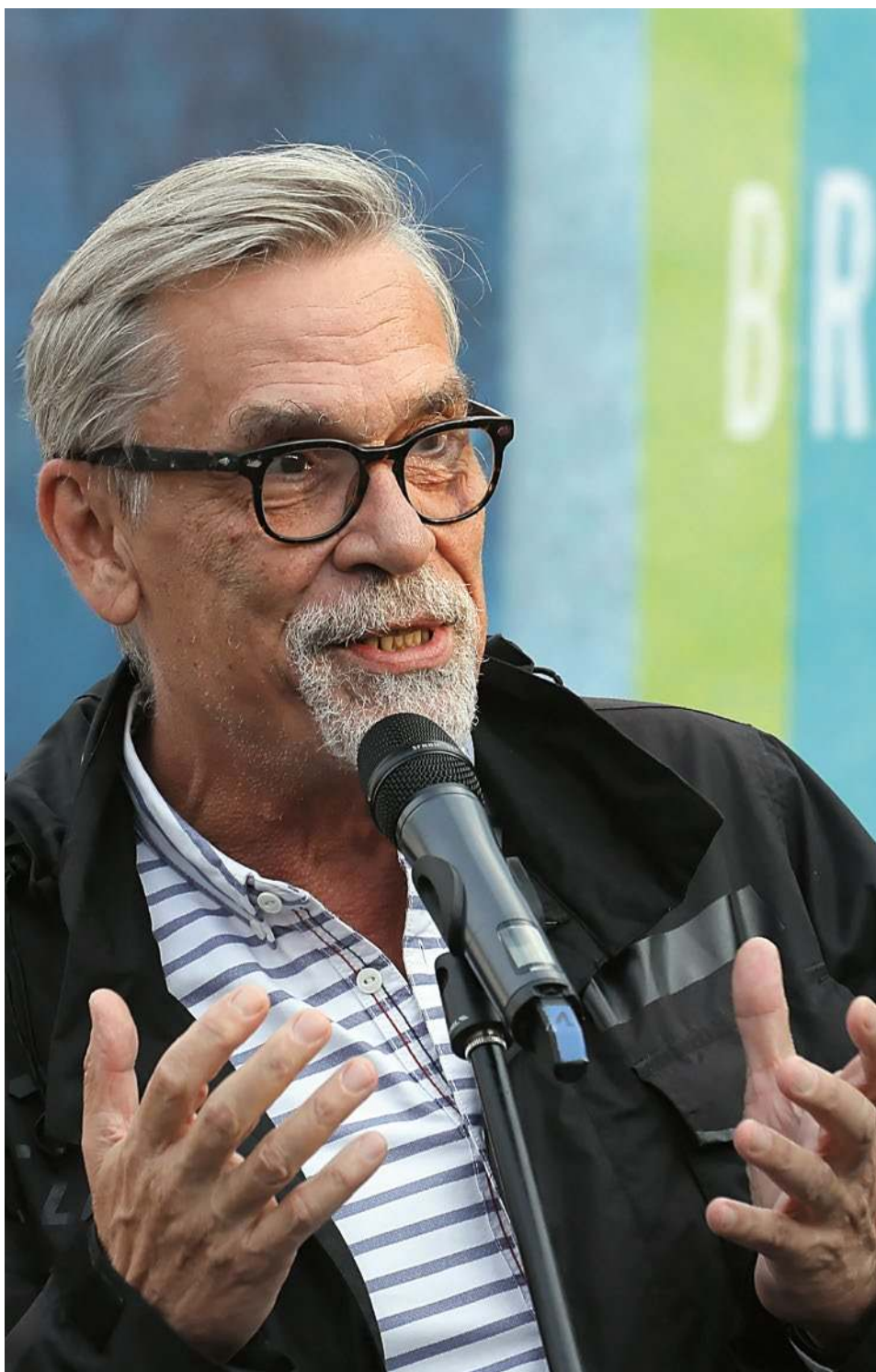
Pijane zwycięstwem salony nie rozumieją, że demokracja nie pozwala na całkowite zniszczenie politycznego przeciwnika

Wojnę łatwo zacząć, trudno skończyć. Ta stara i powszechnie znana prawda dopadła właśnie, najzupełniej nieoczekiwanie, Jacka Żakowskiego. To, że akurat właśnie jego, nadaje historii wymiar groteskowy: mówimy przecież o jednym z najbardziej zagorzałych – by nie rzec wręcz historycznych – wrogów PiS. O publicyście, który w oskarżeniach wobec Jarosława Kaczyńskiego przeliczył wszystkich radykałów, ogłaszając go „ludobójcą”, i który snując opowieść, że „PiS zamordował co najmniej sto tysięcy Polaków”, zastrzegając, iż „nie jest to żadna metafora ani przesada”. Skoro ktoś taki stał się dla własnego obozu „pisowcem”, to znaczy, że w lewicowo-liberalnej sekcji nikt dzisiaj nie może czuć się bezpieczny.

„Do tej pory uważałam że Żakowski jest V kolumną PiS, teraz okazuje się że jest rzecznikiem interesów PiS” – napisała w mediach społecznościowych Hanna Gronkiewicz-Waltz, a Leszek Miller, przypominając dawną, niefortunną wypowiedź Żakowskiego, że „KOD powinien być polskim Hamasem”, zasugerował mu „ośmieszanie” obozu lewicowo-liberalnego. „Wsiedli” na Żakowskiego coraz bardziej nierozdzielni w Internecie Roman Giertych i Tomasz Lis, antypisowska prokurator Wrzosek, redaktorzy Madajczak z TOK FM i Łazarewicz z Wirtualnej Polski – by wymienić tylko niektórych spośród tych „z nazwiskami”. Tłuszczy rzucających błotem i obelgami rezerwowanymi dotąd wyłącznie dla „pisiorów” nie warto nawet liczyć – i zresztą nie sposób.

JEDNO PYTANIE

Wszystko za sprawą jednego pytania, które pozwolił sobie publicznie wypowiedzieć Żakowski podczas zorganizowanej w Agorze debaty „Media publiczne a demokracja w Polsce dzisiaj”: „Czy



Władzy nie



jesteśmy gotowi pomyśleć o tym, że...”. Że co? Konkretnie pytanie dotyczyło, zgodnie z tematem debaty, podzielenia się mediami państwowymi z PiS, na wzór – tego przykładu użył Żakowski – Włoch, gdzie jeden program telewizyjny z założenia realizuje linię „lewicową”, drugi „prawicową”, a trzeci „liberalną”. „Jeżeli nie, to oni po dojściu do władzy, a to się stanie, zabiorą sobie znowu wszystko” – zakończył Żakowski. I te słowa wzbudziły jeszcze większą furię niż sama propozycja pozostawienia pod kontrolą PiS jednego z programów TVP, np. „Dwójki”.

Zostawmy na boku państwowe media – w gruncie rzeczy przecież pytanie Żakowskiego miało znacznie szerszy charakter. Czy jesteśmy sobie w stanie wyobrazić – zapytał własny obóz – jakiś modus vivendi, jakieś współistnienie z pozostającym silną opozycją PiS? Czy jesteśmy „gotowi pomyśleć” o zawarciu traktatu pokojowego? Odpowiedź, której mu własny obóz udzielił, okrzykując zdrajcą i zalewając hejtem, jest jednoznaczna.

I – dodajmy – bardzo emocjonalna. Ludzie, do których zwrócił się Żakowski, przeżywają właśnie stan euforyczny. Odreagowują osiem lat krańcowej frustracji – pamiętamy, że przecież środowiska te po wyborczym zwycięstwie Andrzeja Dudy nad Bronisławem Komorowskim były przeświadczone, że „to” nie potrwa dłużej niż kilka miesięcy, i ogłaszały „koniec PiS” praktycznie co kilka tygodni, szarpane maniakalno-depresyjnym rytmem kolejnych „ciamajdanów” i „największych afer od czasów Rywina”. Na fali tego odreagowania błyskawicznie oderwały się od rzeczywistości. Uzyskanie sejmowej większości przyjęły tak, jakby PO dostała nie 30,7 proc., ale ponad połowę głosów, a PiS nie był arytmetycznym zwycięzcą głosowania – z 35,8 proc. poparcia – ale został rozgromiony i zepchnięty w sąsiedztwo Lewicy i Konfederacji; i jakby Trzecia Droga, której liberalna lewica zawdzięcza obecną przewagę w głosowaniach, wystąpiła w wyborach nie pod maską „nowej jakości”, ale z tymi samymi hasłami zemsty i demolki, które nie pozwoliły partii Tuska przebić jej szklanego sufitu.

Jednym słowem, lewicowo-liberalny salon zachowuje się tak, jakby rzeczywistością był nie komunikat Państwowej

FOT. PAVEL SUPERNIAK/PPF

oddamy nigdy

■ Komisji Wyborczej, ale fejkowe sondaże pracowni „political changes” Giertycha. Upojony poczuciem triumfu zupełnie się nie przejmując, że dla realizacji swych oczekiwań, dla których wcale nie dostał demokratycznej legitymacji, nie ma odpowiednich narzędzi. Większość bywalców tego świata wydaje się głęboko wierzyć, że uchwałami sejmowymi – bo to jedyne, co może mieć liberalna lewica na pstryk – można zmienić konstytucję, odwołać prezesa NBP i prokuratora krajowego, przejąć kontrolę nad państwowymi mediami i odwołać prezydenta, a nawet więcej: przegłosować – jak to niedawno publiczne zaproponował Ryszard Kalisz

uświęca środków”, czy list szefowej Europejskiego Banku Centralnego Christine Lagarde przypominający o europejskich standardach niezależności Banku Centralnego.

Z pozycji mecenasa Kalisza, prof. Góreckiego czy oburzonych na Żakowskiego „liderów opinii” łatwo snuć fantazje o rozproszonym interpretowaniu konstytucji w najbardziej nawet karkołomny sposób – ale ludzie, którzy te rojenia próbowałiby wcielić w życie, muszą liczyć się z zapisami prawa. Choćby z artykułem 224 kk, wyceniającym na trzy lata więzienia próby „wywierania wpływu” na działania organów państwa

sukcesem salony, słysząc coś podobnego, zawył z nienawiści do autora powyższych słów, mimo wszystkich jego wcześniejszych zasług? Już sama sugestia, że PiS może jeszcze kiedyś dojść do władzy, jest dla nich oburzająca – a co dopiero zapowiedź, że „to się stanie”. Czyli ten wielki sukces, którym salony zachłysnęły się jako przywróceniem moralnego porządku światu, przywróceniem normalności, powrotem do stanu jedynie możliwego, nie jest niczym takim, a jedynie kolejnym obrotem politycznej karuzeli, po którym prędzej czy później przyjąć musi obrót następny? Niczym więcej niż wychyleniem politycznego wahadła, po którym pójdzie ono w przeciwną stronę?

Żakowski stwierdza rzeczy oczywiste; inna sprawa, że ocierając się o cynizm, zaprzecza swoim niedawnym antypisowskim histeriom

– że wszystko, co było po roku 2015, nie miało miejsca. To znaczy ogłosić, że wszystkie instytucje państwa, które po wyborczych zwycięstwach obsadził PiS jako „nienależycie obsadzone”, de iure nie istniały, więc wszystkie ich decyzje są niebyłe i „nierodzące skutków prawnych”.

FANTAZJE RADYKAŁÓW

Można powiedzieć: towarzysz Lenin nie takie „wykładnie” wprowadzał w czyn. Tylko że on naprawdę miał do dyspozycji „silnych ludzi”, którzy, gdy uchwałą Rady Robotników i Żołnierzy zdelegalizował konstytuante, wbili się do parlamentu z karabinami i fizycznie go rozgonili. Tusk zaś poza zachęcającymi go do rewolucyjnej przemocy kawiarnianymi radykałami ma za sobą tylko propagandystów i celebrytów, a w każdym głosowaniu zależy od nie do końca pewnego, gwiazdorzącego koalicjanta. Wiara wspomnianych radykałów, że bezkompromisowa, brutalna rozprawa z PiS spotkałaby się z masowym poparciem ulicy, nie znajduje bowiem potwierdzenia w żadnych badaniach, a i poparcia zagranicy dla restauracji „na skróty” raczej by nie było, sądząc po takich sygnałach jak wspomniane na tych łamach ostrzeżenia skierowane do Tuska przez niemieckich ekspertów we „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, że „cel przywracania praworządności nie

i funkcjonariuszy publicznych przy użyciu przemocy lub gróźb bezprawnych (w wypadku zastosowania przemocy może to być nawet pięć lat), i z art. 231 tegoż kodeksu, który przewiduje trzy lata dla funkcjonariusza publicznego, który „przekraczając swoje uprawnienia [...], działa na szkodę interesu publicznego lub prywatnego”. Nie od rzeczy jest też przypomnieć o art. 232, przewidującym pięć lat za wywieranie wpływu przemocą lub groźbą bezprawną na czynności urzędowe sądu (z którego, nawiasem mówiąc, dawno już powinni siedzieć wszyscy próbujący odsuwać od orzekania „neosędziów”).

Nawet jeśli liderzy pracy do zemsty formacji zapomną o możliwości odpowiedzialności bądź uznają, że z „rozliczenia z państwem PiS” nigdy nie będą się musieli tłumaczyć – w myśl zasady „zwycięzców nikt nie sędzi” – to nie wiadomo, czy będą mogli liczyć na to samo ze strony policjantów czy prokuratorów, bez których współpracy zapowiadanego bezprawia dokonać się nie da.

I tu właśnie – a nie w postulatcie ewentualnego podziału wpływów w mediach państwowych czy w ogóle w państwie – tkwi sedno herezji, której dopuścił się Żakowski. Kluczowe dla wzbudzenia histerii były w cytowanej na wstępie wypowiedzi słowa: „oni, po dojściu do władzy, a to się stanie...”. Czy można się dziwić, że pijane

ISTOTA DEMOKRACJI

W istocie tak właśnie jest, tak działa demokracja. Żakowski stwierdza rzeczy oczywiste; inna sprawa, że ocierając się o cynizm, zaprzecza w ten sposób swoim własnym niedawnym jeszcze antypisowskim histeriom, milcząco przyznając, że okrzyki o „ludobójstwie” PiS były tylko „mądrością etapu”, stosowną na czas czekania, dla zachowania organizacyjnej spójności jako „opozycja totalna”, aż zmienią się nastroje wyborców i karuzela obróci się znowu.

Demokracja – w tym zresztą jej wartość – nie daje możliwości totalnego zniszczenia przeciwnika. Amerykańskim „demsom” wydawało się, że po aferze Watergate republikanie są skończeni raz na zawsze; już kilka lat później prezydentem został na dwie kadencje Reagan. Takiemu samemu złudzeniu uległ osiem lat temu „twardy PiS”, wmawiając sobie, że naród się przebudził dzięki ofercie złożonej w Smoleńsku, „drugim Katyniu”, i to, co było, nigdy już nie wróci. Zresztą właściwie każdy, kto po 1989 r. wygrał w Polsce wybory, wierzył – choć może nie zawsze dobudowując sobie tak wzniosłe uzasadnienia – że będzie rządził wiecznie. Sugerując swojemu obozowi, by swoje obecne poczynania planował ze świadomością, że kiedyś przyjdzie władzę oddać, Żakowski nie był „rzecznikiem interesów PiS”, tylko po prostu zdrowego rozsądku.

Ale – jak pokazała reakcja na jego słowa – historia uczy tylko tego, że ludzie niczego się z niej nie uczą.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



ASPEN PRIME
SKI & BIKE RESORT
★★★★



Kup gotowy apartament w funkcjonującym obiekcie i zarabiaj aż

9%
rocznie

- > Hotel działający od 2014 r.
– ceniony przez Gości
9,1 / 10 na Booking.com
- > Doświadczony
inwestor i operator
- > Unikalna lokalizacja
w Sudetach

Dowiedz się,
dlaczego warto



+48 222 645 261
www.aspenresort.pl



Zuzanna Dąbrowska

Są młodzi, dopiero debiutują w ogólnokrajowej polityce i stawiają na autopromocję. W obecnej kadencji Sejmu nie brakuje posłów, którzy zajmują się przede wszystkim sobą. Czasem ociera się to o śmieszność, czasem budzi sympatię

Pracowałam wiele lat na wojnach i przyznam szczerze, że obserwowałam np. negocjacje między warlordami, watażkami i tam, mimo tego, że zdarzają się morderstwa na tle politycznym, poziom honoru, szacunku i dekorum jest dużo wyższy – mówiła na antenie TVN24 29-letnia poseł KO z Łodzi, Aleksandra Wiśniewska. Już w trakcie kampanii zasygnalizowała niewiarygodnie brzmiającymi opowieściami o swojej działalności humanitarnej. Na przykład o ratowaniu migrantów zmierzających do Europy. „Skoczyliśmy do wody. To była niewielka łódź, widać, że wielokrotnie używana. Na jej pokładzie było ok. 40–50 osób. Poszycie uderzyło o skały i łódź zaczęła tonąć, zapadając się do środka. Ponieważ było nas za mało, aby wylawiać pojedynczo ludzi, naszym zadaniem było zanurkować pod łódź, ustabilizować ją od dołu i bezpiecznie doprowadzić do brzegu” – opowiadała w innym z wywiadów. „Ale ludzie zaczęli wyskakiwać do wody. Strasznie krzyczeli. Wielu z nich nie umiało pływać. Jedna kobieta zauważyła mnie. Zaczęła do mnie krzyczeć. Widziałam, że trzyma coś w ręku. W pewnym momencie rzuciła to w moją stronę. Dopiero wtedy zobaczyłam, że jest to niemowlę. Sparaliżowało mnie. Wiedząc, że mamy określoną procedurę akcji ratunkowej, że nie mogę opuścić członków zespołu, położyłam sobie to dziecko na piersi i popłynęłam w kierunku wybrzeża. Dzięki płetwom płynęłam bardzo szybko, parę minut, ale dla mnie trwało to całą wieczność”.

WOLONTARIAT I POEZJA

Aleksandra Wiśniewska nie tylko chętnie chwali się bohaterskimi czynami z te-



Posel Polski 2050 Adam Gomoła

FOT. MARCIN OBARA/PAP



Posłanka KO Aleksandra Wiśniewska

FOT. MARCIN OBARA/PAP



Posel KO Marcin Józefaciuk

FOT. ALBERT ZAWADA/PAP

Zakochani w sobie

renów objętych wojną. – Ta poezja czasem ze mnie wychodzi. Bardzo Kocham Poezję – wyznała. I o ile sam fakt zamiłowania do liryki nie jest powodem do kpin, o tyle już teatralny sposób mówienia o tym, przywołujący na myśl starannie zaplanowaną akcję PR-owską, już tak. Co ciekawe, gdy prowadzący rozmowę Karol Paciorek powiedział, że lubi wiersz „Jeśli” Josepha Rudyarda Kiplinga, ubiegającą się jeszcze wtedy o mandat poselski Wiśniewska zaczęła recytować go w oryginale.

Obserwatorzy polityki zwracają uwagę na gestykulację i dobór słów, które mogą wskazywać, iż wizerunek młodej posłanki z Łodzi nie jest przypadkiem. Dwudziesto-dziewięcioletnia magister polityki publicznej z Blavatnik School of Government (jednostka podlegająca Uniwersytetowi Oxford) nie wzięła się „znikąd”. Jest córką milionera Radosława Wiśniewskiego, który jest założycielem spółki Redan, stojącej za popularną marką odzieżową Top Secret. W kampanii pomagali jej prezydent Łodzi Hanna Zdanowska, a także szykowany do fotela szefa MSZ Radosław Sikorski. Pojawiały się też wątpliwości związane z agencją reklamową, która miała odpowiadać za wyglądający na polityczną reklamówkę Wiśniewskiej rzekomo apolityczny profil „Odważysz się?” na portalu X, a realizowała zlecenia dla Platformy Obywatelskiej. Ponadto formułowane były zarzuty o przypisywanie sobie zasług innych wolontariuszy pracujących na misjach humanitarnych w Jemenie i Iraku. Poseł odpiera krytykę, oceniając ją, w swoim stylu, jako koszt pełnienia „służby”. – Odwołując się do słów przewodniczącego Tuska, w jakiś sposób to jest służba, na której zawsze się traci. Jako kobieta odczułam to w kampanii, gdy byłam wielokrotnie atakowana w sposób seksistowski, w sposób rasistowski, podważający mnie jako osobowość. Wydaje mi się, że to by się nie wydarzyło, gdybym nie była kobietą. Mam nadzieję to zwalczać, żeby za cztery lata ta sama izba parlamentarna była pełniejsza kobiet – stwierdziła parlamentarzystka KO.

SELFIE MUSI BYĆ

Aż tak dużym wsparciem establishmentu nie może pochwalić się poseł KO Marcin Józefaciuk, który także zdążył już zostać zauważony przez media. Jednak nie ze względu na szczególne osiągnięcia, ale zamiłowanie do mówienia o osobie.

Swoistym memem stały się już jego wpisy w mediach społecznościowych – do niemalże każdego posta dodaje własne zdjęcie. Nieważne, czy powód ku temu jest czy go nie ma. Selfie musi być.

Józefaciuk do Sejmu, podobnie jak Wiśniewska, dostał się z łódzkiej listy KO. Nie jest to jednak postać zupełnie anonimowa. W nieodległej przeszłości prowadził w stacji TVN program pt. „Na stolatki rządzą... kasą”.

„Józefaciuk to prywatnie singiel, z zawodu anglista, wicedyrektor szkoły, w której prawie mieszka, i zamierza nadal godzić ławę poselską z ławkami w klasach. Uczył nawet dziewięciu przedmiotów” – wychwalał posta TVN. Nowy poseł nie ma oporów przed udzielaniem wywiadów. W rozmowie z „Gazetą Wyborczą” opowiedział m.in. o swoim znaku rozpoznawczym, czyli tatuażach, którymi uwielbia się chwalić. Ile ich ma? „Jeden wielki. Pierwszy zrobiłem sobie na studiach, na prawym ramieniu, to był pentagram” – opisywał. „To jest po prostu gwiazda pięcioramienna... Z powodu wierzeń tak mam. Jestem neopoganinem, czyli wicca, te sprawy” – dodawał.

Józefaciuk to także „mistrz reiki” – tłumaczy, że jest to system uzdrawiania, za pomocą którego może „leczyć dolegliwości fizyczne oraz psychiczne, doładowywać energetycznie”.

To jednak nie koniec. Nowy sejmowy nabytek KO jest również „mistrzem konchowania”. „Konchowanie to jest metoda polegająca na tym, że wkłada się do ucha taki jakby komin i w nim spala się pewne rzeczy. W rezultacie osadzają się w uchu olejki eteryczne, a efekt kominu powoduje, że wyciągane są różne syfy” – wyjaśniał. Jak gdyby było tego mało, Marcin Józefaciuk szczyty się tytułem „magistra metafizyki”. Tak o tym opowiadał: „Studio wałem, co prawda on-line, ale jednak, na amerykańskim uniwersytecie metafizycznym, po prostu interesują mnie te rzeczy. Tam było dużo psychologii, parapsychologii, nauki o człowieku. I to jest trochę dziwne, ale tak jest w Stanach, że osoba, która kończy taką szkołę, dostaje papiery pastora. Jestem więc też pastorem”.

Niemalą wesołość w mediach społecznościowych wzbudziło wygłoszone do pustej sali sejmowej oświadczenie posła Józefaciuka, w którym skarżył się on na „nagminny i intensywny hejt”. Hejtem bo-

wiem, w ocenie polityka, jest każda krytyka pod jego adresem (a także rzecz jasna internetowe żarty dotyczące jego widocznego gołym okiem samouwielbienia).

GENERACJA Z

Na byciu najmłodszym posłem tej kadencji próbuje się wybić poseł Adam Gomoła z Polski 2050. Na mównicy sejmowej występuje w obronie osób z „generacji Z” i – jak podkreśla – jest ich jedynym reprezentantem w izbie. – Panu, panie premierze, za to, co zgotował pan najmłodszym wyborcom, to płazem nie ujdzie – mówił do Mateusza Morawieckiego.

Problem w tym, że stawiając się w roli rzecznika niedysponujących z reguły większymi środkami studentów, Gomoła jest skrajnie niewiarygodny. Media szeroko opisały jego konseksje polityczno-rodzinne i to, jak najprawdopodobniej dzięki nim, mając zaledwie 24 lata, dostał „jedynekę” na opolskiej liście Trzeciej Drogi. Poseł przedstawia się jako ekonomista i przedsiębiorca. Tymczasem jest absolwentem Szkoły Głównej Handlowej, ale na kierunku finanse i rachunkowość. Dodatkowo mówi, że jest przedsiębiorcą, ale doświadczenie zawodowe zdobywał zaledwie od 2021 r., i to w rodzinnej firmie z branży sanitarno-grzewczej. Ojciec posła, Zbigniew Gomoła, właściciel firmy, nie chciał ujawnić, czym dokładnie zajmował się syn.

Na wyższy poziom autopromocję wyniósł poseł Lewicy Łukasz Litewka. W kampanii wielu zachwycało się jego bannerami wyborczymi, na których reklamował nie tylko siebie, lecz także psy szukające nowego domu. Dopatrywano się w tym chęci ocieplenia wizerunku. Jeżeli tak, to Litewce się udało. Mandat posła uzyskał (zdobywając prawie dwa razy więcej głosów niż Włodzimierz Czarzasty) i zaskoczył kolejną akcją. Wspomniane wcześniej plakaty z czworonogami zaczął przerabiać na gadzety z własnym wizerunkiem. W ramach aukcji można było zdobyć plecaki, portfele czy torby na laptopa z – dosłownie – fragmentem twarzy posła Litewki, np. jego... okiem. „Každy znajdzie coś dla siebie, np. portfel z zębem Litewki. Wszystko od złotówki” – zachęcał poseł z Sosnowca, co internauci odebrali z dużym entuzjazmem. Zebrane w ten sposób środki Łukasz Litewka obiecał przekazać na karmę dla zwierząt ze schroniska.



FOT. KONFEDERACJA KORONAPOLSKIE/FACEBOOK



Z dr Katarzyną Ratkowską, lekarzem psychiatrą
rozmawia Ryszard Gromadzki

Zmowa milczenia

RYSZARD GROMADZKI: Jest pani szykanowana przez Izbę Lekarską w Bydgoszczy za wypowiedzi na temat szkodliwości preparatów genetycznych nazwanych szczepionkami przeciw COVID-19 i na temat leczenia tej choroby amantadyną. Jaki jest obecnie status pani sprawy?

DR KATARZYNA RATKOWSKA: Nadal mam status oskarżonej. Rozprawa została odroczona, ponieważ przed rozprawą moja pełnomocnik w moim imieniu złożyła pozew do sądu o naruszenie dóbr osobistych oraz zawiadomienie do prokuratury z art. 231 par. 1 KK o nadużycie uprawnień urzędniczych przez przedstawicieli Bydgoskiej Izby Lekarskiej. Rażąco unaocznili się konflikt interesów i związany z tym brak bezstronności: oskarżająca mnie rzecznik odpowiedzialności zawodowej, która w sądzie lekar-

skim pełni rolę prokuratora, jest na liście wynagrodzeń firmy AstraZeneca – z konkretną kwotą. Lekarze z sądu lekarskiego należą do towarzystw medycznych, które w latach 2020–2022 otrzymały duże sumy od koncernów farmaceutycznych produkujących tzw. szczepionki przeciw COVID-19. To np. Towarzystwo Internistów Polskich z blisko 160 tys. zł od firmy Pfizer oraz AstraZeneca i Polskie Towarzystwo Pediatryczne – 360 tys. zł od samej firmy Pfizer. Również szpitale, w których pracuje dwóch lekarzy, otrzymywały konkretne kwoty od koncernów „szczepionkowych”. Pierwsza rozprawa przeciwko mnie odbyła się w marcu 2022 r. Ówczesna rzecznik odpowiedzialności zawodowej żądała zawieszenia mi prawa wykonywania zawodu

natychmiast, ówcześni sędziowie sądu lekarskiego nie zgodzili się na słowo „natychmiast”. Wiedziałam, że ciąg dalszy nastąpi. Po wyborach w izbach lekarskich rzecznicy oraz składy orzekające uległy zmianom personalnym.

Czy zajadłość, z którą zwalcza się takich lekarzy jak pani – lekarzy, którzy mają odwagę przestrzegać pacjentów przed powikłaniami i skutkami ubocznymi preparatów przeciw COVID-19 – ma swoje źródło w korumpowaniu środowiska lekarskiego przez firmy szczepionkowe?

W mojej ocenie powód jest głębszy. Ponadnarodowe agendy, przede wszystkim WHO, dążą do likwidacji wolnego zawodu lekarza. COVID-19 pokazał, jak dalece Ministerstwo Zdrowia i Naczelna Izba Lekarska tej presji ulegają. Dotąd w Polsce

zgodnie z Ustawą o zawodzie lekarza i Kodeksem Etyki Lekarskiej to lekarz – według swojej najlepszej wiedzy opartej na nauce, a także na doświadczeniu swoim i kolegów lekarzy oraz zgodnie ze swoim sumieniem – w dialogu z pacjentem ustalał dla niego najlepszy sposób leczenia. Obecnie jeszcze bardziej niż wcześniej – z ogromnej wiedzy z całego świata, tysięcy badań naukowych, tysięcy wydobytych wyrokami sądów tajnych dokumentów koncernów farmaceutycznych, danych ze statystyk zgonów i powikłań, doświadczeń własnych lekarzy – wiemy, że tzw. szczepionki przeciw COVID-19 są śmiertelnie niebezpieczne i powinny być dawno wycofane. Jednocześnie wiemy od początku tzw. pandemii, że są skuteczne leki stosowane bezpiecznie w medycynie od dziesięcioleci: najwięcej badań ma iwermektyna, która zmniejsza śmiertelność z COVID-19 aż o 92 proc. (!), poza tym są to hydroksychlorochina, najbardziej znana w Polsce amantadyna i wiele innych.

Wspomniała pani o skutkach ubocznych i powikłaniach spowodowanych przez preparaty genetyczne wykorzystywane masowo przeciw COVID-19. Jakie skutki uboczne i powikłania występują najczęściej? Jaka jest ich skala?

My, lekarze, z bólem serca patrzymy na to, przed czym wcześniej przestrzegaliśmy. Na przykład gwałtowny wysyp bardzo agresywnych nowotworów, wśród nich nazwane tak przez patomorfologów niemieckich „turboraki”, gdzie przebieg choroby to trzy tygodnie, bo nagle wszędzie są przerzuty i następuje zgon. Brytyjski expose-news.com, w artykule z 16 listopada br., na podstawie statystyk z amerykańskiej bazy VAERS pokazuje, że liczba przypadków raka zwiększyła się aż o 143 233 proc., czyli 1433 razy (!).

Możemy więc mówić o dramatycznym przyroście tego rodzaju przypadków i ich bezpośrednim związku z przyjęciem preparatów genetycznych na COVID-19?

Tak, ponieważ zgodnie ze statystykami gwałtowny wzrost zgonów i powikłań zdrowotnych w porównaniu z latami wcześniejszymi zaczyna się nie od czasu, kiedy wybuchła tzw. pandemia, ale dokładnie odkąd zostały wprowadzone tzw. szczepionki przeciw COVID-19. Poza nowotworami obserwujemy gwałtowny wzrost liczby udarów mózgu czy

zawałów serca, co jest dramatyczne zwłaszcza u młodych ludzi. Niedawno media w Polsce informowały o 14-letniej dziewczynce znalezionej na śniegu, która doznała wylewu krwi do mózgu. Nikt nie zadaje pytania: Skąd wylew u tak młodej osoby? Sam COVID-19 nie jest groźny ani dla dzieci, ani dla nastolatków. Natomiast według amerykańskiej bazy VAERS trzy najczęstsze przyczyny zgonów u dzieci, które przyjęły tzw. szczepionkę przeciw COVID-19, to: zatorowość płucna, zawał serca, migotanie komór w przebiegu zapalenia mięśnia sercowego. Wspomniany expose-news.com w artykule z 22 października br. podaje, że ryzyko śmierci u dzieci zaszczepionych przeciw COVID-19 wzrasta co najmniej 52 razy w porównaniu z niezaszczepionymi. Inne powikłania we wszystkich grupach wiekowych to schorzenia neurologiczne, np. stwardnienie rozsiane, otępienie, zapalenie mózgu i rdzenia kręgowego, zapalenie różnych narządów oraz wiele innych.

Artykuł z 5 grudnia br. z expose-news.com podaje, że w Wielkiej Brytanii (gdzie nie zaszczepiło się 30 proc. ludzi) od lipca 2021 r. do maja 2023 r. zmarło blisko 1 mln osób zaszczepionych przeciw COVID-19, w porównaniu z 61 tys. osób niezaszczepionych – czyli spośród zmarłych w tym okresie 94 proc. to osoby zaszczepione. Jak w tej sytuacji możemy zaufać WHO, organizacji finansowanej w ponad 80 proc. ze źródeł prywatnych, w tym przez koncerny farmaceutyczne, która nie tylko nie wycofuje szczepień, lecz także zaleca coraz to nowe szczepionki i nowe generacje tzw. szczepionek mRNA oraz procedury (w postaci tzw. traktatu antypandemicznego i podstępnie w postaci poprawek do już istniejących Międzynarodowych Przepisów Zdrowotnych IHR) narzucenie swojego bezwzględnego dyktatu państwom członkowskim, w tym Polsce?

Ludzie, którzy demaskują te procesy, uważani są za siewców teorii spiskowych.

Tak, zwłaszcza że umowy między koncernami i rządami są tajne, a zawartości fiolek zastrzyków badać nie wolno (jak przyznali profesorowie Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego w Polsce podczas interwencji poselskiej jesienią 2022 r.). Jednak niezależne laboratoria ze wszystkich kontynentów wykrywają

w składzie zastrzyków tlenek grafenu, metale ciężkie, nanolipidy, które dotąd nie były dopuszczone dla ludzi, tylko do doświadczeń w laboratoriach, cząstki DNA zwane plazmidami z zanieczyszczeń m.in. bakteryjnych, które zagrażają naszej genetyce.

Proszę zauważyć, że ludzie, którzy stawiają pytania, są zwalczani. Lekarzy, którzy mają podobne procesy w izbach lekarskich, jest w Polsce ok. 130. Niektórym już zawieszono – czyli de facto odebrano – prawo wykonywania zawodu. Jednocześnie nie ma pozwolenia na jakąkolwiek debatę naukową. Nie ma możliwości dyskusowania na ten temat. Przecież nauka polega na ścieraniu się poglądów, na dyskusowaniu, na szukaniu prawdy przede wszystkim. Ustawa o zawodzie lekarza oraz Kodeks Etyki Lekarskiej zobowiązują lekarza do dzielenia się swoją wiedzą medyczną, w tym do informowania o powikłaniach oraz o możliwościach leczenia.

Dobra wiadomość jest taka, że lekarze z całego świata mają wypracowane protokoły do zapobiegania, a nawet do pewnego stopnia do leczenia powikłań poszczepiennych. Są to płyny, co najmniej 2,5l/dobę, witaminy, antyoksydanty i zioła – m.in. witamina D3, ok. 10 tys. j.m./dobę, pod kontrolą jej poziomu we krwi, który powinien wynosić między 60 a 200 (z dodatkiem witaminy K, np. ADEK 1 x 1 kaps), witamina C, ok. 3 x 1000 mg, herbata z pędów sosny oraz mniszek lekarski, korzeń i liście; spośród antyoksydantów najwięcej badań ma N-acetylocysteina (NAC) 2 x 1000 mg (z której w organizmie powstaje glutation), cynk ok. 20–40 mg, astaksantyna, chlorella z olejkami z kolen-dry, sok z aronii, sok z kiszonych buraków, soki ze świeżo wyciskanych warzyw sezonowych (m.in. dyni), pyłek pszczeleli i pierzga po kilkugodzinnym namoczeniu w wodzie, propolis (wszystko do nabycia w sklepach zielarskich i najlepiej polskich firm). W poważniejszych przypadkach pod ścisłą kontrolą lekarską bywają też stosowane takie leki, jak Iwermektyna czy Vermox. Pełne protokoły można znaleźć na stronach: naukabezcenzury.pl; psnlin.pl; geni.us/FLCCC_postvaxproto-co. Warte polecenia są też: medycynadziei.pl; ordomedicus.org.

Chcę jeszcze wspomnieć o najważniejszej rzeczy w dzisiejszym trudnym czasie – jest nią modlitwa. © Wszelkie prawa zastrzeżone

W imię dzieci

Monika Horna-Cieślak proponuje
zniesienie systemu ocen
z wychowania w szkołach

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP



Łukasz Zboralski

Nowa rzecznik praw dziecka chce budować pomoc systemową. To dobrze. Jednak czy wszystkie jej propozycje naprawdę pomogą najmłodszym i ich rodzicom?

Nasza Monika – tak nową rzecznik praw dziecka nazywać mają organizacje pozarządowe zajmujące się niesieniem pomocy młodzieży. Tak twierdziła posłanka KO Marzena Okła-Drewnowicz, gdy prezentowała w Sejmie kandydaturę Moniki Horny-Cieślak. – Drogie dzieci, już za kilka chwil będziecie mieć prawdziwego rzecznika. Osobę, dla której będziecie najważniejsi. Osobę z sercem na dłoni – podkreślała.

Kandydatkę chwaliła też Dorota Łoboda z KO: – Mecenas Horna-Cieślak nie mówi o tym, że klaps to nie jest przemoc. Będzie reprezentować wszystkie dzieci i młode osoby, niezależnie od ich pochodzenia, wyznania, statusu materialnego, stopnia niepełnosprawności, neuroróżnorodności, tożsamości płciowej czy orientacji seksualnej.

Po koniec listopada najpierw sejmowe Komisja Edukacji, Nauki i Młodzieży oraz Komisja Sprawiedliwości i Praw

Człowieka, a potem parlamentarzyści na sali plenarnej pozytywnie zaakceptowali tę kandydaturę. Monika Horny-Cieślak zastąpi na stanowisku Mikołaja Pawłaka, który pełnił funkcję od 2018 r.

ZBUNTOWANA MECENAS

Monika Horna-Cieślak ma 34 lata, jest adwokatem z Grudziądza. Sprawami młodych ludzi – jak opowiadała w wywiadzie dla KAI – zainteresowała się sama na fali własnego nastoletniego buntu: „Kiedy miałam 14 lat i oglądałam »Rozmowy w toku« Ewy Drzyzgi, usłyszałam, że dzieci są krzywdzone. To wywołało we mnie złość. Bo o tym dopiero się w Polsce mówiło. To były początki 2000 r. Byłam zła, że moi rówieśnicy cierpią, podczas gdy ja mam dobrą, ciepłą i kochaną rodzinę. Potem wystartowałam dzięki wsparciu prof. Kamili Melkowskiej-Lemke w olimpiadzie o prawach człowieka i uczyłam się systemu ochrony praw człowieka, praw

dzieci. To mnie zafascynowało. Kiedy miałam 19 lat i zaczynałam wolontariat w Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę (wtedy Fundacja Dzieci Niczyje), wiedziałam już doskonale, że połączę prawo z pomaganiem dzieciom i że to jest moja pasja, że w tej dziedzinie oddam całe swoje serce”.

Następczyni Mikołaja Pawłaka chce podejść systemowo do rozwiązywania problemów dzieci. To dobra wiadomość. System zawsze działa lepiej niż pojedyncze interwencje. A próbkę takiego działania mecenas już zaprezentowała – była współautorką nowelizacji nazwanej „ustawą Kamilla”. To zmiana Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego, która została złożona w Sejmie po tym, gdy w marcu Polską wstrząsnęła sprawa pięcioletniego chłopca pobitego i poparzonego przez ojczyma w domu. Katowiane dziecko zmarło w szpitalu, pomoc przyszła za późno.

Przyjęta w sierpniu nowelizacja wprowadza w Polsce (niektóre zapisy dopiero zaczną obowiązywać) m.in. opracowanie i wdrożenie jasnych procedur postępowania w przypadku podejrzenia przemocy wobec dziecka; zobowiązanie sędziów do odbywania cyklicznych szkoleń w sprawach dzieci; wprowadzenie we wszystkich placówkach pracujących z dziećmi standardów dotyczących weryfikacji personelu pod względem przemocy wobec dzieci i przestępstw seksualnych; powołanie przez ministra sprawiedliwości zespołu ekspertów, którzy będą analizować przypadki krzywdzenia dzieci i proponować zmiany systemowe.

Horna-Cieślak jest też współautorką nowelizacji, która ułatwia młodym ludziom dostęp do psychologa bez opiekuna prawnego.

Kandydatka na RPD uczestniczy również w pracach nad systemowymi zmianami dotyczącymi wdrażania Krajowego Planu Przeciwdziałania Przestępstwom przeciwko Wolności Seksualnej i Obyczajności na Szkodę Małoletnich na lata 2023–2026.

„NEURORÓŻNORODNOŚĆ” I WYCHOWANIE

I tu pojawiają się pierwsze zgrzyty. Horna-Cieślak przekonuje bowiem, że bardzo istotne jest wychowanie seksualne w szkołach, które w jej mniemaniu niesłusznie ujmowane jest przez przeciwników jako „seksualizacja” dzieci.

Jej poglądy rozmiągają się tu jednak z poglądami polskich rodziców. Jeszcze za czasów pierwszych rządów PO-PSL eksperci Instytutu Badań Edukacyjnych przyglądali się tej kwestii. Zdanie rodziców w Polsce było jasne – o tych sprawach chcą sami rozmawiać ze swoimi dziećmi i nie są chętni, by robił to za nich ktoś w szkołach (zgoła innym problemem jest to, że deklarujący to rodzice jednocześnie sami bardzo rzadko rozmawiają na te tematy z własnymi dziećmi).

Nieco bardziej zaskakująca jest zapowiedź przyszłej rzecznik praw dziecka na temat ocen z wychowania w szkołach. A pada ona w kontekście podkreślanej przez mecenas walki o prawa dzieci z „neuroróżnorodnością”. Nie wchodząc zbyt głęboko w historię tego terminu – za jego pomocą pragnie się odróżniać osoby, które zachowują się inaczej nie z powodów medycznych, ale z powodów „barier społecznych”. Mówiąc prościej – do tej grupy zaliczane będą dzieci z różnymi spektrami autyzmu. Mają one często poważne kłopoty z dostosowaniem się do grupy i wymagają wsparcia.

Monika Horna-Cieślak proponuje, by w związku z uczestnictwem takich dzieci w systemie szkół publicznych – nie specjalnych – znieść w placówkach w ogóle ocenę z zachowania. Bo dla dzieci, które nie potrafią się zachowywać prawidłowo, taki system rzekomo jest niesprawiedliwy.

Tu za głowy muszą złapać się nauczyciele szkół podstawowych, którzy już dziś – mimo wparcia nauczycieli współpracujących – borykają się z systemowymi problemami pracy w klasach, w których nierzadko 20–30 proc. uczniów ma rozmaitego rodzaju orzeczenia i tworzone są dla nich specjalne dokumenty opisujące inne podejście dydaktyczne (zwykle obniżone wymagania). W każdej z takich szkół normą jest także dostosowanie systemu oceniania z zachowania, a nie tylko przedmiotów szkolnych. Zachowanie dzieci z orzeczeniami oceniane jest inaczej niż uczniów „neurotypowych”. A gdy jakiś nauczyciel przez niewiedzę czy niedopatrzenie postawi ujemne punkty z zachowania – rodzice takich dzieci interweniują błyskawicznie i punkty karne z systemu szybko znikają.

Zamach na szkolne systemy oceniania podyktowany nawet troską – choć przesadzoną – o dzieci „neuronietyczne” byłby poważnym ciosem dla systemu wychowawczego w szkołach w ogóle. Nauczyciele i tak mają obecnie skromne środki do dyscyplinowania uczniów – najczęściej są to systemy punktowe, w których za złe zachowanie można odebrać punkty, a uczeń może je odzyskać, podejmując działania pozytywne (wolontariat, dodatkowe zajęcia, wsparcie w nauce dla mniej zdolnych kolegów itd.). Rozerwanie nawet tak szczątkowego systemu wychowawczego w zderzeniu z coraz bardziej roszczeniowymi postawami rodziców grozi całkowitym upadkiem etosu nauczyciela, który i tak nie znajduje się na szczytowym poziomie w czasach, gdy to zarobki i dochody często są dla ludzi jedyną wykładnią „autorytetu” i „pozycji społecznej”.

Ta propozycja przyszłej rzecznik praw dziecka w odróżnieniu od innych jej postulatów mogłaby przynieść więcej szkody niż pożytku.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Pobyty w terminach:
13.12 – 20.12.2023
oraz 03.01 – 25.02.2024

LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny, Dla Aktywnych, Biodra, Kolana, Bark, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie
- *możliwa dopłata



Turnus Świąteczny 20.12 – 27.12.2023, Turnus Noworoczny 27.12.2023 – 03.01.2024



tel. 54 416 70 00

www.podtezniemi.pl

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek



Piotr Gociek

W natłoku premier królują banał i wątpliwy humor. Można uśmiechnąć się z Eddiem Murphym, zaśpiewać z Brandy. Jednak kto szuka prawdziwych wzruszeń, niech obejrzy film „Pasterz”



„Rodzinne zamiany”

Christmasoterapia

Cóż pozostaje w natłoku filmowych wyrobów świątecznopodobnych? Cieszyć się detalami, szukać drobiazgów, które mają jeszcze jakieś znaczenie. Reszta to miazga w kolorach zieleni, bieli i czerwieni plus okazjonalnie granat nieba i błysk gwiazdki na niebie. Święty Mikołaj wysłał w niepamięć Dzieciątko, Santa Claus pokonał Świętego Mikołaja, a dziś coraz częściej okazuje się, że nawet i Santa Claus nie jest do niczego potrzebny, bo żyjemy w czasach christmasoterapii, w których choinka i świąteczne spotkanie to tylko symboliczne wzmocnienie prostych komunikatów: nie bądź samolubem, docień to, co masz, wyzbądź się zazdrości, bądź dobry dla innych, zastanów się nad swoim życiem. Tyle że zamiast uiszczać zapłatę u recepcjonistki psychoterapeuty, płacimy comiesięczną daninę dla ulubionego streamingowego serwisu.

Najbardziej oczekiwaną premierą sezonu świątecznego był film „Świąteczna Aleja” („Candy Cane Lane”) zamówiony przez Amazon Prime. Nie dziwota – gwiazdą jest tu Eddie Murphy, który dał nam przecież kiedyś tyle radości w zimowej nowojorskiej farsie „Nieoczekiwana zmiana miejsc”. Teraz Murphy jest statecznym ojcem rodziny w kalifornijskim El Segundo słynącym z dorocznych konkursów na świąteczny wystrój domów i ogródków. Od lat przegrywa, bo jego pracownicy

strugane z drewna ozdoby nie mają szans w konkurencji z gigantycznymi dmuchańcami sąsiada z naprzeciwka. Ale przychodzi rok, w którym nagrodą jest 100 tys. dol., tak się zaś składa, że nasz bohater właśnie traci pracę. Zrobi więc wszystko, aby wygrać, zapominając, że święta to czas na myślenie o rodzinie, a nie o pieniądzu.

BRZMI ZNAJOMO?

Lekcji współczesnemu Scrooge'owi udzieli nadpobudliwy elf płci żeńskiej (świetna Jillian Bell). Za magię – zwłaszcza użytą z nieczystych pobudek – trzeba gorzko zapłacić. Eddie Murphy wygląda, jakby czas się go nie imał, wciąż ma ekranową charyzmę, której inni mogą tylko pozazdrościć. Film Reginalda Hudlina udany jest jednak tylko częściowo, bo do fabuły zapakowano zbyt wiele szalonych pomysłów (wyszło z tego skrzyżowanie „Opowieści wigilijnej”, „Matłych żołnierzy” i tekstu kolędy „Twelve Days of Christmas”). Najlepsze żarty słyszemy podczas oglądania napisów w scenach usuniętych. Na przykład kiedy Eddie Murphy mówi do czarnoskórego Santa Clausa: „Biały Mikołaj by nam pomógł!”. Ale skoro obiecałem łowienie budujących drobiazgów, to mam taki wychwycony w „Świątecznej Alei”: kluczowym elementem przechrzta występnego elfki okazał



„Pasterz”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (X4)

się małżeńskie obrączki. Tego się po Hollywood nikt nie spodziewał!

Jeśli chodzi o porcję świątecznej sacharyny, to jak co roku przoduje Netflix z potopem komedii romantycznych i rodzinnych, ilustrowanych symboliką już nawet nie świąteczną (znaczy christmasową), lecz po prostu winterbreakową; w tym świecie największym cudem czasu Bożego Narodzenia jest śnieg na ulicach Los Angeles. Nie będę udawał, że obejrzałem wszystkie nowości, skoncentrowałem się na tych, które błyskawicznie wzbłyły się na szczyt oglądalności serwisu. A tam m.in. kolejny dowód na to, że publiczność najbardziej lubi te piosenki, które już zna. Film „Rodzinne zamiany” („Family Switch”) to kolejna wariacja na temat doskonale znany od czasu premiery powieści F. Ansteya „Vice versa”, która ukazała



„Świąteczna Aleja”



„Najlepsze święta w życiu”

się w roku 1882. Za sprawą magicznego kamienia ojciec i syn zamienili się ciałami; krótka lekcja cudzego życia nauczyła ich szanować przeciwności z którymi się zmagają. Brzmi znajomo? No jasne, Disney kilkakrotnie sięgał po ten pomysł, od pewnego momentu ekranizując już nie dzieło Ansteya, lecz inspirując się powieścią Mary Rodgers „Zakrecony piątek” (1972). Wielu pamięta film pod tym tytułem z Jamie Lee Curtis (2003) albo konkurencyjny projekt „Dziś 13, jutro 30” (2004). Świąteczne wersje też się pojawiały w ostatnich dekadach, głównie w postaci filmów telewizyjnych.

Teraz dostajemy powtórkę z rozrywką na bogato, bo w obsadzie „Rodziny zamian” figurują Ed Helms i Jennifer Garner. Rodzina Walkerów niespecjalnie się ze sobą dogaduje; za sprawą koniunkcji planet pozamieniają się rolami – reszta przewidywalna, z nowości mamy magiczną hipiszkę. Helms i Garner kradną show, nieźle dają sobie radę Emma Myers i Brady Noon jako ich nastoletnie dzieciaki, ale część gagów jest wysilona. Cóż można myśleć o komedii, w której pierwszym dowcipem jest pies sikający na choinkę? O dziwo, film ma jednak tempo i może dlatego widzowie nie zwracają uwagi na jego słabości. W każdym razie na tyle, by

stał się jednym z przebojów grudnia.

Niemal równie popularną świąteczną nowością Netflixa okazał się film Mary Lambert „Najlepsze święta w życiu” („Best. Christmas. Ever!”), reklamowany błędnie jako komedia romantyczna. Nie chodzi w nim bowiem o to,

kto kogo w jakiej kolejności pozna i pokocha oraz w jakiej konfiguracji pary dobrną do końca fabuły. Zaczyna się obiecująco – w wyniku pomyłki rodzina Sandersów zamiast przed drzwiami domu siostry pojawia się w rezydencji Jenningsów, u dawno niewidzianej koleżanki ze studiów. Owa koleżanka (gra ją populara wokalistka Brandy) ma wszystko: cudownego męża, udaną karierę, wielki majątek, cudowną i genialną córkę. Na tym tle Sandersowie wyglądają jak banda nieudaczników. A jako że uwielbiamy za własne niedole winić innych oraz ponieważ wszyscyśmy zazdrośni i podejrzliwi wobec sukcesu innych, pani Sanders postanawia udowodnić, że to wszystko tylko pozory. Jednocześnie dzieci Sandersów i Jenningsów prowadzą własne śledztwo: czy Święty Mikołaj istnieje? (Ten wątek jest akurat najbardziej udany).

W tym filmie też wszystko trzyma się na obsadzie, bo scenariusz okazuje się warty. Ale Heather Graham jako znerwicowana i przegrana pani domu oraz Jason Biggs jako jej rozpamiętujący dawne czasy mąż wydają się wiarygodni. Podobnie wiarygodne (i nieczęściwe) są ich strumatyzowane dzieci. Kryje się gdzieś tu temat na dobry film, niekoniecznie świąteczny. Wszystko to jednak znika, gdy sprawy przybiorą obrót nader melodramatyczny. Stawiam więc „Najlepsze święta w życiu” półkę niżej niż „Rodzinne zamiany” i „Świąteczną Aleję”. Jest jednak w tym filmie drobiazg dawno niewidziany w chrześcijańskich produkcjach – mieszkańcy miasteczka gromadzą się w wigilijny wieczór, by obejrzeć przedstawienie szopki bożonarodzeniowej: jest mały Jezus, są aniołowie, pojawiają się trzej królowie. Ale to tylko chwila, to pozór, który natychmiast zostaje zabity przez bardziej pasujący do XXI w. przekaz: zbiorowe śpiewanie „Santa Claus Is Coming to Town”, a kadr ustawiony jest tak,

byśmy broń Boże kołyski z Dzieciątkiem nie ujrzeli.

URATOWAĆ ŚWIĘTA

A czy pojawiła się w takim razie w tym roku jakaś świąteczna produkcja, którą z czystym sumieniem mogę polecić? Niespodzianka – jest! W serwisie Disney+ znaleźć można krótki (40 minut) film „Pasterz” („The Shepherd”) na podstawie minipowieści Fredericka Forsytha w reżyserii Iaina Softleya, wyprodukowany przez Alfonsa Cuarona. Mamy oto wigilię Bożego Narodzenia roku Pańskiego 1957. Z alianckiej bazy w Niemczech startuje młody pilot Freddie (Ben Radcliffe). Tak się złożyło, że będzie mógł spędzić święta w domu, trzeba tylko wykonać krótki skok ponad Morzem Północnym – nieco ponad godzinę lotu.

Freddie wkrótce straci kontakt z bazą, potem awaria dotknie jego instrumenty pokładowe, aż wreszcie pojawi się mgła uniemożliwiająca nawigację wzrokową. Śmierć wydaje się nieuchronna, a jak trwoga – to do Boga. Sięgnijmy po cytaty z Forsytha. „Nie modliłem się od wielu lat, w każdym razie nie tak, jak należy, więc prawie zapomniałem, jak to idzie” – spowiada się czytelnikowi bohater narrator. Aż wreszcie w kokpicie wypowiada słowa: „Proszę, Boże, spraw, aby ktoś tam mnie zauważył; proszę, spraw, aby ktoś wysłał pasterza, który bezpiecznie sprowadzi mnie na ziemię. Proszę, pomóż mi”. Freddie modli się, choć myśli sobie: „Tak długo nie zwracałem się do Niego, że pewnie zupełnie o mnie zapomniał”.

Pomoc nadejdzie, więcej nie zdradzę, ale że Pan Bóg potrafi pisać prosto po liniach krzywych, nie będzie to ratunek oczywisty. „Pasterza” napisał Forsyth w roku 1974, w święta Bożego Narodzenia, jako prezent dla swej żony Carol. Rok później ta krótka powieść ukazała się drukiem, a dzięki wielu wersjom radiowym szybko stała się świąteczną klasyką. Film (w którym obok Radcliffe’a zagrał także John Travolta) też czeka ten los, nie mam wątpliwości. To wzruszająca i staromodna historia, która łączy motywy świąteczne z poważniejszą refleksją i hołdem dla bohaterów. Raz jeszcze biały facet o konserwatywnych poglądach (mam na myśli Forsytha, ale może nie tylko jego?) uratował święta. Przynajmniej te na małym ekranie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Ślepnąc od wody



★★★★★

REŻ. LESZEK
DAWID
„INFORMACJA
ZWROTNA”
POLSKA 2023

wyst. Arkadiusz
Jakubik, Jakub
Sierenberg, Agata
Turkot

Tato, zrobiłem coś strasznego. Te słowa z konwersacji z synem Marcin Kania zapamiętał. Reszta to mrok i mgła, zapijaczony umysł dawnego rockmana wiele nie zachował. Tymczasem Piotr zniknął, a okrwawionego Marcina policja podejrzewa o najgorsze. Bohater „Informacji zwrotnej” zabiera się więc za prywatne śledztwo: Co stało się z synem? Porwany? Zabity? Dlaczego? Przez kogo?

Ekranizacja powieści Jakuba Żulczyka jest jedną z najlepszych produkcji Netflixu mijającego roku. Reżyser Leszek Dawid („Jesteś Bogiem”) prowadzi całość pewną ręką, nastrój budują świetne zdjęcia Pawła Flisa, kreacja Arkadiusza Jakubika w roli głównej jest znakomita. Oglądając jego kre-

ację, trudno nie przypomnieć sobie Janusza Gajosa w „Żółtym szaliku”. Ale pięcioodcinkowy serial okazuje się czymś więcej niż kryminałem popularnego nad Wisłą gatunku „Warsaw noir”. Po pierwsze, jest chyba najmocniejszym dotąd oskarżeniem mafii repywatyzacyjnej warszawskich czyścicieli kamienic. Po drugie – i najważniejsze – jest tak naprawdę opowieścią o piekle pijaństwa.

„Szalona podróż w najciemniejsze zakamarki Warszawy”, którą obiecuje nam reklamowe hasło Netflixu, nie jest bowiem odyseją przez kolejne kręgi warszawskiego kryminalnego półświatka. Ważniejsza jest podróż, którą odbywa sam Marcin Kania, przerośnięty chłopiec, któremu zawsze wszystko

N przychodziło zbyt łatwo, więc o nic specjalnie nie dbał. Kumpel z zespołu zrobił na nim wielkie pieniądze, rodzina tolerowała pijackie wybryki, a syn... Cóż, relacja Kania z synem jest w sercu tej historii o człowieku, któremu wódka wygładzała przez długie lata wszystkie krawędzie życia. Nie widział więc, że kaleczy i niszczy.

Można „Informację zwrotną” oglądać jak thriller, w końcu przestępcze machinacje wprowadzają fabułę w ruch, a główny bohater prowadzi dochodzenie. Tyle że jest to dochodzenie w jego własnej sprawie – pijak potrafi oczarować i okłamać wszystkich, ale najlepszy jest przecież w oszukiwaniu samego siebie. Jedna drobna wada: nadużyto w „Informacji zwrotnej” narracji spoza ekranu, monologów bohatera jest za dużo i niepotrzebnie dopowiadają i to, co da się opowiedzieć obrazem, i to, co można było zostawić w niedopowiedzeniu. ©©



NOWE SERIALE: „MONARCH: DZIEDZICTWO POTWORÓW”

Monarch to organizacja tropiąca gigantyczne zmutowane bestie: jesteśmy w świecie, w którym żyją Godzilla, King Kong itp. Po śmierci ojca, który wszedł Monarchowi w drogę, przyrodnie rodzeństwo (pan Randa miał dwie rodziny: amerykańską i japońską, które o sobie nie wiedziały)

próbuje rozwikłać zagadkę jego zniknięcia. Plus Kurt Russell jako dzielny wojak Lee Shaw, aktualnie na emeryturze. ©©

Piotr Gociek

• sezon 1 „Monarch: dziedzictwo potworów” („Monarch: Legacy of Monsters”), USA 2023



NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Matthew Heineman „Jon Batiste: Amerykańska symfonia” („American Symphony”), USA 2023
- reż. Tonya Noyabrova „Kochasz mnie?” („Ty mene lubysh?”), Ukraina 2023
- sezon 2 „Reacher”, USA 2023



Stary Gatsby

HBO max

Chcesz zostać gwiazdą literatury? Nic prostszego! Dał nam przykład Houellebecq, jak zwyciężać mamy. Dziś ważniejsza od książek jest osobowość pisarzy, a dokładniej ich talent do autoreklamy i wywoływania obyczajowych lub przynajmniej politycznych skandali. Wydawcy, którzy jeszcze tego nie wiedzą, są skazani na wymarcie. Lucy, walcząc o przetrwanie odziedziczonej po ojcu firmy, stawia wszystko na jedną kartę. Promuje prozę alkoholika hulajgęby, który poprzednią powieść napisał pół wieku temu i ochoczo daje do zrozumienia, że „nienawidzi wszystkich”. Cykl spotkań autorskich, organizowanych w podrzędnych knajpach, robi z niego idola młodzieży. Łza się w oku

kręci na myśl, że to może być jeden z ostatnich filmowych występów Caine'a. Wcielić się w irytującego dziadę to dla niego fraszka. Szacun dla Plazy, która nie dała się zdominować utytułowanemu koledze i cały czas gra swoje – czyli dziewczę gotowe na każde poświęcenie, byle udowodnić, że nawet w epoce upadku czytelnictwa cuda się zdarzają.



★★★★★

REŻ. LINA ROESSLER
„JAK STWORZYĆ BESTSELLER”
(„BESTSELLERS”) KANADA/WIELKA
BRYTANIA 2021

wyst. Michael Caine, Aubrey Plaza, Scott Speedman

Komediodramat wbrew pozorom nie jest łatwym gatunkiem, wymaga od twórców sporego wyczucia. Reżyserka debiutantka zgrzeszyła brakiem czujności, wpadła w pułpkę sentymentalizmu. Kino nigdy nie zdoła spłacić długu zaciągniętego u mistrzów słowa pisanego, ale miło, że próbuje. ©©

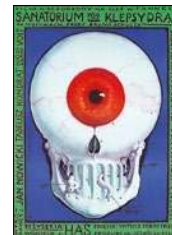
Wiesław Chełmniak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CZAS NIEDOKONANY

DVD VIDEO



★★★★★

REŻ. WOJCIECH J. HAS
„SANATORIUM POD KLEPSYDRĄ”
POLSKA 1973

wyst. Jan Nowicki, Tadeusz Kondrat, Halina Kowalska

Pół wieku minęło od premiery filmu, który przekonał ostatnich wątpiących, że Polacy są narodem poetów. „Sanatorium pod klepsydrą” zachwyca przede wszystkim formą. Scenografia Jerzego Skarżyńskiego powinna zostać zrekonstruowana i umieszczona jako stały eksponat w Muzeum Światowej Kinematografii. Zdjęcia Witolda Sobocińskiego dowodzą, że inteligencja wsparta pomysłowością może pokonać wszelkie ograniczenia. Co do treści, to w pełni zdołało ją pojąć tylko trzech ludzi. Niestety, jeden już umarł, drugi zwariował, a trzeci wszystko zapomniał. Czas to nieokiełznany żywioł, a tu w dodatku obcujemy z czasem przeszłym niedokonanym. Zmarłym wydaje się, że nadal żyją. Ba, wystarczy wczłgać się pod łóżko, by wrócić do oszałamiającej krainy dzieciństwa. Galicyjsko-żydowski rodowód nie jest wymagany. Jak mawiał Bruno Schulz: „Czyż pod stołem, który nas dzieli, nie trzymamy się wszyscy tajnie za ręce?”. ©©

WĘŻE W RAJU

KINO



★★★★★

REŻ. TEREZA NVOTOVÁ
„ŚWIATŁONOC”
(„SVETLONOC”) SŁOWACJA/
CZECHY 2013

Lubicie magiczny realizm, baśnie o przystojnych pasterzach, zacnych zielarkach oraz bachanaliach urządzanych w świetle księżyca? A może kręcą was neopogańskie, mroczne opowieści o wiedźmach porwijących nieochrzczone dzieci, by wypić ich krew? Wszystko to (a nawet więcej) zawiera „Światłonoc” – filmowy odpowiednik rosnącej w siłę ekofeministycznej prozy, w której kobiety pragnące same decydować o swoim losie stają się obiektami agresji brutalnych, uzależnionych od alkoholu samców. Święta wojna z patriarchatem trwa, w krucjatach jeńców się nie bierze. Szkoda jednak, że częścią potępianej przez autorki filmu tradycji jest instynkt macierzyński. Są i pozytywty: dramat Miry i Szaloty rozgrywa się w pięknych okolicznościach przyrody, z widokiem na Wielką Fatrę i Słowacki Raj. W porównaniu z „Pokotem” Agnieszki Holland „Światłonoc” to cud-miód, ultramaryna, lecz polecam twórczość Jagody Szcel. ©©

wyst. Natalia Germani, Eva Mores, Juliana Olhová

Wiesław Chełmniak

GRA TYGODNIA: „WARIOWARE MOVE IT!”

Ten pakiet minigier sprawdzi się, gdy wpadną goście albo gdy zechcemy włączyć dzieciom coś, przy czym będą musiały się troszeczkę poruszać. W zależności od wybranej aktywności trzeba będzie wymachiwać, uderzać

czy potrzasać Joy-Conami, robić skłony i podejmować inne mniej lub bardziej zabawne aktywności. Rodzaju szybkich minigier jest tu multum, a niektóre z nich są całkiem pomysłowe. Jest tryb fabularny z Wario w roli głównej, ale

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



znacznie częściej będą tu państwo włączać tryb imprezowy. ©©

Radosław Wojtas

• **Gatunek:** zręcznościowe
• **Platforma:** Switch
• **Producent;** wydawca PL:
Nintendo; ConQuest Ent.



KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Panicze i paniska

Od ogłoszenia „Listów na wyczerpanym papierze” poprzez bijący rekordy oglądalności serial „Osiecka” Jeremi Przybora (1915–2004) – współtwórca Kabaretu Starszych Panów, scenarzysta, autor tekstów przepięknych piosenek pisanych do muzyki Jerzego Wasowskiego i – jak sam o sobie mawiał – nie poeta, a lirycysta – coraz bardziej staje się też Pierwszym Casanovą PRL. Wizerunek ten podtrzymuje wydana właśnie jego biografia wymownie, choć przewrotnie zatytułowana „Żuan Don”.

Na szczęście autorka tej potężnej, ponad 600-stronicowej książki czy raczej księgi, Maria Wilczek-Krupa, nie ograniczyła się do opowieści o licznych przewagach miłosnych swojego bohatera, choć to one są osią biografii, obejmującej trzy epoki życia Przybory, którego dzieciństwo i wczesna młodość przypadły na II Rzeczpospolitą, dojrzałość na PRL, a schyłek na III RP. „Żuan Don” powstawał aż pięć lat; biografia jest efektem gigantycznej pracy w nią włożonej, niezliczonych rozmów z krewnymi, przyjaciółmi i ze znajomymi artysty, dzięki czemu otrzymaliśmy portret wielowymiarowy, do tego namalowany na wnikliwie i kompetentnie przedstawionym tle: historycznym, społecznym i, oczywiście, obyczajowym.

Nie kryjąc fascynacji postacią Jeremiego Przybory, nie omija Maria Wilczek-Krupa tych zdarzeń, które niekoniecznie stawiają go w korzystnym świetle. Może tylko nie zgłębia ich tak mocno, jak innych, a szkoda, bo np. okres stalinowski w życiu tego przedwojennego panicza wciąż skłania do stawiania licznych pytań. Podstawowe fakty są znane: Przybora wstąpił do PPR w grudniu 1946 r., legitymację PZPR oddał latem roku 1957 r.



FOT. WITOLD ROZMAŃCZAK/PAF

Podobno Jerzy Wasowski na wieść o wystąpieniu Przybory z partii „chwycił się za brzuch ze śmiechu.

– No, nie mogę! – śmiał się do rozpuku. – Wypisał się z partii, ho, ho! Jak z Towarzystwa Przyjaciół Pelargonii! Nie wytrzymam!

Przybora wzruszył ramionami i nie powiedział słowa”.

W 1946 r. jego ideologicznym przewodnikiem był dyrektor Polskiego Radia w Bydgoszczy, gdzie wtedy Przybora się znalazł, Tadeusz Kański, a do PPR wprowadzała go Irena Olecka, żona szefa informacji i propagandy radiowej w Warszawie, ale – co ważniejsze – siostra samego Jakuba Bermana. Naturalnie w pracy pisał Przybora na zadane tematy, do tego redagując w rozgłośni ścienną gazetkę (!), można wnioskować, że przeciekać chciał rozpoczynający się, najgorszy okres w powojennej Polsce, ale dają do myślenia słowa jego matki: „Ciebie jeszcze powiesz za to, co wygadujesz, zobaczysz”. Po latach w wywiadzie telewizyjnym udzielonym Magdzie Umer mówił „o dobrobycie, stabilizacji, sprawiedliwości, tym wszystkim, co się z tym w nadziejach ludzkich w tamtym czasie wiązało”. W każdym razie żałował swojego powojennego zaangażowania, obejmującego i niemającą część tekstów pisanych dla rzekomo apolitycznego radiowego „Eterka”, i dla „Polskiej Kroniki Filmowej”, gdzie był również lektorem. Inna

sprawa, że akurat Umer, wobec której formułował te duszne żale, z racji rodzinnych adresatem była zastanawiającym.

Bodaj ostatnim wywiadem, którego udzielił Przybora, był ten opublikowany w 2003 r. w „Tygodniku Powszechnym”, który przeprowadzał Grzegorz Turnau (później wydać miał płytę z piosenkami swego rozmówcy – „Cafe Sułtan”). Powiedział w nim: „– A wie pan, że to była wtedy bardzo ważna formacja: panicze. Ludzie, którzy mieli czas na patriotyzm, na pielęgnowanie tradycji. Bo na patriotyzm trzeba jednak mieć czas i odrobinę pieniędzy. Nie można być zaszczutym w pogoni za szmałem, karierą. I oni byli patriotami, czego dowiedli tym, że prawie wszyscy zginęli potem w powstaniu. To był ich egzamin patriotyczny. Z tą chwilą skończyła się moja Polska”.

Przybora przeżył powstanie warszawskie, w którym był spike'em cywilnej rozgłośni Polskiego Radia. „Nie potrafił darować – czytamy – »Borowi«, »Monterowi«, Okulickiemu dopuszczenia do samozagłady młodej intelektualnej elity narodu połączonej z zagładą miasta [...]”, choć czy to on nazywał decyzje wyżej wymienionych „barbarzyńskimi”, czy jest to opinia autorki książki – do końca nie jestem pewny.

Wcale nieoczywisty wizerunek Jeremiego Przybory, człowieka, który w filmie „Czas Starszych Panów” powiedział, że chciał „bawić publiczność niegłupio. Mogłoby być nawet nie za śmiesznie, byłoby nie było głupio”, stworzony został na kartach „Żuan Dona”. Biografii, która powinna mieć swój odpowiednik w postaci podobnego tomu poświęconego Jerzemu Wasowskiemu. Bo przecież – jak mówił Przybora – „Cóż to było za fajne panisko!”. ©©



★★★★★
**MARIA
WILCZEK-KRUPA**
**„ŻUAN DON.
BIOGRAFIA
JEREMIEGO
PRZEBORA”**
**ZNAK,
KRAKÓW 2023**



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Dziewczęcy los

Wnoblowskim wykładzie „Japonia, piękno i ja” Kawabata Yasunari nie pisze wiele o sobie, za to mnóstwo o innych. O poezji, historii, istnieniu, nicości, przyrodzie i nihilizmie. Tekst ten wieńczy tom „Tancerka z Izu”, przekrojowy zbiór opowiadań połączonych wspólnym tematem: kobiety i dziewczęta.

Takie czasy, że nawet noblistów nie można sprzedawać po prostu jako noblistów, trzeba ich etykietować „girl power”. Ale ten termin tu nie pasuje, bo los kobiet w tych opowieściach jest smutny, szczególnie tych z prowincji. Jaka je czeka droga awansu? Zostają tancerkami lub gejszami, ruszają do miast, by zostać służącymi, kochankami, rzadziej żonami. Empatia i głębokie zrozumienie cudzego losu przebijają z opowiadań Kawabaty, na szczęście nie jest to „proza społeczna”. To znaczy jest, ale również. Bo przede wszystkim dostajemy wielką lekcję poetyckiej wrażliwości, malarzkiego języka, szacunku dla detalu. Ze wszystkich pisarzy japońskich, których zdarzyło mi się czytać, ten jest chyba najbardziej... japoński.

Skoro kobiety i dziewczęta, to oczywiście miłość.

Ta niespełniona, jak w tytułowym opowiadaniu „Tancerka z Izu” – pierwszym utworze, który przyniósł sławę przyszłemu nobliście. Jakże dawno to było – 100 lat temu. Są więc te opowiadania listami z całkiem innego świata. Nie zestarzały się jednak, bo przemijanie boli tak samo jak kiedyś, śmierć jest równie nieuchronna, miłość równie niespodziewana i nieobliczalna, a poranki równie piękne.

„Kochanka ubogich”, „Pensjonat w uzdrowisku”, „Dostawca zwłok”, opowiadanie tytułowe – wszystko to teksty wybitne, a przecież autor nie przekroczył jeszcze trzydziestki. Te późne też zachwycają („Zatoka Łuku”, „Ręka”); mniej w nich poezji, więcej precyzji. W uzasadnieniu werdyktu Komitet Noblowski zachwalał: Kawabata „z wielką delikatnością wyraża istotę japońskiego sposobu myślenia”.

„Choćby nie wiem, jak wielkie były jego zalety, człowiek, który popełnił samobójstwo, jest daleki od królestwa świętości i mądrości” – pisał Kawabata w eseju „Oczy u kresu życia”. W 1972 r. odebrał sobie życie. Dwa lata po swym druhu serdecznym, Mishimie Yukio.

©©



★★★★★
**KAWABATA
YASUNARI**
**„TANCERKA
Z IZU”**
CZYTELNIK 2023

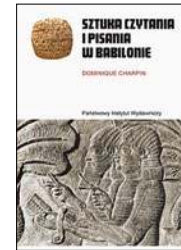
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Amerykański specjalista od geopolityki kreśli możliwe scenariusze krachu globalizacji, ale nie popada w czarnowidztwo. Zeihan był przez wiele lat jednym z analityków wpływowego think tanku Stratfor.



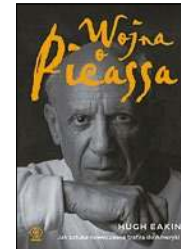
PETER ZEIHAN
**„KONIEC ŚWIATA
TO DOPIERO
POCZĄTEK”**
ZYSK I S-KA

Kolejna premiera we wskrzeszonej „serii ceramowskiej”. Do czego służyły biblioteki w Mezopotamii? Kto korzystał z pisma i po co? Co wyczytaliśmy z glinianych tabliczek? Lektura fascynująca.



**DOMINIQUE
CHARPIN**
**„SZTUKA
CZYTANIA
I PISANIA
W BABILONIE”**
PIW

Nie wszystko, co dziś oczywiste, zawsze takie było. Przypadek Picassa i kłopotów z recepcją jego dzieł w Ameryce jest okazją do rozważań o drodze, którą sztuka nowoczesna wkroczyła na salony.



HUGH EAKIN
**„WOJNA
O PICASSA”**
REBIS

„Panny z wilka”, „Matka Joanna od Aniołów” i inne: powrót do tekstów, po które sięgali polscy reżyserzy. Ze wstępem Janusza Majewskiego, który w 1973 r. nakręcił ekranizację opowiadania „Stracona noc”.

recenzuje Piotr Gociek



**JAROSŁAW
IWASZKIEWICZ**
**„OPOWIADANIA
FILMOWE”**
MARGINESY

KOMIKS TYGODNIA: „RATMAN: WEHIKUŁ WSZECH CZASÓW”

Drugi tom opowieści o szurze filozofie podróżującym w czasie i przestrzeni. Inteligentne, przewrotne i prze zabawne scenariusze Grzegorza Janusza idealnie współgrają z kreską Niewiadomskiego. Wszystko jest tu możliwe. W drugiej części tomu znalazły się komiksowe



**G. JANUSZ,
M. PAROWSKI,
T. NIEWIADOMSKI**
**„RATMAN:
WEHIKUŁ WSZECH
CZASÓW”**
**WYDAWNICTWO
KURC 2023**

szorty do scenariuszy Macieja Parowskiego: równie zabawne, lecz skręcające ku satyrze politycznej i społecznej.

Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Włoscy mistrzowie

Madonna z Dzieciątkiem” Giovanniego Belliniego, czyli jeden z najwybitniejszych obrazów włoskich okresu wczesnego renesansu znajdujących się w Polsce, będzie eksponowany w wawelskiej kolekcji. Płótno pokazano premierowo na pokazie „Mistrzowie włoskiego renesansu” w towarzystwie ściągniętych na tę okazję obrazów Jacopa Bassana i Rossa Fiorentina. Dopełnieniem jest „Alegoria

miłości” uznawana za pracę Tytjana i jego warsztatu zestawiona z dziełem o podobnym tytule, którego autorstwo przypisuje się naśladowcy Tytjana, Alessandrowi Varotariemu, zwanemu Il Padova-nino.

Muzeum zwraca uwagę, że „taka praktyka – powielanie cieszących się powodzeniem obrazów, tj. powtarzanie ich kompozycji i kolorystyki według opracowanego przez mistrza pierwowzoru, z nieznacznymi zmianami – była w XV- i XVI-wiecznej Wenecji powszechna [...]. Autorami owych powtórzeń bywali sami mistrzowie, a pewne partie pozostawiali czasem do wykonania współpracownikom”. ©©

GDZIE? Zamek Królewski na Wawelu
KIEDY? do 18 lutego 2023 r.



FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU



FOT. PIOTR WITTMAN/WW.GDANSK.PL

BOZNAŃSKA W GDAŃSKU

Około 50 prac Olgi Boznańskiej (1865–1940) z kolekcji Muzeum Narodowego w Krakowie składa się na wystawę w Ratuszu Głównego Miasta w Gdańsku. To przede wszystkim portrety bliskich artystki i jej przejmujące autoportrety. Wystawę uzupełniają pamiątki po Boznańskiej – palety, pędzle oraz farby. Farby w tubkach, niezaschnięte, jeszcze dziś nadawałyby się do użytku. ©©

GDZIE? Gdańsk,
Ratusz Głównego Miasta
KIEDY? do 16 maja 2024 r.



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Pod pełnią księżyca

In/out” jest pierwszym albumem Petera Gabriela od 21 lat. Pod wieloma względami „I/O” zaczyna się tam, gdzie skończył się „Up”. Jednocześnie kontynuuje rozpoznawalny od czasu albumu „So” szablon, wedle którego podniosłe w swej zadumie utwory są przeplatane energicznymi numerami, które rozładowują napięcie. Wszystkie nagrania krążą wokół idei zawartej w utworze tytułowym, w którym Gabriel śpiewa w refrenie: „Rzeczy wychodzą, rzeczy wchodzą / jestem tylko częścią wszystkiego”. Album skupia się bowiem na jego relacji z otaczającym go światem. Pierwsze utwory, utrzymane w tonacji molowej, poruszają kwestie globalnej niesprawiedliwości, katastrofy ekologicznej czy

masowej inwigilacji. Następnie kompozycje przechodzą od kwestii politycznych do osobistych. Płytę kończą piosenki miłosne – utwór „And Still” jest pięknym pożegnaniem z mamą Edith – oraz utwory apelujące o mądrość. Ten pełen refleksji album na szczęście nie popada w przygnębiający nastrój, a całość wieńczy optymistyczna piosenka „Live and Let Live” (Żyj i pozwól żyć). Jest to najciekawszy album Petera Gabriela od czasu przebojowego „So”, ale mimo wszystko nie dorównuje krążkom wydanym przez niego w latach 80.

W nagraniach wzięli udział 22 muzyków, orkiestra symfoniczna i dwa chóry. Wśród współpracowników nie zabrakło Tony’ego Levina, Briana Eno czy Manu Katché. ©©



★★★★★
PETER GABRIEL
„I/O”
REAL WORLD



★★★★★
ANNA WYSZKONI
„10 JACKOWSKI”
MYSTIC

W 10. rocznicę śmierci Marka

Jackowskiego Anna Wyszkonki składa hołd współliderowi Maanamu. Album zawiera 10 piosenek, do których poza jedną teksty napisała Kora. Wokalistka nagrała je w odważnych, nieco jazzujących aranżacjach. ©©



★★★★★
CYKADA
„METAMORPHOSIS”
ASTIGMATIC

Brytyjski septet

złożony z członków zespołów należących do nurtu nowego brytyjskiego jazzu. Na drugim albumie grupa wykonuje electro-jazzową fuzję muzyki etnicznej i klubowej. W dwóch utworach lider, Jamie Benzie, śpiewa o metamorfozach dzisiejszego świata. ©©

Mamy klucz do poprawnej pracy urządzeń elektronicznych

Zyjemy w czasach, gdy bezpieczne funkcjonowanie państwa i jego mieszkańców uzależnione jest od poprawnej pracy wielu urządzeń elektrycznych i elektronicznych, a zwłaszcza systemów łączności. Dotyczy to prawie wszystkich aspektów naszego życia: zdrowia, transportu samochodowego i lotniczego, dostaw wody, prądu i gazu, a nawet rozrywki. Kluczowym pojęciem dla poprawnego funkcjonowania urządzeń zaangażowanych w te procesy jest kompatybilność elektromagnetyczna, czyli zdolność do poprawnego współdziałania i współistnienia z innymi urządzeniami w środowisku – w skrócie zwana EMC od angielskiego electromagnetic compatibility. Testy kompatybilności elektromagnetycznej muszą pozytywnie przejść nie tylko urządzenia i systemy używane w wojsku, medycynie, telekomunikacji, lotnictwie i innych strategicznych branżach, lecz także urządzenia powszechnego użytku, z których korzystamy każdego dnia.

Polska infrastruktura do badań EMC do roku 2023 nie nadążała za światowym postępowaniem w technice badawczej i zmianami wprowadzanymi w obowiązujących standardach. Producenci urządzeń nie mogli wykonać w kraju niektórych obligatoryjnych badań EMC, a szczególnie badań nowych urządzeń, które wprowadziłyby je na rynek. Dlatego pięć jednostek naukowych pod przewodnictwem Politechniki Wrocławskiej stworzyło projekt modernizacji i rozbudowy swoich laboratoriów kompatybilności elektromagnetycznej, który uzyskał dofinansowanie unijne w wysokości ponad 42 mln zł. Powstała Polska Sieć Laboratoriów EMC nazwana EMC-LabNet. Najnowocześniejsza aparatura badawcza pozwala mierzyć poziomy sygnałów emitowanych przez urządzenia do środowiska (drogą radiową i przez przewody),



Komora bezodbiciowa do badań ECM systemów antenowych w samolotach, Politechnika Rzeszowska

oceniać wpływ różnych zaburzeń elektromagnetycznych w miejscu użytkowania urządzeń na ich pracę, a także oceniać skuteczność zabezpieczeń chroniących organizmy żywe i urządzenia przed zjawiskami elektromagnetycznymi.

Laboratoria badają więc skuteczność materiałów i rozwiązań, które ograniczają emisje elektromagnetyczne, w tym emisje pozwalające na odtworzenie przesyłanych czy przetwarzanych danych zwane ulotem informacji, co jest niezwykle istotne dla wojska, służb i agencji wymagających wysokiego poziomu poufności. Nowa aparatura może także wytwarzać wyładowania piorunowe do oceny skuteczności piorunochronów w przemyśle i infrastrukturze krytycznej. Pozwala ujawniać skutki przepięć i zaników zasilania występujących w sieci energetycznej oraz skutki wpływu sygnałów i pól generowanych przez różne urządzenia, w tym telefony komórkowe, płyty i ładowarki indukcyjne.

Przedsiębiorstwa mogą teraz wykonać w Polsce kompleksowe badania zgodności z wymaganiami – niezbędne do legalnej sprzedaży innowacyjnych urządzeń w Europie i oznakowania wyrobów znakiem CE. Zwiększa to konkurencyjność polskiej branży urządzeń oraz systemów elektrycznych i elektronicznych. Dla nas jako konsumentów oznakowanie CE jest potwierdzeniem, że urządzenie powinno poprawnie działać w obecności typowych zaburzeń elektromagnetycznych w danym środowisku oraz że nie będzie zakłócać innych urządzeń, a zwłaszcza odbioru urządzeń radiowych.

Badania EMC są wykonywane w szczelnych elektromagnetycznie, dużych komorach zdolnych pomieścić urządzenia o wymiarach do kilku metrów. Ściany tych komór są metalowe i zwykle wyłożone materiałem pochłaniającym promieniowanie elektromagnetyczne. Dzięki temu badania o wysokiej jakości i powtarzalności mogą być prowadzone bez obawy o wpływ na środowisko zewnętrzne i ludzi, a także bez wpływu promieniowania występującego w środowisku na wyniki pomiarów wewnątrz komory.

Projekt Polska Sieć Laboratoriów EMC (EMC-LabNet) realizowany jest od kwietnia 2016 r. do grudnia 2023 r. przez konsorcjum naukowo-techniczne w składzie: Politechnika Wrocławska, Politechnika Rzeszowska, Politechnika Białostocka, Wojskowa Akademia Techniczna oraz Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Centrum Techniki Morskiej S.A. w Gdyni. Dofinansowanie projektu z UE w ramach Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój wynosi 42 648 935,16 zł. Za wybór projektów i ich rozliczenie odpowiada Ośrodek Przetwarzania Informacji – Państwowy Instytut Badawczy (OPI PIB).

Więcej informacji:

<https://emc-labnet.pwr.edu.pl>

Wygrać referendum ratyfikacyjne



Z Parlamentu Europejskiego wyszedł projekt zawierający kilkaset propozycji zmian obu traktatów europejskich o różnym znaczeniu dla przyszłego kształtu ustrojowego UE. Wystarczy wziąć pod uwagę jedynie propozycję zniesienia prawa weta państw członkowskich w zakresie polityki zagranicznej i obronnej, uczynienie z euro obligatoryjnej dla wszystkich państw waluty, wprowadzenie kolejnych podatków czy ustanowienie pierwszeństwa prawa unijnego nad konstytucjami państw członkowskich, żeby dojść do wniosku, iż w gruncie rzeczy zamiast dotychczasowego związku państw o coraz bardziej poszerzających się kom-



Lech Mażewski

Na końcu procesu zmiany traktatów unijnych, których efektem może być powstanie sfederalizowanej UE, musi nastąpić ratyfikacja tych propozycji przez państwa członkowskie. Czy tak szeroki zakres proponowanych zmian jest w ogóle zgodny z konstytucją? Jak w Polsce uregulowane jest postępowanie ratyfikacyjne?

petencjach przekazywanych na rzecz UE otrzymamy państwo związkowe. Owa federacja europejska powstałaby w miejsce państw narodowych, zacho-

wujących dotąd suwerenność – mimo wszelkich poczynionych tu ograniczeń. Tym samym suwerenność teraz dzielona między państwa członkowskie a UE



FOT. ADOBE STOCK

wach” zakłada dalsze istnienie państwa, a nie jego przemianę w unijny protektorat. W kontekście badania konstytucyjności traktatu akcesyjnego Trybunał Konstytucyjny w wyroku z 11 maja 2005 r. (K 18/04) wyraźnie stwierdził, że konstytucja w swych art. 4 i 5 wyklucza przekazywanie kompetencji w zakresie powodującym utratę statusu państwa suwerennego przez Rzeczpospolitą Polską. Natomiast w wyroku z 24 listopada 2010 r. (K 32/09) odnośnie do konstytucyjności traktatu lizbońskiego Trybunał wprost wymienił, jakie kompetencje są nieprzenoszalne, aby państwo polskie zachowało suwerenność. Nasuwające się tu wątpliwości konstytucyjne prezydent powinien wyjaśnić przed dokonaniem aktu ratyfikacji.

UPOWAŻNIENIE PREZYDENTA

Ratyfikacja umowy międzynarodowej, o której mowa, wymaga uprzedniej zgody wyrażonej w ustawie, o czym stanowi art. 89 ust. 1 pkt 3 konstytucji. Z art. 90 ust. 2 konstytucji wynika, że tego rodzaju ustawa jest uchwalana przez Sejm większością dwóch trzecich głosów w obecności ustawowej liczby posłów oraz niezależnie przez Senat przy spełnieniu tych samych wymogów. Koalicja liberalno-lewicowa nie ma w żadnej z izb potrzebnej większości, acz w Senacie brakuje jej tylko jednego głosu. W obu izbach PiS dysponuje wystarczającą większością do zablokowania postępowania ratyfikacyjnego, choć wystarczyłoby odrzucenie ustawy w jednej z izb, aby ratyfikacja w trybie ustawowym była niemożliwa.

Mogłoby się wydawać, że nie ma możliwości przeprowadzenia ratyfikacji zmian w unijnych traktatach drogą ustawową, jednak pamiętając politykę premiera Mateusza Morawieckiego, polegającą na pełnej zgodzie na postępujący już wcześniej proces federalizacji UE, nie da się wykluczyć, że niektórzy posłowie PiS z nim związani nagle obłożnie zachorują, ktoś zatrzaśnie się w toalecie tuż przed głosowaniem, co w obu przypadkach obniży potrzebną większość, a jeszcze innemu pomył się przyciski do głosowania. W trakcie niektórych głosowań w Bundestagu wnoszeni byli na noszach chorzy parlamentarzyści, żeby mogli wziąć w nich udział, ale w polskim

Sejmie nic takiego nie miało miejsca i nie zanosi się, żeby mogło się to zmienić. Konfederacja chyba głosowałaby przeciw możliwości dokonania ratyfikacji, co ostatecznie uniemożliwiłoby zastosowanie trybu ustawowego, choć dla części posłów, widzących się w roli nowego PAX-u na marginesie obozu liberalno-lewicowego, mogłoby być to trudne.

Jako alternatywne pozostaje rozwiązanie zawarte w ust. 3 art. 90 konstytucji, gdzie mowa jest, że wyrażenie zgody na ratyfikację może odbyć się w drodze ogólnokrajowego referendum przeprowadzonego na zasadach określonych w art. 125 konstytucji. Uchwała o przeprowadzeniu referendum ratyfikacyjnego wymaga zgody wyrażonej przez Sejm

Przeciwnicy zmian w traktatach musieliby podjąć decyzję, czy wziąć udział w referendum ratyfikacyjnym. Wzywając bowiem do udziału w referendum, można przyczynić się do jego ważności

większością bezwzględną w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów. W tym przypadku mniejszość blokująca PiS nie miałaby zastosowania.

Gdyby doszło do ogłoszenia referendum ratyfikacyjnego, to przeciwnicy dokonywania zmian w traktatach unijnych musieliby podjąć decyzję, czy należy w nim uczestniczyć. Wzywając bowiem do udziału w referendum, można przyczynić się do jego ważności, czyli spełnienia wymagania co do 50-procentowej frekwencji, nie mając pewności, że większość opowie się za odrzuceniem zmian w unijnych traktatach. W gruncie rzeczy byłoby to działanie dla cudzej korzyści, co akurat w tym przypadku znakomicie oddawałoby francuskie powiedzenie „pour le roi de Prusse” [dla korzyści kogoś innego – przyp. red.]. Nieważność referendum nie rodzi skutków prawnych w zakresie postępowania ratyfikacyjnego, natomiast odrzucenie

zostałaby skupiona w nowym państwie unijnym.

Artykuł 90 ust. 1 konstytucji stanowi: „Rzeczpospolita Polska może na podstawie umowy międzynarodowej przekazać organizacji międzynarodowej lub organowi międzynarodowemu kompetencje organów władzy państwowej w niektórych sprawach”. Czy byłoby to zgodne z proponowanymi zmianami traktatów unijnych? Bo przecież zamiast państwa polskiego z ograniczoną suwerennością otrzymalibyśmy protektorat unijny, coś na kształt Protektoratu Czech i Moraw ustanowionego przez Niemcy w marcu 1939 r.

Przekazanie kompetencji organów władzy państwowej „w niektórych spra-

■ zmian równałoby się odmowie ich ratyfikacji, bo tu wyraźnie wypowiedziałyby się ogół Polaków.

ZMIANA ARTYKUŁU DOTYCZĄCEGO REFERENDUM

Treść art. 90 konstytucji wskazywałaby, że wybór trybu ratyfikacji umowy międzynarodowej – ustawowo czy poprzez referendum – ma charakter rozłączny, gdyż korzystamy z jednego z tych dwóch sposobów i na tym postępowanie referendalne byłoby zakończone. Słowem – w przypadku braku ratyfikacji w trybie ustawowym Sejm nie może podjąć uchwały o skierowaniu tego postępowania na drogę referendalną.

Jednak już w trakcie przygotowań do referendum akcesyjnego pojawiły się głosy zwolenników UE, że byłoby to możliwe. Podnosili oni też pogląd, że sytuacja prawna w przypadku niespełnienia wymogu co do wymogu frekwencji w referendum jest niejasna. Ustawa z 14 marca 2003 r. o referendum ogólnokrajowym nic nie zmieniała w tym zakresie.

19 marca 2009 r. doszło do istotnej zmiany prawnej ze względu na dodanie art. 70a w ustawie o referendum ogólnokrajowym, który odnosi się do sytuacji, gdy referendum ratyfikacyjne nie ma wiążącego charakteru. Postanawia się tam, że „Sejm może ponownie podjąć uchwałę w sprawie wyrażenia zgody na ratyfikację”. W grę wchodziłyby trzy scenariusze. Przede wszystkim Sejm może w ogóle nie podejmować takiej uchwały i wtedy ratyfikacja nie zostałaby dokonana. Ale izba mogłaby się zachować aktywnie i dokonać wyboru któregoś z możliwych trybów ratyfikacyjnych. Pytanie, czy wchodziłoby w grę podejmowanie takiej uchwały wielokrotnie aż do momentu dokonania ratyfikacji.

Nie ulega wątpliwości, że nowelizacja z 2009 r. została przeprowadzona w reakcji na odrzucenie w 2003 r. w referendach w Holandii i we Francji Konstytucji dla Europy, a szczególnie wymuszenie w 2009 r. na Irlandii drugiego referendum w sprawie ratyfikacji traktatu lizbońskiego. Euroentuzjaści w Warszawie chcieli zabezpieczyć się na przyszłość przed zarzutem, że wielokrotne podejmowanie postępowania referendalnego w sprawach unijnych nie miałyby w Polsce żadnych podstaw prawnych.

Nowela z 2009 r. nie spotkała się z wetem prezydenta Lecha Kaczyńskiego, choć gołym okiem widać próbę dezawuowania woli uczestników referendum, którzy mogą przecież chcieć wyrazić swój pogląd poprzez absencję w głosowaniu. Można by w ten sposób zmusić też do powtórnego głosowania parlamentarzystów, którzy już wcześniej odrzucili możliwość uchwalenia ustawy zawierającej zgodę na ratyfikację. Nie nastąpiło także skierowanie tego aktu prawnego do TK – mimo wątpliwości co do jego konstytucyjności. Co prawda, sąd konstytucyjny w wyroku z 27 maja 2003 r. (K 11/03) stwierdził, że sprawa nieważności referendum ratyfikacyjnego powinna być uregulowana przez ustawodawcę, ale siłą rzeczy nie mógł odnieść się do przyjętego kilka lat później rozwiązania.

Liczenie na to, że w innym państwie członkowskim Unii Europejskiej nie dojdzie do ratyfikacji, może okazać się zawodne. Polskie powiedzenie mówi, że jak umiesz liczyć, to licz na siebie

Treść art. 70a nakazuje ponownie podjąć temat taktyki, którą powinni przyjąć przeciwnicy proponowanych zmian unijnych traktatów. Doprowadzenie do niewiążącego charakteru referendum ratyfikacyjnego może nic nie dać, skoro większość liberalno-lewicowa ma prawo podjęcia decyzji o kontynuowaniu postępowania ratyfikacyjnego. Aż trudno sobie wyobrazić, jak wielkie byłyby naciski z zagranicy, głównie z RFN, aby kontynuować postępowanie ratyfikacyjne; zresztą przy wcześniejszych próbach ratyfikacji też będą one występowały.

Nie udało się Wilhelmowi II zjednoczyć Europy w czasie pierwszej wojny światowej, nie dokonał tego Adolf Hitler ćwierć wieku później, ale do trzech razy sztuka: przeprowadzą to demoliberalne Niemcy. Okazja jest znakomita, bo zamieszanie wywołane w Europie wojną nad Dnieprem i osłabienie USA szybko się nie

powtórzą. Może tym razem udałoby się siłom liberalno-lewicowym przeciągnąć na swoją stronę kilkunastu posłów opozycyjnych i skorzystać z trybu ustawowego? A jeśli nie, to konieczne byłoby przeprowadzenie drugiego referendum, któremu towarzyszyłaby monstrualnie wręcz wielka nawała medialna. To są realne scenariusze wydarzeń w celu uzyskania zgody na udział Polski w sfederalizowanej UE, gdyby początkowe próby ratyfikacji zakończyły się niepowodzeniem.

RATYFIKACJA

Zanim doszłoby do ratyfikacji zmian w traktatach unijnych, prezydent powinien na podstawie art. 133 ust. 2 konstytucji odesłać tę umowę międzynarodową do TK, aby stwierdzić jej zgodność z ustawą zasadniczą. W przypadku kolizji z konstytucją głowa państwa musiałaby dokonać wyboru między odmową ratyfikacji a koniecznością dokonania takiej nowelizacji, która by umożliwiła stanie się przez Polskę częścią sfederalizowanej UE. Mogłoby być to jednak trudne, skoro TK zarówno w 2005, jak i 2010 r. stanął na stanowisku obrony istnienia suwerennego państwa polskiego.

Osobną sprawą byłaby mniejszość blokująca ze strony PiS, której działanie mogłoby uniemożliwić zmianę konstytucji. Dopiero po uporaniu się z tymi problemami droga do ratyfikowania umowy wiodącej do federalizacji UE zostałaby otwarta. Gdyby jednak większość biorących udział w referendum opowiedziała się za ratyfikacją, to prezydent bez względu na wszystko musiałby tego dokonać, skoro „władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej należy do Narodu” (art. 4 konstytucji).

W efekcie należy nastawić się na odrzucenie w referendum zmian w unijnych traktatach, bo wówczas postępowanie ratyfikacyjne zostałoby ostatecznie zamknięte. Liczenie na to, że w innym państwie członkowskim UE nie dojdzie do ratyfikacji, może okazać się zawodne. Polskie powiedzenie mówi, że jak umiesz liczyć, to licz na siebie. Także twierdzenie, że nikomu nie powiodło się zjednoczenie Europy, jest prawdziwe, ale nie byłoby tak, gdyby nie było czynnych przeciwników tej idei. Czas na nas.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest ustrojodawcą.

TOMASZ D. KOLANEK: Czym była, czym jest międzynarodówka antykościelna? Kiedy i po co coś takiego powstało?

PROF. MAREK KORNAŁ: „Międzynarodówka antykościelna” to oczywiście przenośnia. W ten sposób należy określać środowiska i ruchy liberalne oraz lewicowe walczące z Kościołem katolickim po to, by go osłabić, podkopać, a ostatecznie zniszczyć. W dobie globalizacji działania te mają silne natężenie. Ruchy liberalne od początku dążyły do tego, aby przeprowadzić kilka zasad, których Kościół nie może uznać, nie zmieniając swojej tożsamości. Pierwsza i najważniejsza zawiera się w hasle, że religia katolicka to jedynie sprawa prywatna i kwestia sumienia, w związku z czym nie może być mowy o jej publicznym wyznawaniu, bo to już dzieli ludzi. Państwo i ład publiczny mają być „neutralne światopoglądowo”. Druga mówi o tym, że wszystkie wiary, wszystkie religie są w gruncie rzeczy dobre i równe. I wreszcie: jakiegokolwiek urządzanie porządku społecznego według religii katolickiej, czyli to, co nazywamy społecznym panowaniem Chrystusa Króla (jak uczył papież Pius XI), jest zupełnie nie do pomyślenia.

Trzeba pamiętać, że liberalizm XIX-wieczny, mający za swoją podstawę dziedzictwo rewolucji francuskiej, dążył do ustanowienia ładu w duchu hasła tejże rewolucji, ale nie stawiał sobie jeszcze za cel takich zadań jak liberalizm współczesny. Obecnie mamy bowiem do czynienia z liberalizmem relatywistycznym, który w zasadzie nie uznaje żadnych granic i popiera program inżynierii społecznej głęboko modelującej życie ludzi i społeczeństw. Idzie on dużo dalej, że wspomnę tylko wszystkie pomysły zmierzające do wprowadzenia przymusowej akceptacji dla tzw. mniejszości obyczajowych, eutanazji, i w ogóle całej kultury śmierci, jak to ujął Jan Paweł II. To jest nowa twarz liberalizmu, która dopiero niedawno zaistniała.

A co z międzynarodówką komunistyczną?

Międzynarodówka komunistyczna z definicji jest antykościelna, a jej głównym celem była zawsze walka z Kościołem. Komunizm uległ jednak osłabieniu – przynajmniej w Europie – bo utracił swoją bazę, którą miał w postaci Związku Sowieckiego. Wobec tego czymś dużo

groźniejszym, co zresztą obecnie obserwujemy, jest „międzynarodówka liberalna”. Międzynarodówka socjalistyczna – w najlepszym razie – reprezentuje pogląd streszczający się w hasło, że religia to sprawa prywatna. Kościół może czynić coś dobrego jako organizacja świadcząca usługi charytatywne.

Liberalizm dzisiejszy jest ekskluzywny. Każdy, kto nie akceptuje ideologii głoszącej choćby aborcję na życzenie jako „prawa człowieka”, nie mieści się w systemie. To samo jeszcze bardziej dotyczy tzw. małżeństw

seksualizm, kilku pastorów w Szwecji odsiaduje kary więzienia, w Polsce zaś niektórzy zwalniają pracowników. Można więc powiedzieć, że „nie ma wolności dla wrogów liberalizmu”.

Tymczasem rozmawiając na temat idei politycznych, w dzisiejszym świecie bardzo często przyjmuje się pogląd, że liberalizm jest przede wszystkim kierunkiem wolnościowym obiecującym i dającym wolność. Liberalizm poza wieloma wyjątkami, jak prześladowania w Meksyku, nie prowadzi na razie polityki eksterminacyjnej, ale za to pokojowy-



Z prof. Markiem Kornatem, sowietologiem, współautorem cyklu „Od rewolucji francuskiej do rewolucji w Kościele” rozmawia Tomasz D. Kolanek

Liberałowie i komuniści przeciwko Kościołowi

homoseksualnych z prawem do adopcji dzieci. Tu działa mechanizm skutecznego wykluczania. Ma on sui generis cechy totalitarne. Nie musi oznaczać używania od razu fizycznej przemocy, ale ma charakter jak najbardziej eliminacyjny (ze sfery publicznej). My w Polsce tego jeszcze nie doznajemy (przynajmniej w takich rozmiarach jak na Zachodzie), ale może nas to czekać.

Represyjność liberalizmu nie jest oczywiście taka jak represyjność komunizmu co do rozmiarów przemocy, ale liberalizm jest skuteczniejszy niż komunizm w dochodzeniu do celu. Nie jest tajemnicą przecież, że za cytowanie Pisma Świętego, które potępia homo-

mi środkami realizuje to, co w zamyśle chcieli osiągnąć komuniści. Liberałowie robią to bezkrwawo i krok po kroku osiągają swój cel, niszcząc pozycję Kościoła z niezwykle skuteczną skutecznością.

Czy liberałowie współpracują z socjalistami i komunistami, jeśli idzie o walkę z Kościołem?

Bardzo wymowne wrażenie na mnie zrobiły uroczyste obchody 200-lecia urodzin Karola Marksa, w których brały udział wszystkie te obozy, a sprawę poparli nawet niemieccy hierarchowie liberalni, de facto niebędący już w Kościele, ale formalnie nim wciąż zarządzający. Mówili o sprawiedliwości, której pragnął myśliciel z Trewiru, starannie

omijając to, że był bezkompromisowym ateistą i materialistą.

Wszystkie ruchy polityczne (o których mówimy) podobnie definiują człowieka. Traktują go jako byt, który musi zostać pozbawiony wszelkich horyzontów nadprzyrodzonych, ponieważ tylko wtedy zniesiona zostanie alienacja. Człowiek będzie „wyzwolony”. Jest to degradacja człowieka. Polega ona na negacji tego wszystkiego, co przypisuje człowiekowi nauka Kościoła katolickiego. Liberalizm dzisiejszy oczywiście różni się od komunistów (marksistów), jeśli chodzi np. o kwestie gospodarcze, ale tym, co ich łączy, jest zniweczenie misji Kościoła. Sprowadzenie wiary do kwestii prywatnej – w najlepszym razie. Ciekawą kwestią jest podejście do prawa naturalnego. Komunizm od zawsze neguje prawo naturalne jako wymysł ciemnościelski i alienujący. Myślę, że część liberałów jeszcze do niedawna akceptowała prawo naturalne. Niestety, współczesny liberalizm nie akceptuje go w żaden sposób. Gdyby je akceptował, to wówczas nie byłoby mowy chociażby o wszystkich zabiegach mających na celu ustanowienie przywilejów dla „kochających inaczej”, dla LGBT itd.

Komunizm z definicji jest międzynarodowy i w związku z tym neguje system państw narodowych. Według jego ideologów państwa narodowe zostały stworzone przez burżazję na gruzach feudalnego średniowiecznego świata i w związku z tym należy je obalić, a następnie stworzyć światową republikę rad, czyli państwo proletariackie o globalnym rozmiarze. To miało być finałem historii. Ludzkość doszłaby w ten sposób do mety postępu. Na ziemi zwycięży utopia, zapanuje raj sekularny. Proszę przypomnieć sobie, co na temat państw narodowych, globalizmu, rządu światowego itd. mówią współcześni liberałowie. Liberalizm robi to dużo sprytniej i subtelniej, na co zwracał również uwagę prof. Ryszard Legutko m.in. w książce „Triumf człowieka pospolitego”.

Obie ideologie mają konkurencyjną ideologię wobec Kościoła. Obie ideologie wyrażają się w cechach totalności i uniwersalizmu. Obie są „nowymi religiami”. Chciałem zauważyć, że to pojęcie kluczowe dla rozumienia totalitaryzmu. Dla liberałów jest to religia praw czło-



Uczestnicy parady równości przebrani za zakonnice, Madryt, 9 lipca 2022 r.

FOT. MARCOS DEL MAZO/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

wieka. Dla komunistów religią jest utopia równości i wolności. W rzeczywistości komunizm gwarantuje nowe niewolnictwo i rządy biurokratycznej „nowej klasy” – jak mówił Milovan Djilas. Ale to już inna sprawa.

Profesor Bohdan Cywiński wymienił cztery etapy walki międzynarodówki z religią katolicką: „Pierwszy: walka ideologiczna. Drugi: wyeliminowanie Kościoła z życia publicznego. Trzeci: ograniczenie wewnętrznej działalności Kościoła metodami administracyjnymi. Czwarte: ubezwłasnowolnienie i pełne podporządkowanie”. Lata mijają, a metody pozostają te same...

Pierwszy punkt wymieniony przez prof. Cywińskiego może być realizowany w każdych warunkach. Aby zrealizować pozostałe trzy, musi już jednak dojść albo do przejścia władzy, albo do przejścia „rządu dusz”.

W Polsce nie udało się w pełni zrealizować tego programu walki z Kościołem ani przez komunistów, ani przez siły liberalne po roku 1989. U nas np. nie udało się w pełni ubezwłasnowolnić ludzi Kościoła, zainstalować na wielką

skalę agentury w jego strukturach etc., co niestety obserwujemy na Zachodzie i w krajach byłego bloku wschodniego. Co gorsza, w ostatnich latach instalowanie agentów w strukturach Kościoła mogło liczyć na poklask ze strony Watykanu, że przywołam tylko porozumienie między Stolicą Apostolską a Chinami. Tak zwane Państwo Środka to bardzo ciekawy przypadek. Mamy tam do czynienia z działaniem, które nie jest działaniem etapowym, tylko od razu przeprowadzono wszystkie wyżej wymienione etapy walki z Kościołem. Watykan przez lata nie uznawał powoływania przez Pekin „własnej hierarchii” kościelnej. O co chodzi? Mamy człowieka, który jest ważnie wyświęcony i sprawuje sakramenty, ale służy sprawie komunizmu w myśl wskazań partii. I taki człowiek jest wystawiany przez Pekin na biskupa. Przez lata było to nie do pomyślenia. Kiedy jeszcze przed Soborem Watykańskim II papież Pius XII dowiedział się, że w Chinach mają miejsce takie zdarzenia, to kategorycznie zaostrzył prawo kanoniczne, wprowadzając m.in. zasadę bezwarunko-



wej ekskomuniki za wyświęcenie biskupa bez zgody Stolicy Apostolskiej.

Minęło jednak kilkadziesiąt lat. Stolica Apostolska podpisała w roku 2018 porozumienie z Chinami i jednym z pierwszych, natychmiastowych skutków owego porozumienia było uznanie misji kanonicznej siedmiu „biskupów” mianowanych przez partię. Wśród tych siedmiu mężczyzn jeden był ekskomunikowany przez Jana Pawła II, dwóch zaś było „biskupami żonatymi” i ostentacyjnie niezachowującymi celibatu.

Komuniści lansowali „humanistyczne chrzty, śluby i pogrzeby”. To samo głoszą dzisiaj lewicowi liberalowie. Niestety, tego typu rozwiązania są coraz popularniejsze, a czasami wręcz zachęcają do skorzystania z nich sami księża katolicki. Czy można w związku z tym postawić tezę, że międzynarodówki – czy to komunistyczne, czy to liberalne – są na prostej drodze do zwycięstwa z Kościołem?

Wtrącenie przez pana redaktora wzmianki o świeckich, czyli „humanistycznych, chrztach, ślubach i pogrzebach” to bardzo dobry przykład czerpania wzorów liberalizmu z praktyk właści-

wych komunistom. Wydaje mi się jednak, że trzeba powiedzieć o czymś jeszcze ważniejszym. Otóż ogromnym sukcesem ruchów liberalnych było i jest narzucenie agendy liberalnej posoborowemu Kościołowi, co bardzo mocno uwydatniło się podczas ostatniego zbójckiego zgromadzenia dla niepoznaki nazwanego Synodem o synodalności. Przyjęcie agendy liberalnej, w której skład wchodzi takie hasła, jak np. Komunia dla każdego, milczące zaakceptowanie rozwodów, poparcie przywilejów dla „kochających inaczej” etc. To wszystko nie ma nic wspólnego z doktryną Kościoła, tylko zostało Kościołowi narzucone. Tu się kłania kapitalne powiedzenie Stalina. Jest poświadczane źródłowo, że ów zbrodniarz powiedział do Bieruta, iż Kościoła w Polsce pokonać się nie da, jeśli się go wcześniej nie podzieli. Czym jest synodalność, jeśli nie podzieleniem Kościoła?

Najczęściej liberalizm eliminuje przeciwników poprzez stosowanie zasady mainstreamu. Ale to samo, niestety, dzieje się obecnie w Kościele. Kto chce przypodobać się obecnie sprawującym rządy w Stolicy Apostolskiej, ten głosi liberalizm bez granic. W ten sposób może liczyć na awans. Hierarchowie zachowawczy, konserwatywni są prześladowani przez Watykan, jak choćby bp Joseph Strickland czy kard. Raymond Burke obecnie.

5 sierpnia, podczas podróży do Portugalii przy okazji Światowych Dni Młodzieży, papież spotkał się z jezuitami w Colégio de São João de Brito. Przy tej okazji mówił m.in. o tradycjonalistach w USA, których nazwał „wsteczniakami”. Franciszek powołał się przy tym na Wincentego z Lerynu, a następnie powiedział: „Kiedy idziesz wstecz, tworzysz coś zamkniętego, odciętego od korzeni Kościoła, gubisz sok Objawienia. Jeżeli nie zmieniasz się, rosnąc, to idziesz wstecz, przyjmujesz w efekcie kryteria zmiany, rośnięcia i zmiany, inne od tych, które daje ci wiara. Skutki dla moralności są destrukcyjne”.

Szczerze mówiąc, nie wiem, co to jest „sok Objawienia”. Takim językiem nie posługiwano się w Kościele nigdy. Moim zdaniem ta wypowiedź papieża to mocna zachęta do dalszych represji nie tylko wobec tradycjonalistów, lecz także wszystkich katolików wyznających wiarę w sposób zachowawczy, czyli w zgodzie z prawdziwym Magisterium. Ideologia

progresizmu polega na tym, żeby walczyć z tymi, którzy mają poglądy zachowawcze. Powoływanie się przez papieża na św. Wincentego z Lerynu, aby uzasadnić zupełny relatywizm, nie jest uczciwe. Święty ten podał słynną definicję, że należy wierzyć w to, co „wszędzie, co zawsze, co wszyscy” [wyznawali – przyp. red.], a przecież wszyscy dobrze wiemy, że naukę moralną za obecnego pontyfikatu zaorano. Wszyscy dobrze wiemy, że nigdy nikt, ani papież, ani sobory, ani doktorzy Kościoła, nie mówił czegoś takiego, co mówią ci, którzy organizują Synod o tzw. synodalności.

Akceptacja homoseksualizmu jest wykluczona nie tylko przez Kościół, lecz także przez jakąkolwiek religię. O ile mi wiadomo, taka jeszcze nie powstała. Ci, którzy próbują stworzyć Kościół synodalny, próbują to jednak wprowadzić. Kiedy mówię, że nie było jeszcze religii, która akceptowałaby homoseksualizm jako coś dobrego, to cytuję tutaj papieża Benedykta XVI.

Z wypowiedzi człowieka, który obecnie stoi na czele Kościoła, wynika, że nie wolno tolerować organizowania się konserwatystów w Kościele. Ostatnie zarządzenia Stolicy Apostolskiej powodują, że faktycznie nie będzie to możliwe. Mam na myśli choćby represje wobec Opus Dei. To jest jeden z przejawów kształtowania nowego Kościoła w duchu liberalizmu. Liberalizmu, który nie jest wolny od tendencji totalitarnych. Prześladowanie przeciwników, którymi są wierni tradycji, jest jednym z głównych zadań modernistycznej hierarchii. Moderniści mówią o „ewolucji doktryny”. To określenie jest samo w sobie niebezpieczne, ponieważ daje możliwość uzasadnienia i usprawiedliwienia każdej herezji i każdego występku. To jest ulubiony wytrych wywrotowców. Moim zdaniem nie uniknie się prób totalnego zabronienia tzw. Mszy trydenckiej. Obym był złym prorokiem, ale dalsze ciosy w środowiska tradycyjne, w tym dalsza walka z Mszą, jawią się jako coś nieuniknionego. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Marek Kornat – historyk, sowietolog, pracownik Instytutu Historii PAN, wykładowca UKSW.

Odmienne szlaki



Adam Hlebowicz

Nie da się go zasufladkować. Po jednej stronie pisarstwa, kultury, umieścić go w toczącym się sporze politycznym w Polsce. Nie będzie to bowiem prawda o zmarłym 27 listopada Pawle Huelle

FOT. ARTUR SZCZEPANSKI / REPORTER

Nie godził się na nazywanie go np. „gdańskim pisarzem”, jak wielu chciało. Pytany odpowiadał: „Nie ma gdańskiego języka, piszę w języku polskim, dlatego jestem polskim pisarzem. Używam tego miasta jako dekoracji do moich tekstów”. Gdańsk był dla niego ważny. Urodził się i zmarł w tym samym mieszkaniu – w Gdańsku. Tu studiował i pracował, większość z jego dokonań literackich rozgrywała się w mieście nad Motławą. Poprzez „Weisera Dawidka” stworzył pewien mit, baśniowość powojennego Gdańska, jednak poza pisaniem był bardzo racjonalny wobec rodzinnego miasta.

Jego mistrzami klasycznego pojmowania literatury byli Jarosław Iwaszkiewicz i spore grono pisarzy rosyjskich, zapomniani dziś Mikołaj Leskow, Władimir Nabokov, Antoni Czechow, Iwan Bunin. W poezji cenił przede wszystkim twórczość Rainera Marii Rilkego. „Uwielbiam pisać opowiadania. Nie cierpię pisać powieści”. A opowiadania pisał znakomite.

Wymykał się próbom łatwego zdefiniowania. Ponieważ lubił ludzi, uwielbiał opowiadać i dyskutować, znał bardzo wiele osób lub może inaczej – to one go znały. Kiedy opowiadał o jakimś swoim pomysle, o idei, która była mu bliska, zapalał się, mówił o niej ze swadą i zaangażowaniem. Był doskonałym kompanem. Ale też nieprostym człowiekiem w codziennych relacjach. Miał swoją mroczność, własne demony, które potrafiły go dopaść i łatwo nie wypuścić.

Był wszechstronnie utalentowanym artystą. Oprócz najbardziej znanych powieści i opowiadań tworzył wiersze, dramaty, słuchowiska, adaptacje, pisał scenariusze wystaw.

KORZENIE

O pochodzeniu swojej rodziny pisarz wspominał w rozmowie z Donatą Subbotko: „Huellowie byli Austriakami, którzy się spolonizowali. Początek sagi sięgałby Jakuba Huellego, który w XVIII w. był oficerem austriackim i został postrzelony pod Lwowem. Zaniesiono go do najbliższego dworku, gdzie opiekowała się nim piękna Polka, co zaowocowało małżeństwem, którego jestem ogniwem [...]. W moich żyłach płynie krew austriacka, szwedzka, węgierska, żydowska, ukraińska i polska. I jestem Polakiem. Jako Polakowi dobrze

mi w takiej obudowie”. Bardzo ważna dla niego, dla jego postrzegania świata była Polska Wschodnia, kresowa, wielokulturowa, Lwów i okolice: „Rodzice taty, Maria i Karol, pochodzili ze Lwowa. Przed wojną przenieśli się do Mościc. Dziadek, inżynier chemik, tworzył Zakłady Azotowe i został ich wicedyrektorem”. Wspominał dalej, w jaki sposób Gdańsk stał się jego rodzinnym miastem: „Mój ojciec Tadeusz wiosną 1945 r. wsiadł do kajaka na Dunajcu w Mościcach i wysiadł na Motławie w Gdańsku [...]. Z Mościc uciekł, bo był w AK, a jego dowódcę aresztowano [...]. Tata nie miał nic; plecak tylko. Kajak zostawił i poszedł w miasto spalone szukać nowego życia. To była dla niego ziemia obiecana, chociaż nikt mu jej nie obiecał, sam ją sobie wymyślił”.

Z domu rodzinnego wyniósł krytyczny stosunek do ustroju komunistycznego. Grudzień 1970 r. nie był dlatego zaskoczeniem. „Pamiętam zdanie ojca, powściągliwego w komentowaniu sytuacji politycznych: »To początek ich końca, zapamiętaj sobie« [...] Po grudniu paliliśmy w szkole portrety Gomułki i Cyrankiewicza”.

Po zdaniu matury, po ukończeniu studiów polonistycznych na Uniwersytecie Gdańskim wybuchło Polskie Lato 1980. Huelle zgłosił się do stoczni w drugim dniu strajku. Nocą rozwoził ulotki na rowerze marki Ukraina. W wieku 23 lat w pełni zaangażował się w tworzenie nowego ruchu, nie tylko związkowego. Był depeszowcem w Biurze Informacji Prasowej Solidarności, a potem dziennikarzem tygodnika „BIPS”. W czasie I Zjazdu „S” współredagował pismo „Głos Wolny”. Po wprowadzeniu stanu wojennego współpracował z niezależnymi pismami podziemnymi, m.in. z „Podpunktem”. Był również współzałożycielem, później członkiem zespołu redakcyjnego gdańskiego pisma „Punkty Mówione”.

WEISER I INNE

Sam pisarz o procesie powstawania tej powieści, wydanej po raz pierwszy w 1987 r., a napisanej trzy lata wcześniej, powiedział: „Książka powstawała jednym tchem. Trwało to dokładnie tyle, ile trwa ciąża – dziewięć miesięcy. Centralny zamyśl fabularny tkwił we mnie, a w trakcie pisania zmiany dotyczyły tylko szczegółów, to znaczy miałem dokładnie przemyślany

przebieg fabularny powieści, ale musiałem z sobą uzgodnić drobiazgi”. Myślę, że żadna jego późniejsza powieść nie powstała tak szybko. My, młodzi gdańszczanie, chłoniliśmy tę powieść jednym tchem, a potem się okazało, że nie tylko to sprawa regionalna. Odsłaniała bowiem w sposób poetycki, znakomity literacko znany nam Gdańsk, ale przede wszystkim powracała nas w czasy dzieciństwa i pierwszych lat młodości. Główny bohater dzięki swym ponadnaturalnym zdolnościom był baśniowy i realny jednocześnie. Zafascynowani wcześniej powieściami Edmunda Niziurskiego, w tym „Siódmym wtajemniczeniem”, z łatwością przenosiliśmy się do innego wymiaru realizmu magicznego. Późniejszą kontynuacją literackiego odtwarzania młodości była o ponad dekadę starsza powieść Antoniego Libery „Madame”, którą notabene Paweł Huelle niezwykle cenił.

Na kolejną powieść Huellego przyszło czekać aż 14 lat. „Mercedes-Benz. Z listów do Hrabala” przez wielu był nazywany opowiadaniem prozy Bohumila Hrabala. Pisarz nigdy się nie bał odnieść do wielkiej literatury – czy to Grassa, wspomnianego Hrabala czy Thomasa Manna. Pisał swoje powieści, i to jak, bawiąc się formą, jednocześnie opowiadając o sobie, o nas, o naszym świecie. Niechby kto inny poważił się na takie konfrontacje! „Castorp” był zimny jak twórczość Manna. „Ostatnia wieczerza” i „Śpiewając ogrody” wracały do Gdańska, bawiąc się formą, odmalowując różne znane współczesne postaci, czarując historią. Leszek Kopeć, polonista i producent filmowy, starszy kolega Huelle z polonistyki, powiedział, że autor „Weisera” potrafił zniszczyć pisaną przez dwa lata powieść. Był perfekcjonistą. Nie wypuszczał w świat niczego, do czego nie był przekonany. Ciekawe, czy w spuściźnie po zmarłym pisarzu pozostała nieopublikowana powieść o okresie stanu wojennego, czytana we fragmentach w gronie przyjaciół, a pisaną w czasie opisywanych wydarzeń.

Agnieszka Osiecka kiedyś powiedziała o nim: „Paweł Huelle jest akuszerem historii. Tam, gdzie jej nie ma, odgaduje ją. Tam, gdzie jest poszarpana, składa ją na nowo [...]. Huelle odważnie zagląda na każdej niemal stronie do metafizycznej jamy, i to jest druga cecha tej magnetycznej prozy, dla której tak bardzo chce się

■ ją czytać. Proza ta nasycona jest życiem jak żywicą”.

GDAŃSKA TOŻSAMOŚĆ

Stefan Chwin, profesor literatury, pisarz, autor wydanego w 1995 r. „Hannemanna”, po śmierci Pawła Huelle powiedział: „Położył wielkie zasługi w tym, co ja nazywam renesansem gdańskiej tożsamości po roku 1989, kiedy naprawdę w Gdańsku nastąpiły bardzo istotne zmiany w takim samopoczuciu. Zaczęły się podczas Solidarności '80 roku, ale potem po przełomie '89 roku nastąpiła prawdziwa odbudowa ciągłości historii Gdańska i nasze książki [...] wpłynęły bardzo silnie na samopoczucie bardzo wielu ludzi w Gdańsku”.

Renesans gdańskiej tożsamości, odbudowa ciągłości historii Gdańska? Temat na większą polemikę. Miasto jako takie oczywiście istniało przed 1939 r. i istnieje po roku 1945. To, że niemal w całości uległa wymianie ludność tego miasta, wskazuje na to, że powstało pod względem narodowym, społecznym, kulturowym nowe miasto. To, które się zbuntowało w 1970 r., które tworzyło oryginalny krąg opozycyjny, które wybuchło Sierpniem '80, oporem w stanie wojennym. Ale wcześniej działalnością wileńskiej AK, oporem młodzieżowym, obchodami Millennium 1966 r. To całkiem inna opowieść niż historia gdańskich bówków, smakowania machandla czy wyborów do Volkstagu w 1933 r., gdy NSDAP zdobyło 53 proc. głosów w Wolnym Mieście Gdańsku.

Oczywiście komunizm usiłował wyprzeć ze zbiorowej pamięci wszystko, co było niemieckie na ziemiach, które stanowiły po 1945 r. kraj nazwany nieco potem PRL. Stąd naturalna ciągota, żeby na przekór poznać to, co zakazane, co ukryte, co wstydliwie zakopywane. Nasza duma z bycia Europejczykami, także w polskim Gdańsku, nie miała nic wspólnego z pruską czy nazistowską przeszłością grodu nad Motławą. Sam Paweł Huelle w rozmowie z Januszem R. Kowalczykiem mówił: „W żadnym stopniu nie czuję się ikoną Gdańska. To, co może mi się udać, przynajmniej w części moich tekstów, to spłot uniwersalnych losów ludzkich. Moi bohaterowie pochodzą bowiem z różnych stron świata: ze Lwowa, z Wilna, z Kaszub, Pomorza, często też z samego Gdańska – czy to niemieckiego, czy polskiego [...].

Kiedy latem idę ulicą Długą czy Długim Targiem i spotykam wycieczki japończyków z kamerami czy aparatami, którzy fotografują te kamieniczki, to się uśmiecham, gdyż wiem, że to wszystko jest starannie wykonaną atrapą. Może i piękną, lecz atrapą. Oni o tym nie wiedzą, a ja im tego nie mówię”. Dodajmy, że jedną z ulubionych postaci Pawła Huelle była Joanna Schopenhauer; matka filozofa, która na wieść o zagarnięciu Gdańska przez Prusy w 1793 r. wyemigrowała z miasta.

Huelle był mocno uczulony na to, żeby jasno wskazywać winnych ludobójstwa w czasie drugiej wojny światowej: „W opowieściach niemieckich gdańszczan o swoim tragicznym losie nie ma refleksji na temat zachowań własnych rodaków w 1942 roku w Rosji. Co robili? Jak się zachowywali?”. Polemizował na ten temat z wybitnym pisarzem niemieckim W.G. Sebaldem, człowiekiem, który się wstydził nosić niemieckie imiona, a który jednocześnie nie wahał się porównać Hitlera do Churchilla, bo obaj bezlitośnie wydawali rozkazy bombardowania miast. Sam w rozmowie bezpośredniej z Sebaldem powiedział mu: „Churchill nie założył obozów koncentracyjnych dla Niemców, Żydów czy Polaków, co wyście robili od 1933 roku”.

ZA SZTUKĄ, PRZECIW PSEUDOSZTUCE

Huelle był klasykiem także w miłości do innych dziedzin sztuki niż literatura. Powieść „Śpiewaj ogrody” poświęcił zaginionej operze Wagnera. Jako wielbiciel muzyki Bacha pisywał wiersze dla Ewy Póbołockiej, wybitnej polskiej pianistki. Na początku XXI stulecia był zaangażowany w promocję tradycyjnej sztuki, w kontrze do np. sztuki krytycznej. Blisko wówczas współpracowaliśmy przy animacji Pomorskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Napisał przedmowę do ważnej książki prof. Donalda B. Kuspita „Koniec sztuki”. Napisał o niej: „to książka gejzer, płomienny manifest”, podczas gdy „Gazeta Wyborcza” pisała o słabiznie i mętniactwie w dziele amerykańskiego profesora i krytyka. We wstępie do katalogu prac Henryka Czeźnika napisał: „Nasze życie toczy się w chaosie. Rządzi nami przypadek. Dobra sztuka daje natomiast poczucie uczestnictwa w całości”. Pisał o malarstwie m.in. Krzysztofa Izdebskiego, Marka Okrassy.

Powieść „Ostatnia wieczerza” opowiada o autentycznym obrazie namalowanym przez Macieja Świeszewskiego, na którym notabene pisarz jest przedstawiony jako jeden z 12 apostołów.

DOTKNIĘCIE BOGA

Paweł Huelle w „Rzeczpospolitej” z maja 2004 r. w artykule „Rozumieć diabła” napisał, że ks. Henryk Jankowski „przemawia jak gauleiter, gensek, nie jak kapłan”, a za dobra materialne mógłby się wyrzec polskości. Skąd takie radykalne sformułowania wobec zasłużonego duchownego? „Gdyby ksiądz Jankowski nie opluwał Żydów oraz zasłużonych ludzi dla Polski, takich jak Tadeusz Mazowiecki i Jan Nowak-Jeziorański, i nie przyjmował Andrzeja Leppera, który przyznaje publicznie, że w swej działalności politycznej korzysta z tradycji III Rzeszy, to nie napisałbym tego pamfletu” – mówił pisarz. Zestawić Jankowskiego z gauleiterem, w Gdańsku skojarzenie jest jasne z nazistą Forsterem, to było grubo. Huelle jednak przerwał pewną znowę milczenia wokół postaci prałata. Zasłużonego dla Solidarności, dla tysięcy gdańszczan, który jednak nie potrafił odnaleźć się w wolnej Polsce. Pisarz mógł na tej fali odważnego krytyka Kościoła popłynąć dalej. Nadchodziła dobra koniunktura w waleniu na odlew w katolicyzm i jego duchownych. Nie skorzystał z niej, bo nigdy nie był wrogiem Kościoła. Przyjaźnił się np. z ks. Markiem Wittbrotem SAC, duszpasterzem polonijnym i dziennikarzem we Francji.

Huelle z racji swych zainteresowań filozoficznych dobrze znał mistykę Kościoła. Dzieła św. Teresy z Ávili czy św. Jana od Krzyża. Dobrze się w tym świecie odnajdywał. Obok tego fascynował go chasydyzm, na czele z postacią cadyka Baal Szem Towa, którego grób w Międzybożu na Ukrainie odwiedził. Ta postać łączy „Weisera Dawidka” z jednym z opowiadań z ostatniego jego dzieła „Talita”. Paweł Huelle jest mistykiem literatury i taki pozostanie wśród nas.

„Nie zapomniałem tamtego dnia u schyłku lata, gdy po raz ostatni byłem z ojcem na plaży. Nie, nie zmarł ani nie rzucił nas dla młodszej kobiety. Po prostu zawsze przychodzi taki dzień, kiedy idzie się z ojcem na plażę czy nad jezioro ostatni raz”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Instytutu Pamięi Narodowej.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Arcyłotr

Zaprańców mieliśmy w historii wielu, ale aż takich, jak Michał Łyżwiński vel Żymierski, znacznie mniej. Jego kariera wojskowa zapowiadała się bardzo obiecująco, coś jednak poszło nie tak.

Pochodził z inteligenckiej rodziny krakowskiej, krótko studiował prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim. Gdy jego brat Jan popełnił morderstwo (sprawa była bardzo głośna), rodzina zmieniła nazwisko na „Żymirski”. Generał Franciszek Żymirski był sławnym generałem z okresu powstania listopadowego. Gdy jego potomkowie zaprotestowali (wtedy jeszcze było można), Łyżwińscy stali się Żymierskimi. Był oficerem rezerwy armii Austro-Węgier, gdy wybuchła pierwsza wojna światowa, wstąpił do I Brygady, pod dowództwem Józefa Piłsudskiego. W wojnie polsko-bolszewickiej zapisał się chlubnie. W II RP, jako oficerowi „legionowemu”, bardzo łatwo było szybko awansować. Został jednym z najmłodszych generałów WP.

Podczas zamachu majowego w 1926 r. jednoznacznie opowiedział się po stronie rządowej, za co został uwieczniony. Nowe, sanacyjne władze postawiły mu zarzuty korupcyjne (związane z dostawami masek przeciwgazowych dla wojska, szkody oszacowano na 150 tys. dol.). W 1927 r. został skazany na pięć lat więzienia, degradację do stopnia szeregowca, wydalenie z wojska i pozbawienie wszystkich

odznaczeń. Niektórzy ówczesni politycy uważali, że była to zemsta obozu Piłsudskiego. Po odbyciu kary (w więzieniu nawiązał pierwsze kontakty z komunistami) w 1931 r. udał się na emigrację do Francji, gdzie już przebywali jego bracia, zwerbowani przez NKWD.

Żymierski wstąpił tam do Komunistycznej Partii Polski i za poręczeniem braci podjął współpracę z NKWD. Agentem był bezcennym, ponieważ był jedynym byłym oficerem WP tak wysokiego szczebla, który chciał pracować dla Sowietów, a wiedzę o wojsku miał bardzo rozległą. Werbował innych oficerów WP do sowieckiego wywiadu, innych wskazywał jako podatnych do zdrady. W 1938 r. wrócił do Polski, ale jego ówczesne zadania są nieznane. Podczas okupacji próbował dostać się do różnych organizacji niepodległościowych (nawet do NSZ!), ale wszędzie był przepędzany. Dlatego dołączył do PPR i GL, a w 1944 r. został dowódcą AL i wkrótce naczelnym dowódcą LWP – w stopniu marszałka. Zatwierdzał liczne wyroki śmierci na polskich niepodległościowców.

W ramach wewnętrznych porachunków w PZPR został osadzony w więzieniu (1953–1955). Później w PRL trafił na intratny, ale już boczny tor. Był otoczony kultem w środowisku Wojciecha Jaruzelskiego, który uznał go za wzorowego oficera i patriotę. Jest pochowany na Powązkach Wojskowych. ©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Robot kinowy

Najbardziej kasowy polski reżyser epoki międzywojennej, Michał Waszyński, uważał, że jeżeli nasza kinematografia chce sprzedawać swoje produkty na Zachód, to musi nastawić się na filmy typowo rozrywkowe. Sugerował usunięcie całego bagażu martyrologicznego, a atutami filmu miały być wyłącznie jego akcja oraz gra aktorów. Wprawdzie nie osiągnął tak wielkich sukcesów w Europie, jak planował, ale jego obrazy zbierały tam przyzwoite recenzje. W efekcie skoncentrował się na rynku krajowym i porzucił zasadę pracy nad jednym filmem rocznie. Niebawem zaczął zadziwiać wszystkich pracoholizmem, gdyż w ciągu 10 lat zawodowej aktywności nakręcił aż 40 obrazów, a zdarzały się lata, gdy powstawało 5 filmów rocznie, a w 1935 aż siedem. Nic zatem dziwnego, że nazywano go „robotem kinowym”, ale faktyczne nie potrzebował dużo czasu na zdjęcia, gdyż wystarczały mu dwa–trzy tygodnie.

Kręcił nie tylko szybko, lecz także dość tanio, co doceniali producenci. Liczba dubli rzadko przekraczała dwa, raczej też nie zdarzały się dodatkowe dni zdjęciowe. Co więcej, miał odpowiednie podejście do gwiazdorów, którzy chętnie z nim pracowali.

Publiczność uwielbiała produkcje Waszyńskiego, to właśnie on był odpowiedzialny za największą liczbę kasowych sukcesów tamtej

epoki. Każda premiera była triumfem, jak chociażby film „Papa się żeni” (debiut 11 grudnia 1936 r.), chociaż kręcił też filmy o bardziej poważnej treści („Bohaterowie Sybiru”, „Głos pustyni” czy „Bezimienni bohaterowie”). Waszyński sprawdzał się praktycznie w każdym gatunku kina, właściwie było obojętne, czy zajmował się filmem kostiumowym, komedią, melodramatem czy też obrazem patriotycznym.

Jednak większość krytyków miała inne zdanie, uważając, że reżyser nie kręcił filmów, tylko je „robił”, a do tego pracował wyjątkowo niedbale. Podkreślano, że w ciągu trzech tygodni nawet największy geniusz nie potrafiłby stworzyć dobrego obrazu, a na domiar złego Waszyński miał schlebiać najniższym instynktom. Przypominało to nieco sytuację Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, którego oskarżano, że pisał książki dla pokojówek czy kucharek, ale i tak w praktyce czytali go niemal wszyscy.

Jednak ostatnie słowo należało jednak do producentów oraz największych gwiazd. Ich decyzja była jednoznaczna, Waszyński powinien kręcić jak najwięcej, gdyż publiczność uwielbiała jego filmy. A krytycy przecież nie musieli ich oglądać, tym bardziej że niektórzy z nich musieli przyznać, że „reżyser robi stałe postępy, a każdy jego film to krok naprzód”. I nawet po latach większość jego produkcji ogląda się z przyjemnością. ©



Maciej Pieczyński

Jak wyglądały relacje na linii Kijów – Warszawa od kuchni? Czy Dudę i Zełenskiego naprawdę łączyła kiedykolwiek przyjaźń? Dlaczego polskie władze dały się tak spektakularnie ograć Ukraińcom? Odpowiedzi na te wszystkie pytania można znaleźć w głośnej ostatnio książce „Polska na wojnie” Zbigniewa Parafianowicza

Autor zebrał anonimowe relacje polskich dyplomatów, ministrów, oficerów wywiadu i wojska. Nie jesteśmy w stanie zweryfikować szczerości jego rozmówców, którzy komentują przecież działania swoich kolegów. Jednak, po pierwsze, wersje opisu tych samych sytuacji z reguły się pokrywają. Po drugie, anonimowo polityk może pozwolić sobie na więcej niż w oficjalnej narracji. A po trzecie, gwarancją rzetelności jest nazwisko autora – doświadczonego reportera, eksperta od spraw ukraińskich, nieulegającego ani antyukraińskiej, ani proukraińskiej hysterii.

Parafianowicz opisuje różnice między dwoma głównymi bohaterami tej historii: „Duda jest mieszczańskim inteligentem z Krakowa. Zełenski chuliganem z bloku z wielkiej płyty”, typem „zajęca z bajki »Wilk i zając«”, czyli cwaniaka, który zawsze wychodzi na swoje. Chemii między nimi nie było. O przyjaźni też ciężko mówić. To był raczej polityczny „projekt przyjaźni”, wymyślony przez otoczenie Dudy tuż przed wojną. Jakub Kumoch wpadł na pomysł, aby – wzorując się na Aleksandrze Kwaśniewskim – zbudować nieoficjalne relacje z ukraińskim prezydentem. Miesiąc przed wojną Duda, Zełenski i ich najbliżsi współpracownicy spotkali się na suto zakrapianej biesiadzie w Wiśle. To miało być przede wszystkim przełamanie lodów. Tuż po tym spotkaniu Biden poprosił o rozmowę z Dudą. „Wiśla lewarowała Polskę.

Jak Ukraińcy wykiwali Polskę



FOT. HANDOUT/AFPI/EAST NEWS

Amerykanie tuż przed Wisłą ogłosili, że za trzy dni będzie atak na Ukrainę, a Zełenski się na nich wypiął i pojechał na spotkanie z nami” – opisuje Minister X.

To jednak jeden z niewielu momentów, gdy zdawało się, że Warszawa bardziej rozgrywa, niż jest rozgrywana. Paradoksalnie z Amerykanami Polska lepiej sobie radziła niż z Ukraińcami. Gdy podczas wizyty w Warszawie Biden naciskał na spotkanie z Trzaskowskim na Stadionie Narodowym, PiS wynegocjował tyle, że spotkanie się odbyło, ale z dodatkowym udziałem Morawieckiego. Ponadto, choć generalnie obok Brytyjczyków to Amerykanie wiedzieli najwięcej o planach Putina, nie przewidzieli, że Ukraina będzie w stanie się obronić. Jakub Kumoch już w pierwszych dniach wojny przekonywał Jake’a Sullivana, że Kijów się utrzyma. Jak się okazało, rację miał polski dyplomata, a nie amerykański doradca.

Trzecia sytuacja, w której Polsce udało się zagrać na nosie sojusznikom zza oceanu, to spór o migi-29. Jak wiadomo, polski rząd chciał je przekazać Ukrainie, ale za pośrednictwem bazy Ramstein, żeby podzielić się ryzykiem rosyjskiego odwetu z sojusznikami z NATO. Wtedy się okazało, że Amerykanie nieszczególnie chcą się tym ryzykiem dzielić. Ostatecznie jednak Polacy i tak sami przekazali migi Ukraińcom, bez rozgłosu, tyle że w sposób nie do końca legalny. Zostawili je, rozebrane na części, tuż przy granicy. Po jej polskiej stronie. Ukraińcy mieli więc za pozwoleniem Polaków przemycić migi z Polski na Ukrainę.

Państwo, które po kryjomu zachęca swoich partnerów do łamania prawa, trudno uważać za poważne. Gdy Kumoch przedstawiał ten plan Ukraińcom, żartował, że nazwa ich kraju pochodzi od słowa „ukraść”, i dopytywał, czy nad Dnieprem już nikt nie wie, jak się tworzy nielegalne schematy. Ukraińcy się nie obrazili, bo „lubili Kumocha, jego ostrość, twardość, brutalność”.

MISTRZOWIE IMPROWIZACJI

Z książki Parafianowicza wyłania się obraz państwa polskiego, które świetnie sobie radzi, gdy trzeba improwizować, obchodzić lub łamać swoje własne prawo, głównie w interesie innego państwa, za to kompletnie nie potrafi skutecznie zabiegać o własny interes ani tworzyć od-

powiedzialnych, długotrwałych strategii w polityce zagranicznej. Dlatego Warszawa wizerunkowo najwięcej zyskała w pierwszych miesiącach wojny, w dobie permanentnego stanu nadzwyczajnego, zaczęła natomiast tracić, gdy tylko stawało się jasne, że czas na powrót do normalności. W tym do robienia interesów, które wymagały mądrości, a nie sprytu. Mistrzem improwizacji był Michał Dworczyk z KPRM. Na polecenie Morawieckiego zajął się dostarczaniem Ukrainie broni. Za pośrednictwem Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, z pominięciem MON, aby uniknąć ministerialnej biurokracji. Żeby jeszcze bardziej udrożyć kanały przerzutowe, założono prywatną firmę wojskową, która zajmo-

to był zamach, grillowałaby PiS za „tupolewizm” i nieodpowiedzialne narażanie życia rządzących. Podobnie jak Polacy później zrobił Biden. Jadąc w 2023 r. do Kijowa, też uprzedził Rosjan.

Potencjalny sukces pierwszej po wybuchu wojny wizyty premierów w ukraińskiej stolicy przykryła zaskakująca propozycja Kaczyńskiego, by na Ukrainę wysłać misję NATO. Co gorsza, pomysł ten później skrytykował sam Zełenski w wywiadzie dla niezależnych, ale jednak rosyjskich mediów. Minister Y samokrytycznie zauważa, że wpadka prezesa to „esencja PiS”: „Kaczyński nie mówił czegoś, co było niewyobrażalne. Zrobił to jednak po PiS-owsku. Na rympał. Bez żadnych konsultacji. Bez zapytania

Gdy Kumoch przedstawiał ten plan Ukraińcom, żartował, że nazwa ich kraju pochodzi od słowa „ukraść”, i dopytywał, czy nad Dnieprem już nikt nie wie, jak się tworzy nielegalne schematy

wała się transportem. Rozmówcy autora są zgodni, że gdyby nie tego typu kombinacje, żadne wsparcie Ukrainy nie byłoby możliwe. To dobitnie świadczy, że mamy wciąż państwo z dyktu.

To Dworczyk był architektem wyjazdu Kaczyńskiego, Morawieckiego, premierów Czech i Słowenii do Kijowa na początku wojny. O wizycie nie wiedzieli ani Duda, ani Rau, ani Kamiński, ani ambasador Cichocki. W ostatniej chwili Dworczyk poprosił tylko Błaszczaka, aby dał mu GROM do ochrony. „On ma dobre układy w siłach specjalnych. Sam skacze ze spadochronem i jest w tym dobry” – tak Dworczyka opisuje Minister X. GROM na Ukrainę pojechał w pewnym sensie nielegalnie. A to dlatego, że aby użyć sił zbrojnych poza granicami kraju, potrzebna jest zgoda prezydenta, który o całej akcji nie wiedział. Żeby ten przepis obejść, GROM występował podczas wizyty jako Służba Ochrony Państwa. Poza Dworczykiem, Błaszczakiem i samymi uczestnikami wyprawy poinformowani byli sojusznicy z NATO oraz... Moskwa. Dzięki temu Rosjanie nie mogli zbombardować pociągu, a potem udawać, że myśleli, iż to transport czołgów. W takim wypadku mielibyśmy drugi Smoleńsk, a polska opinia publiczna, nie mając pewności, czy

gospodarzy o zdanie. Efekt był oczywisty i do przewidzenia”.

„Esencją PiS” można też nazwać zamieszanie wokół unijnych aspiracji Kijowa. Zełenski prosił Dudę o wsparcie w tej kwestii. I Duda zaczął obdzwaniać europejskich liderów, po cichu budując koalicję na rzecz przyznania Ukrainie statusu kandydata do UE. Część przywódców kręciła nosem. Odmówił m.in. Steinmeier. Choć w rzeczywistości Niemcy planowali zrobić to samo co Polska, tyle że bez udziału Polski. Ostatecznie cały splendor przypadł w udziale Francuzom i Niemcom. Macron i Scholz pojechali do Kijowa ogłosić triumfalnie, że popierają aspiracje unijne Ukrainy. Aby udawać, że grają w jednej drużynie z Europą Środkową, zabrali ze sobą pozbawionego większych aspiracji prezydenta Rumunii. O wcześniejszych staraniach Dudy nikt już nie pamiętał. „Dziś jest gadanie dziennikarskie, że pomysł nam ukrał Macron. Dla państwa jest istotne, żeby się stało, a nie żeby dostać pochwałę. Każdy doskonale wie, że Duda był pierwszy” – przekonuje Minister Y.

Brzmi to jednak albo jak naiwność, albo jak zakłamywanie rzeczywistości. Wizerunkowo Francja i Niemcy wygrały z Polską. A nawet jeśli uznać,

■ że najważniejszy był efekt końcowy, czyli pomoc dla Kijowa w staraniach o wejście do UE, to finalnie efekt ten okazał się dla Polski szkodliwy. Otwarcie przez Komisję Europejską granic dla ukraińskich towarów uderzyło najpierw w polskie rolnictwo, następnie – w polski rynek transportowy. PiS i Duda wykazali się więc krótkowzrocznością i brakiem wyobraźni. Rządzący Polską potrafili z ułańską fantazją przerzucać broń na Ukrainę i altruistycznie zabiegać o interes Kijowa w Unii, ale nie byli w stanie przewidzieć, że Ukraina stanie się dla Polski bezwzględnie i nieuczciwym konkurentem, grającym z Unią właśnie przeciwko Warszawie. Rozmówcy Parafianowicza oburzają się jednak bardziej na hipokryzję Francuzów i Niemców, którzy zmienili front z ukraïnosceptycznego na ukraïnoentuzjastyczny, niż biją się w piersi za własną naiwność.

Trafnie tę zmianę frontu analizuje sam Parafianowicz w ostatnim rozdziale. Niemcy pokonali Polskę jej własną bronią. Warszawa tak długo naciskała na przyjęcie Ukrainy do UE, że w końcu Berlin przejął tę retorykę, stawiając jednak warunek,



ZBIGNIEW
PARAFIANOWICZ
„POLSKA
NA WOJNIE”
WYDAWNICTWO
CZERWONE
I CZARNE 2023

noczonych. Choć bardzo szybko strona polska uzyskała pewność, że rakietą była ukraińska, to Zełenski siedł w zaparte. Sprawiał wrażenie absolutnie przekonanego, że to był pocisk rosyjski. Bezszykownie namawiał Polaków, by forswali uruchomienie art. 4 NATO. „Zarzuć nam, że jesteśmy cieniasami [...]”. Był pewien, że słuchamy się Amerykanów i nie chcemy wywoływać trzeciej wojny światowej” – relacjonuje człowiek z bliskiego otoczenia Dudy.

W tym czasie Ukraińcy prowadzili już akcje dywersyjne na terenie Rosji. Zełenski poczuł się Napoleonem. Nie potrafił pojąć, dlaczego NATO nie chce iść na wojnę z Putinem. „Zełenski [...] w ogóle nie rozumiał problemu po naszej stronie. W Przewodowie zginęli ludzie. Gadanie o tym, że na Ukrainie codziennie giną ludzie i zginęły już tysiące i że Ukraińcy bronią tak naprawdę Polski, doprowadzało wszystkich do szału. Oni nie mogli zrozumieć, że te dwie ofiary to dla nas o dwie za dużo” – wspomina współpracownik Dudy. Wtedy w obozie władzy pojawiały się głosy, by

szczęście ten nieodpowiedzialny i grożący eskalacją konfliktu pomysł nie został zrealizowany. Z drugiej strony sam Łukaszenka na początku wojny miał kontaktować się z Warszawą i pytać, czy może w razie czego przyjechać do Polski i stąd uciec w świat przed Putinem. Przyjechać, nie przylecieć, bo samolot byłby w zasięgu rosyjskich rakiet. To zaś oznacza, że wbrew pozorom gra z białoruskim dyktatorem wciąż była wówczas możliwa. Lojalność Łukaszenki wobec Putina nie jest absolutna i bezwarunkowa. Powinniśmy umieć to wykorzystywać.

ASYSTENT DUDA

Zełenski w pewnym momencie „uwierył, że jest Mahatmą Gandhim”. Duda jako asystent nie był mu potrzebny. Dlatego „sługa narodu” postanowił „porzucić frajera”. Parafianowicz porównuje Zełenskiego do Wałęsy. Podobnie jak on ma dyktatorskie zapędy, potrafi czarować rozmówców i grać powyżej swojej ligi, a nie mając doświadczenia politycznego, intuicyjnie czuje mechanizmy władzy. Na usprawiedliwienie Dudy Parafianowicz przypomina, że Zełenski potrafił okiwać nawet swojego byłego patrona, potężnego oligarchę Ihora Kołomojskiego.

Z książką przebijają jednoznaczna konkluzja – z Ukrainą można coś uzyskać, jeśli rozmawia się z nią twardo. Dobrym przykładem są Węgry, które nauczyły Zełenskiego, że w relacjach z nimi nie ma nic za darmo. Dlatego im ustępował. „Ukraińcy przeklinali pod nosem Orbána, ale go szanowali. Może i był dla nich ch...., ale na pewno nie łochem, czyli frajerem” – pisze Parafianowicz. Jego zdaniem podstawowym błędem polskiej dyplomacji było przegapienie momentu, w którym należało urealnić pozycję naszego państwa. W interesie Polski było przekazywanie Ukrainie broni, nawet za darmo. Ale „błędem było podkreślanie na każdym kroku, że to decyzja podyktowana imperatywem moralnym, i Polska nic za to nie oczekuje. Trudno mieć żal, że Ukraina to wykorzystwała. Trudno mieć żal, że przyzwyczajona do sowieckiego stylu dyplomacji tego kraju nie szanowała partnera, który nie oczekiwał niczego w zamian. Skoro dawaliśmy za darmo, to znaczy, że koszty po polskiej stronie były zerowe lub niewielkie” – konkluduje autor.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Zełenski w pewnym momencie „uwierył, że jest Mahatmą Gandhim”. Duda jako asystent nie był mu potrzebny. Dlatego „sługa narodu” postanowił „porzucić frajera”

który można streścić następująco: „Przyjmujemy Ukrainę, ale w zamian za poparcie dla jednomyślności w UE”. PiS nie mógł się zgodzić na rozwiązanie oznaczające marginalizację małych państw. Ukraina o to nie dba, chce być w Unii i już. Dlatego też Berlin i Kijów stały się naturalnymi partnerami. A Warszawie niezręcznie było nagle wycofać się z własnego pomysłu zaproszenia Ukrainy do UE.

NAPOLEON ZEŁENSKI

Bodaj najciekawszy jest rozdział dotyczący sprawy Przewodowa. Zełenski miał po tej tragedii stracić do Polaków szacunek. Ale nie dlatego, że nie zażądali od niego zadośćuczynienia, tylko dlatego, że... przestraszyli się Rosji i Stanów Zjed-

oficjalnie zażądać odszkodowania, ale jakoś ucichły, bo – jak to ujął Minister X – „nie chcieliśmy eskalować”. A przecież Polskę w sprawie Przewodowa popierali wtedy całkowicie Biden, Scholz, Sunak i Macron. Ponadto Warszawa dysponowała dowodami. Co więcej, do polskiego szefa sztabu generalnego zadzwonił z przeprosinami gen. Wałerij Żałużny, co niestety nie zostało nagłośnione. Polska nie postawiła na swoim, choć miała w ręku wszystkie atuty. Skapitulowała przed Kijowem.

Na marginesie warto też wspomnieć o wątku białoruskim książki. Z jednej strony rząd poważnie rozważał utworzenie antyŁukaszenkowskiej partyzantki na bazie białoruskiej diaspory w Polsce. Na



FEMINISTKI WYPIERAJĄ ŚWIĘTYCH

Urzednicy z Barcelony zmienili nazwy ulic. Jak podała hiszpańska prasa, usunięto nazwy ulic z imionami świętych. Ulice św. Rafała i św. Magdaleny zmieniają nazwę na nazwiska aktywistek feministycznych: Marii Casas Mira, a także Magdaleny E. Blanc. Natomiast ulice poświęcone św. Agacie i św. Róży zadedykowane będą teraz „działaczkom na rzecz kobiet” – Agacie Badiu Puig-rodon oraz Rosie Puig-rodon Pla. Powód? Zmiana posłużyć ma „większej inkluzywności stolicy Katalonii oraz podkreśleniu świeckiego charakteru miasta”.

FOT. ADRIE STOLK

AWANTURA NA SZCZYCIE

Szczyt klimatyczny, który odbywał się w Dubaju – betonowej pustyni ufundowanej za ropę – już tylko z tego faktu powinien trafić do tej rubryki. Wydarzyło się na nim jednak coś lepszego. Otóż „prezydent szczytu” Al Jaber podczas jednej z dyskusji wypalił: „Nie ma naukowych dowodów i scenariuszy, które potwierdzałyby, że odejście od paliw kopalnych pomoże nam w osiągnięciu celu 1,5 st. C [powstrzymania średniego wzrostu temperatury na Ziemi – przyp. red.]. Pomóżcie mi, pokażcie drogę do odejścia od paliw kopalnych, która pozwoli na zrównoważony rozwój socjoekonomiczny, chyba że chcecie cofnąć świat do jaskiń”.

OBÓZ DAWNYCH „PIONIERÓW”

Czerwone chusty, musztry, śpiewanie komunistycznych piosenek – tak bawią się wczasowicze w północnokaukaskiej republice Adygei w Rosji. We wsi Kamenomostki uruchomiono obóz wypoczynkowy dla dorosłych pod hasłem „Naprzód

do ZSRS”. Ci, którzy tęsknią za głęboką komuną, mogą sobie tam powspominać czasy Związku Sowieckiego.

FRYZJER WPADŁ PRZEZ ŁYSYCH

Karabinierzy w Genui, którzy tropią handel narkotykami, aresztowali 55-letniego fryzjera. W salonie znaleziono kokainę, wagi i materiały do pakowania dawek narkotyku. Służby nabrały podejrzeń wobec fryzjera, bo zauważyły, że jego salon odwiedza wielu łysych mężczyzn.

BOMBOWA OZDOBA

W Pembrokeshire ewakuowano okolicę, gdy policjant przypadkowo zainteresował się nietypową ozdobą w ogródku przed jednym z domów. Okazało się, że stojąca tam od ponad 100 lat ozdoba – przyniesiona z plaży przez poprzedniego właściciela – była przytwierdzonym betonem 30-kilogramowym pociskiem z dział okrętowego. Obecni właściciele oczyszczali narzędzia ogrodowe z ziemi, stukając nimi o niewybuch. © ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Polska dojrzała do G20?

Nieco ponad trzy dekady temu, gdy upadał Związek Sowiecki, Polska miała najniższy dochód brutto na mieszkańca w regionie. W ostatnich trzech dekadach Polska nadganiała zaległości czasów komunizmu na tyle sprawnie, że Niemcy przestali żartować sobie z „Polnische Wirtschaft”.

W ostatnich latach mimo pandemii, kryzysu energetycznego czy wojny za miedzą Polacy radzili sobie lepiej niż duża część świata. W ostatnim kwartale 2023 r. byliśmy zaś liderami pod względem tempa rozwoju gospodar-

czego wśród wszystkich państw OECD. Wzrostu PKB w wysokości 1,4 proc. mogą nam zazdrościć nie tylko Francuzi, Niemcy, Włosi czy Węgrzy. Przebiliśmy nawet Stany Zjednoczone, które rozwijały się w tempie 1,2 proc.

Dane za cały rok (a nie tylko kwartał) wyglądają mniej atrakcyjnie, ale i tak wiele wskazuje na to, że w tym roku Polska stanie się jedną z 20 największych gospodarek świata. W roku 2024 Polska ma znaleźć się na podium wśród krajów Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju o najwyższym

tempie wzrostu (według OECD wyniesie on 2,6 proc., a S&P Global Ratings podwyższyło niedawno prognozę wzrostu PKB Polski do 3,1 proc.).

Warto wykorzystać ten moment, aby powrócić do dyplomatycznych starań o przyjęcie Polski do elitarnej grupy G20, a więc grona uchodzącego za nieformalny światowy rząd. Nadchodzą trudne czasy i dobrze byłoby sprawić, aby ewentualne decyzje w sprawie nowego globalnego porządku zapadały wreszcie z udziałem Polaków, a nie ponad naszymi głowami.

Indoholendrzy – zapomniany naród



Piotr Semka

W Holandii Indoholendrów uważano za pełnoprawnych obywateli tego kraju. Co więcej, bardzo znana i szanowana była ich lojalność wobec Królestwa Holandii, która skłoniła ich do opuszczenia rodzimej Indonezji po tym, jak przestała ona być podległa królowej Wilhelminie. Jak przebiegała w ciągu wieków epopeja Indoholendrów? Skąd wzięła się ich wyjątkowa wierność wobec pomarańczowej monarchii?

Niedawna wygrana Geerta Wildersa, lidera Partii Wolności w wyborach parlamentarnych w Holandii, zwróciła uwagę na tego najbardziej wyrazistego polityka Królestwa Niderlandów. Większość europejskich mediów nagłośniła wypowiedzi Wildersa krytykujące islam i imigrację z krajów arabskich. Przypomniano jego żądania, by zamykać meczety, które zamieniono w miejsca religijnej propagandy szowinistycznej.

Wywołuje to krytyczne uwagi ze strony lewicy i wszystkich zwolenników

multikulturalizmu. Jeden z polskich krytyków holenderskiego polityka Jakub Wencel z „Gazety Wyborczej” wykiął na X rzekomy paradoks tożsamości lidera Partii Wolności. „Geert Wilders – facet z pochodzeniem indonezyjskim i żoną z Węgier. Modelowy lider antyimigranckiej zachodniej prawicy”. Kwestia węgierskiej żony nie jest aż tak bardzo zaskakująca, gdyż pochodząca z Węgier Krisztina Marfai jest znaną konserwatywną publicystką o żydowskich korzeniach. A jak jest z wypominanym indonezyjskim pochodzeniem Wildersa? Rzecz w tym, że

matka Wildersa – ściśle rzecz biorąc – nie była Indonezyjką, ale należała do tzw. Indos, zwanych też Indo-Niederlanders.

Genealogiczne związki Wildersa z kontynentem azjatyckim zaczynają się od postaci dziadka Wildersa Johannes Hendrikusa Ordinga, pełnokrwistego Holendra, który trafił do Holenderskich Indii Wschodnich na przełomie lat 20. i 30. zeszłego wieku. Tam ożenił się z Indoholenderką Johanną Magdaleną Meijer. W 1933 r. w miejscowości Sukabumi na wyspie Jawa urodziła się ich córka – Maria Anne Ordning.



Indoholenderskie korzenie Geerta Wildersa nie są żadnym paradoksem
FOT. REMKO DE WAAL/HOLLANDESE HOOGTE/EAST NEWS

Co więcej, bardzo znana i szanowana była ich lojalność wobec Królestwa Holandii, która skłoniła ich do opuszczenia rodzimej Indonezji po tym, jak przestała ona być podległą królowej Wilhelminie. Jak przebiegała w ciągu wieków epopeja Indoholendrów? Skąd wzięła się ich wyjątkowa wierność wobec pomarańczowej monarchii?

NA SKRAJU DWÓCH ŚWIATÓW

Początkowo teren obecnej Indonezji był penetrowany przez kupców portugalskich, których faktorie po pewnym czasie, począwszy od XVII w., były przejmowane przez holenderską kompanię indyjską. Najstarsze rody indoeuropejskie żyjące i zaakceptowane przez władze holenderskie na terenie Azji Południowo-Wschodniej nosiły portugalskie nazwiska, gdyż luzytańska szlachta osiedlająca się w tym rejonie jako pierwsza przyjęła zasadę, że ojcostwo Europejczyka nadaje dziecku miejscowej kobiety status równy z rdzennymi Europejczykami. Tę samą zasadę po Portugalczycach przyjęli koloniści holenderscy. W rezultacie wytworzyła się grupa stojąca pośrodku między rdzennymi Holendrami a tubylcami, którą nazywano w bardzo różny sposób: Indoeuropejczykami, Indoholendrami, Eurazjatami czy – jak to mówili Anglicy – dutch-indos. W języku indonezyjskim wprowadzono nawet rozróżnienie. Euroazjaci nazwani byli Sinjo, Belanda-indo albo Indo-Belanda, w idonezyjskim żargonie Bule. Dla odróżnienia stuprocentowi Holendrzy nazywani byli Totok.

Oczywiście nie definiowało to ściśle etnicznego pochodzenia Eurazjatów, gdyż w służbie holenderskiej, szczególnie na najbardziej wysuniętych placówkach, bardzo często służyli Europejczycy – poszukiwacze przygód, którzy mieli niemieckie, szkockie, flamandzkie, walońskie, portugalskie, angielskie, szwedzkie, a nawet polskie pochodzenie. Byli to ci wszyscy skłóceni z prawem uciekinierzy, którzy trafiali do portów w Rotterdamie czy Amsterdamie i którzy podobnie jak później inni cudzoziemcy w Legii Cudzoziemskiej podpisywali kontrakty na służbę w odległych Indiach Holenderskich, nie wyobrażając sobie nawet często, do jak egzotycznego świata są skierowani.

Indoholendrzy byli w 90 proc. chrzczeni w Kościołach, do których należeli ich holenderscy ojcowie – głównie w Kościołach kalwińskich i protestanckich, a w wypadku Holendrów z południa metropolii chrzest przyjmowano w wierze katolickiej. Władze stanów generalnych Holandii na czele z gubernatorem Indii Holenderskich Janem Pieterszoonem Coenem prowadziły akcję na rzecz zasiedlania kolonii rodzinami ochotników, którym państwo holenderskie obiecywało pomoc. Coen wydał też zalecenia, by do odległych kolonii holenderskich wysyłać z metropolii sieroty. W rezultacie liczba Holendrów i Indoholendrów na terenie dzisiejszej Indonezji powoli wzrastała.

Genealogiczne związki Wildersa z kontynentem azjatyckim zaczynają się od postaci dziadka Wildersa Johannes Hendrikusa Ordinga

Służba w faktoriach wschodnioindyjskiej kompanii handlowej wciąż miała charakter przypominający Legię Cudzoziemską. Przykładowo w 1622 r. na 143 żołnierzy garnizonu w stolicy Indii holenderskich, Batawii, aż połowę stanowili Niemcy. Kroniki wspominają, że stosunkowo dużo Szwedów służyło na statkach kompanii, które krążyły między Holandią a dzisiejszą Indonezją. Zachował się spis ludności Batawii z 1720 r., wyliczający grupy ludnościowe tworzące społeczność mieszkańców miasta. Wymienia on 2 tys. rdzennych Europejczyków, głównie holenderskich kupców, duchownych, wojskowych, potem 1,1 tys. Indoholendrów, 11,7 tys. Chińczyków, 9 tys. Azjatów wychowanych w kulturze portugalskiej (tzw. Mardijkers), 600 indoarabskich muzułmanów, 5,6 tys. imigrantów z drobnych wysepek Morza Południowo-Wschodniej Azji, 3,5 tys. Malajów, 27,6 tys. rdzennych mieszkańców Jawy i wyspy Bali i 29 tys. ludności określonej ogólnikowo jako niewolnicy, z czego spory procent stanowili

Po zwycięstwie narodowego ruchu indonezyjskiego zdominowanego przez muzułmanów w 1948 r. Maria Anne Ording zmuszona była wraz z rodzicami do opuszczenia Indonezji i powrotu do Holandii. I już na terenie Holandii w 1953 r. poślubiła Johannes Hendrikusa Andreasa Wildersa. Dziesięć lat po ślubie przyszedł na świat w Venlo na terenie holenderskiej Limburgii ich syn Geert Wilders. Ojciec był rodowitym Limburczykiem i katolikiem.

W Holandii Indoholendrów uważano za pełnoprawnych obywateli tego kraju.

■ Afrykanie przywożeni z Czarnego Łądu do przymusowej pracy na plantacjach.

W 1854 r. ponad połowa grupy 18 tys. Europejczyków, mających status pełnoprawnych Holendrów, była Eurazjatami. W 1890 r. taki status miało aż 62 tys. osób mających ojca holenderskiego i lokalną matkę. Wraz z otwarciem Kanału Sueskiego i znacznym skróceniem trasy morskiej z Holandii do Indii Holenderskich miało miejsce znacznie silniejszy napływ rdzennych Holendrów, ale oczywiście także w tej grupie w większości byli to holenderscy mężczyźni, którzy potomstwa dorabiali się w związkach z przedstawicielkami ludów tubylczych. Około 1930 r. obliczano że aż 75 proc. tzw. Europejczyków to faktycznie Eurazjaci. Ich przydatność w tworzeniu administracji kolonialnej wynikała z tego, że byli dwujęzyczni. Doskonale znali języki zarówno ojca, jak i matki. W 1940 r. Euroazjaci stanowili aż 80 proc. ludności mającej status pełnoprawnego obywatela holenderskiego. Ich liczbę oceniano na ok. 250 tys.

Japońska okupacja

W 1940 r. Indie holenderskie zostały napadnięte przez oddziały japońskie, które stosunkowo szybko zajęły cały obszar tej holenderskiej kolonii. Japończycy od razu podjęli decyzję faworyzowania rdzennej ludności indonezyjskiej, która w zdecydowanej większości wyznawała islam. Rdzenni Holendrzy, którzy nie zdołali uciec do Australii, zostali zamknięci w obozach koncentracyjnych. Znacznie większa grupa Indoholendrów poddana została innemu rodzaju kontroli. Zgromadzeni zostali oni przez Japończyków w tzw. bujtenkampers, czyli kontrolowanych osiedlach. Chłopców powyżej 10. roku życia izolowano od matek i zamknięto w chłopięcych obozach, osobno przetrzymywano kobiety, z którymi mogły pozostać młodsze dzieci. Byli oni zmuszani do niewolniczej pracy. Japończycy nie starali się o pozyskanie jakiegos poparcia Indoholendrów, widząc w nich jedynie źródło darmowej siły roboczej. Traktowano ich w podobny sposób, jak Niemcy kierowali mieszkańców wschodniej Europy do przymusowej pracy na terenie Niemiec. Podobnie jak UPA na Ukrainie indonezyjski ruch niepodległościowy, na czele z jego wodzem Sukarno, kooperował z Japończykami.

Narodowcy indonezyjscy zakładali, że muszą najpierw zbudować swoją siłę u boku Japonii, a potem, gdy Cesarstwo poniesie klęskę, będą na tyle silni, by nie dopuścić już do odbudowy holenderskiej władzy.

W 1949 r. Holendrzy zorientowali się, że nie są w stanie stłumić niepodległościowej rewolty, i rozpoczęli proces przekazywania władzy Indonezyjczykom

Dwa dni po kapitulacji Japonii, w sierpniu 1945 r., liderzy niepodległościowcy ogłosili powstanie Republiki Indonezji. Rozpoczęła się brutalna walka. Jej bardzo dramatycznym akcentem była tzw. operacja Bersjap, czyli przypominające nieco rzezie na Wołyniu napady na Indoholendrów i mordowanie ich w bardzo drastyczny sposób.

WYGNANIE

W 1949 r. Holendrzy zorientowali się, że nie są w stanie stłumić niepodległościowej rewolty, i rozpoczęli proces przekazywania władzy Indonezyjczykom. Dla Indoholendrów oznaczało to moment wyboru. Tylko 10 proc. Indoholendrów przyjęło indonezyjskie obywatelstwo. Reszta zaczęła opuszczać byłe Indie holenderskie. W samym 1949 r. wyjechało 300 tys. Eurazjatów. Większość wyjechała do Holandii. Wielu z wyjeżdżających nigdy nie było w swojej odległej metropolii. Jak się oblicza, ok. 18,5 proc. Euroazjatów wyjechało do Stanów Zjednoczonych, Australii i Kanady.

Potem rozpoczął się dramat tych, którzy zdecydowali się na pozostanie, ale z racji rasizmu indonezyjskich władz wypominano im na każdym kroku ich mieszane pochodzenie. Zmuszono ich też do zmiany holendersko brzmiących nazwisk. W rezultacie w kolejnej fali emigracji ok. 60 tys. takich optantów wyjechało do Stanów Zjednoczonych.

Innym problemem były osoby, które przybywały z najlepszymi intencjami

do Holandii, ale były nieprzyjemnie zaskoczone tamtejszym wilgotnym i mało słonecznym klimatem. Bardzo często podejmowały decyzję o wyjeździe do Australii albo amerykańskiej Kalifornii, gdzie panował znacznie bardziej słoneczny klimat. Ci, którzy pozostali w Holandii, uzyskali opinie wzorowych obywateli. Holendrzy wiedzieli dobrze o krwawej masakrze, jaką społeczność Indoholendrów przeżyła w Indonezji, i szanowali ich za wierność monarchii holenderskiej.

W 1990 r. holenderskie Centralne Biuro Statystyczne (CBS) oceniało liczbę Indoholendrów żyjących w Niderlandach na ok. 180 tys. osób. W 2001 r. nowe badanie wliczające w skład społeczności Indoholenderskiej także przedstawicielei kolejnej generacji oceniało ją na ok. 500–800 tys. ludzi. Statystyczne dane CBS pokazywały, że była to najlepiej zintegrowana grupa mniejszościowa na terenie kraju. Dane CBS pokazywały też, że Indoholendrzy należeli do grup z najmniejszym poziomem przestępczości. Ogromną popularność w latach 70. i 80. zdobyła grupa Luv – holenderskie trio muzyki pop, którego jedną z wykonawczyń była Patty Brard, urodzona w 1955 r. na holenderskiej Nowej Gwinei, która przybyła z rodzicami do „starego kraju” w 1966 r.

W naturalny sposób to właśnie wygnani z Indonezji Indoholendrzy najbardziej wyczuleni byli na przejawy agresywnego islamizmu ze strony Arabów. Imigranci wyznający islam, na czele z Palestyńczykami, zaczęli od lat 70. uzyskiwać prawo do pobytu w Holandii jako uchodźcy polityczni.

Wszystko to wyjaśnia, dlaczego indoholenderskie korzenie Geerta Wildersa nie są żadnym paradoksem. Podobne zjawisko występowało w latach 70. na południu Francji, gdzie tzw. Harkis, czyli Arabowie algierscy, którzy dobrowolnie opuścili Algierię, aby osiedlić się we Francji, byli jedną z grup, która od początku wspierała Front Narodowy Jeana-Marie Le Pena. Front Nationale jako pierwsze ugrupowanie polityczne we Francji wskazywał na słabą asymilację ludności arabskiej z resztą francuskiego społeczeństwa. Dziś w tej roli występuje w Holandii Geert Wilders.

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



BOLSZEWICKA WOJNA Z BOGIEM – SZATAŃSKI PLAN LENINA I STALINA

Golgota polskich księży – część kapłanów pozostała po wojnie w ZSRS i krzewiła wiarę pomimo brutalnych represji

Pierwszy wróg Polan – jak Mieszko I uporał się z zagrożeniem ze strony Wichmana

Niderlandy na drodze do potęgi – „szał obrazoburców” był początkiem dramatycznej serii zdarzeń, które doprowadziły do niepodległości Holandii

Pyrrusowe zwycięstwo Rumunów – gen. Antonescu już latem 1941 r. zrealizował swoje cele wojenne, po czym przyjął propozycję Niemców, czego efektem były olbrzymie problemy

Zapomniana rosyjska „demokracja” – Republika Nowogrodzka to dowód, że w Rosji nie zawsze i nie wszędzie panował despotyzm

Polska Sowietka – nikt inny z Polski nie spotykał się ze Stalinem tak często. Co tak naprawdę łączyło Wandę Wasilewską i Stalina?

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Duet Buffett i Munger był jednym z najbardziej znanych i udanych w historii globalnego biznesu

FOT. D. ACKER/BLOOMBERG/GETTY IMAGES



Wyrocznia bez Konfucjusza

Racjonalni ludzie nie ryzykują tego, co mają i czego potrzebują dla czegoś, czego nie mają i czego nie potrzebują – to jedno z wielu powiedzeń Warrena Buffetta, dobrze oddających jego podejście do inwestowania. Zarówno on, jak i Charlie Munger – który od 1978 r. był współnikiem Buffetta w Berkshire Hathaway i którego prywatna fortuna szacowana była na ponad 2,5 mld dol. – przez dekady trzymali się reguł, będących dowodem na to, że w biznesie długoterminowo najlepiej sprawdza się właśnie zdrowy rozsądek. Najbardziej znana zasada numer jeden obu panów brzmi: „Nigdy nie trać pieniędzy”. Zasada numer 2: „Nigdy nie zapominać o zasadzie numer 1”.

Brzmi trywialnie? Być może. Inna rada udzielona przez Buffetta w jednym z wywiadów ponad dwie dekady temu zapisała się jednak w historii globalnej gospodarki jako wskaźnik Warrena Buffetta i ułatwia inwestorom ocenę poziomu atrakcyjności inwestycji w ak-



Jacek Przybylski

Warren Buffett, znany jako Wyrocznia z Omaha, nie byłby zapewne najśłynniejszym inwestorem XX i XXI w., gdyby nie miał u swego boku Charliego Mungera. Zmarły w wieku 99 lat filozof biznesu był również mentorem Li Lu, nazywanym chińskim „Warrenem Buffettem”, który oddając hołd Mungerowi, nazwał go Konfucjuszem naszych czasów

cje. Prosta zasada brzmi: jeśli wartość poziomu wycen na giełdzie przekracza 100 proc. wartości PKB danego kraju, to rynek jest przewartościowany. Im niższy jest wskaźnik poziomu wycen do wartości PKB, tym bardziej atrakcyjne są inwestycje w akcje. Rada brzmi niemal tak samo prosto jak zasady numer 1 i 2. Wskaźnik Warrena Buffetta wygenerował jednak prawidłowe ostrzeżenie przed przewartościowaniem rynku giełdowego w czasie tzw. bańki internet-

owej, a także ostrzegł przed kryzysem 2007–2009, bo już w roku 2007 przekroczył ostrzegawczy poziom 100 proc. Niestety, nie wiadomo, czy wskaźnik działa nadal po operacji wielkiego dodruku pieniędzy przez banki centralne, ponieważ od 2013 r. jego wartość wynosi stale ponad 100 proc., a w roku 2021 przekroczyła poziom 200 proc. Pod koniec lipca 2023 r. wskaźnik pokazywał zaś wartość 182 proc. Sam Buffett wydaje się wierzyć, że wskaźnik działa

nadal, ponieważ zarządzany przez niego Fundusz Berkshire Hathaway w trzecim kwartale obecnego roku sprzedał akcje o wartości 7 mld dol. i zwiększył ilość gotówki do 157,2 mld dol. Oczywiście nie brakuje inwestorów i analityków, którzy przekonują, że tak duża pozycja gotówkowa w portfelu słynnego na całym świecie funduszu to wcale nie sygnał nadchodzącego krachu giełdowego, lecz dowód na to, że 93-latek stracił talent do wyszukiwania rynkowych okazji. Oczywiście nie wiadomo, kto ma rację tym razem. Zmarły pod koniec listopada Charlie Munger zauważył jednak podczas jednego ze spotkań w Omaha, że „gdyby ludzie nie mylili się tak często, to nie byłibyśmy tak bogaci”.

MAGICZNA GRANICA

Wielu w jego wiedzę i intuicję wierzy jednak na tyle, że chętnie powierza mu swoje pieniądze. Latem obecnego roku Fundusz Berkshire Hathaway – prowadzony przez legendarnego inwestora Warrena Buffetta – przekroczył niezwykłą granicę. Wartość jego aktywów pierwszy raz w historii wyniosła ponad bilion (sic!) dol. Jak wyobrazić sobie tak wielkie pieniądze? Otóż to więcej niż aktywa takich firm jak Alphabet (właściciel Google), Meta (właściciel Facebooka) oraz Microsoftu razem wzięte.

Wartość aktywów powierzonych w zarządzanie Funduszowi Berkshire Hathaway jest więc 33 tys. razy większa niż w roku 1964, gdy wartość aktywów szacowana była na ok. 30 mln dol. Rok później stery w funduszu przejął Warren Buffett i trzyma je do dzisiaj. Fundusz prowadzony przez legendarnego inwestora ma obecnie wartość setki miliardów dolarów udziały w spółce Apple, a także udziały w firmach z takich sektorów jak ubezpieczenia, energetyka, przemysł, handel czy nieruchomości.

Legendarny inwestor bardzo sceptycznie podchodzi do kryptowalut. Nie obawia się również upadku dolara ani zastąpienia amerykańskiej waluty jako głównej waluty na światowych rynkach. Z dużą rezerwą wypowiada się także o możliwościach sztucznej inteligencji, przekonując, że wątpli, aby algorytmy AI, inwestując na giełdzie, zrobiły z inwestorów miliarderów. Również Munger kryptowaluty nazywał „absolutnie szalonym, głupim

hazardem”, bitcoiną porównywał do „trutki na szczury”, a bankierów do ćpunów uzależnionych od heroiny. Gdy zapytano go o sztuczną inteligencję, odparł krótko, że jego zdaniem „staroświecka inteligencja” działa nadal całkiem dobrze.

WOODSTOCK KAPITALIZMU

Zmarły pod koniec listopada partner Buffetta Charlie Munger do 2011 r. – wówczas jeszcze 87-latek – systematycznie dzielił się swoją wiedzą z inwestorami podczas walnych zgromadzeń akcjonariuszy Funduszu Berkshire Hathaway w Omaha w Nebrasce. Doroczne spotkania z Mungerem i Buffettem stały się tak znane, że impreza w mieście o wielkości Białegostoku zyskała miano „Woodstocku kapitalizmu”. Sam Warren Buffett określił Charliego Mungera mianem twórcy podejścia inwestycyjnego Berkshire Hathaway. „Jego recepta na sukces była prosta: zapomnij o tym, co wiesz o kupowaniu przyzwoitych firm po znakomitej cenie; zamiast tego kupuj znakomite firmy po przyzwoitych cenach” – zdradził zarządzający najsłynniejszym obecnie funduszem inwestycyjnym świata, który sam stał się słynny, stosując wcześniej przeciwną strategię: w latach 50. XX w. kupował wyjątkowo okazjnie firmy będące w tarapatach i sprzedawał je z zyskiem. Charlie Munger takie firmy nazywał „niedopałkami”, które można podnieść tylko po to, aby ostatni raz się nimi zaciągnąć. Zmiana podejścia do inwestycji przyniosła Warrenowi Buffettowi globalną sławę i ogromne pieniądze. „Niezależnie od tego, czy mówimy o skarpetkach czy o akcjach, lubię kupować towary wysokiej jakości, gdy są przecenione” – pisał w liście do udziałowców z 2008 r., przekonując, że jeśli inwestowania nie traktuje się niczym hazardu, to najlepiej jest wybierać te spółki, które przynoszą pewny zysk, nawet jeśli nie da się ich kupić z ogromnym rabatem.

SKROMNE ŻYCIE MILIARDERA

Majątek netto 93-letniego Warrena Buffetta, który pieniądze zarabiał już jako sześciolatek, chodząc od mieszkania do mieszkania i sprzedając gumy do żucia, a przygodę z giełdą zaczął mając lat 11, w ubiegłym tygodniu szacowany był przez Forbesa na 117,7 mld dol., a przez

Bloomberg na 119 mld dol. Taka fortuna sprawia, że jest obecnie siódmy na liście najbogatszych Ziemi.

Niezwykle zamożny inwestor nie szasta jednak pieniędzmi na lewo i prawo. Przeciwnie, żyje skromnie w tym samym domu, który kupił w roku 1958 za 31,5 tys. dol. Jest zresztą tak bardzo oszczędny, że czasem złośliwie nazywany jest wręcz „królem skąpców”. Bill Gates, długoletni przyjaciel Warrena Buffetta, wspominał przed laty, jak inwestor słynący z miłości do fast foodów za posiłek w McDonald’s zapłacił kuponami.

Oszczędna jest również 77-letnia druga żona miliardera, Astrid. Latem dziennikarze podsłuchali, jak podczas imprezy Allen&Co w Sun Valley w Idaho, nazywanej „letnim obozem dla miliarderów”, skarżyła się pracownikom kurortu, że kawa kosztuje aż 4 dol. (równowartość 16 zł). Jednocześnie Buffett jest znanym filantropem. Obiecał przekazać na rzecz fundacji ponad 99 proc. majątku, a do tychczas rozdał już na cele charytatywne ok. 55 mld dol., głównie za pośrednictwem Fundacji Gatesów oraz fundacji prowadzonych przez swoje dzieci.

Jak długo jeszcze będzie stał na czele Funduszu Berkshire Hathaway? Nie wiadomo. Wiadomo, że miliarder nie dba – i od dziesięcioleci nie dbał – o zdrową dietę. Miłośnik coca-coli, burgerów, hot dogów i słodczych przekonywał przed laty (cytowany przez CNBC), że jego zdaniem „szczęście ma ogromny wpływ na długowieczność”, a on jest szczęśliwszy, gdy pije colę, je sos czekoladowy lub hot dogi. Żartował także, że stosuje zasadę „Jeśli trzylatek tego nie je, to ja tego nie jem” i że od dekad odżywia się niczym sześciolatek. „Sprawdziłem statystyki i okazało się, że najniższy wskaźnik zgonów występuje wśród sześciolatków. Postanowiłem więc jeść jak sześciolatek. To najbezpieczniejszy sposób” – przekonywał legendarny inwestor na łamach „Fortune”. Jego przyjaciel Charlie Munger z tak samo złymi nawykami żywieniowymi dożył 99 lat. Istnieje więc szansa na to, że Warren Buffett jeszcze co najmniej przez kilka lat da radę kierować Berkshire Hathaway, a jego biografowie pilnie studiować będą nie tylko jego rady, jak osiągnąć bogactwo, lecz także gruntownie zbadać jego kontrowersyjną receptę na długowieczność... © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jakub Wozinski

Praktyki, których dopuściła się ukraińska spółka Kernel, nie mają właściwie dla siebie precedensu i stanowią rodzaj działania nieznanego współczesnym rynkom finansowym

Listopad 2007 r. Kierowana przez Andrija Werewskiego spółka Kernel Holding debiutuje na warszawskiej giełdzie, bijąc przy okazji rekord, jeśli chodzi o wartość premierowej emisji akcji (200 mln dol.). Liczący zaledwie 33 lata ukraiński oligarcha zostaje okrzyknięty jednym z najzdolniejszych biznesmenów młodego pokolenia, a jego spółka przyciąga polskich inwestorów. Obecnie Kernel Holding to największy na świecie producent oleju słonecznikowego i największy eksporter ukraińskiego zboża, ale już w pierwszych latach działalności rysujące się przed nim perspektywy wydawały się nad wyraz obiecujące. Po tym, jak w 2008 r. Ukraina przystąpiła do Światowej Organizacji Handlu, eksport płodów rolnych stał się jeszcze bardziej dochodowy i z tej okazji postanowili skorzystać polskie Otwarte Fundusze Emerytalne, które nabyły znaczną ilość udziałów w spółce (do niedawna posiadały ok. 21 proc. akcji). Oprócz nich na akcje Kernela skusiło się bardzo wielu rodzimych inwestorów indywidualnych.

WYKUP NA PRZECENIE

Bezsprzecznym faktem pozostaje to, że inwestycja w ukraiński agroholding od początku wiązała się ze sporym ryzykiem. Panujące nad Dnieprem standardy polityczne pozostawiają wiele do życzenia, a sposób, w jaki nabywana jest ziemia budująca potęgę rolnych koncernów, znany był nie od dziś. Pomimo tego można było do pewnego stopnia zakładać, że ukraiński inwestor przynajmniej w Polsce będzie chciał zachowywać się poprawnie. Tak zresztą było w pierwszych latach, gdy Kernel zyskał zaufanie i wszedł nawet na kilka lat w skład elitarnego indeksu WIG20.



Giełdowy skandal

Przez kilkanaście lat obecności na warszawskim parkiecie spółka miała swoje lepsze i gorsze chwile. W 2015 r. została wykreślona z indeksu największych spółek, lecz ceny jej akcji nadal były na przyzwoitym poziomie. W latach poprzedzających obecną wojnę perspektywy stojące przed Kernelem znów zarysowały się w niezwykle jasnych barwach ze względu na skokowy wzrost eksportu ukraińskich płodów rolnych oraz zakup nowych gruntów przez władze spółki.

Kernel ucierpiał nieco w wyniku rosyjskiej agresji z ubiegłego roku, jego notowania spadły do historycznie najniższych poziomów, lecz spółce nie zagroziło nigdy bankructwo. W 2022 r. spółka odnotowała stratę w wysokości 41 mln dol., lecz już w pierwszej po-

łowie 2023 r. zaczęła przynosić przyzwoity zysk (wynoszący nawet ponad 200 mln dol.). Werewski zaczął jednak przekonywać, że obecność spółki na giełdzie „nie jest efektywna kosztowo”. Nie mówiąc tego nigdy wprost, oligarcha postanowił najzwyczajniej w świecie skorzystać z nadarzającej się okazji i wykupić wszystkie udziały w spółce.

WYWŁASZCZENIE ZA 60 MLN DOL.

W marcu obecnego roku kontrolowana przez Andrija Werewskiego firma Namsen ogłosiła wezwanie na zakup 61,95 proc. akcji po bardzo niskiej cenie 18,5 zł. Jako że pozostały pakiet 38,05 proc. akcji znajdował się dotąd w rękach oligarchy, oznaczało to ni-

mniej, ni więcej, że Kernel Holding ma zniknąć z giełdy. Wezwanie wywołało na warszawskiej giełdzie niemały szok, bo przecież to właśnie polskim inwestorom Werewski zawdzięczał zbudowanie potęgi swojego koncernu. Ponadto, po niepewnych pierwszych miesiącach wojny, przed Kernel Holding otworzyły się zupełnie nowe perspektywy rozwoju i odnoszenia wielkich zysków. Uprzywilejowanie ukraińskiego handlu przez Unię Europejską oraz wizja przyszłej akcesji i dostępu do dotacji sprawiały, że część akcjonariuszy zakładała (i nadal zakłada), że całe przedsięwzięcie może być jeszcze bardzo dochodowe.

Część posiadaczy akcji przystała jednak na postawione im warunki i tym samym na początku maja po zakupie 36 proc. akcji Ukrainiec stał się większościowym udziałowcem (74,05 proc.). Było to jednak wciąż zbyt mało, aby zarządzić wycofanie spółki z obrotu (polskie prawo wymaga zgody co najmniej 90 proc. głosów akcjonariuszy). W tym czasie polscy udziałowcy wnieśli skargi do Komisji Nadzoru Finansowego oraz Giełdy Papierów Wartościowych, zwracając uwagę na to, że decyzja o delistingu (czyli wycofaniu spółki z giełdy) narusza ich interesy, lecz obie instytucje wybrały dość pasywną postawę.

Zarejestrowany w Luksemburgu Kernel Holding liczył początkowo na szybkie rozwiązanie sprawy, lecz wobec oporu Polaków uciekł się w końcu do bardzo drastycznych metod. Pod koniec sierpnia władze spółki ogłosiły decyzję o emisji nowego pakietu 216 mln akcji, które od razu nabył Werewski, osiągając wreszcie upragnione 90 proc. Udziały polskich akcjonariuszy zostały tym samym rozwodnione, a wszelkie próby nabycia nowych akcji przez Polaków zostały stordetowane. Co jednak szczególnie skandaliczne, cena nowych akcji została ustalona jako zaledwie 1,10 zł. Wykładając łącznie 60 mln dol., ukraiński oligarcha postanowił tym samym wywłaszczyć polskich inwestorów, którzy w razie braku reakcji polskiego nadzoru finansowego i sądów utracą majątek szacowany na ok. 1,5 mld dol.

DELISTING JAK POLICZEK

Działania spółki Kernel Holding i stojącego za nią Andrija Werewskiego są

szokujące przynajmniej z kilku powodów. Po pierwsze dlatego, że wszystko dokonuje się w kontekście trwającej wojny i ogromnej pomocy udzielonej Ukrainie przez Polaków i polskie państwo. Dokonując tego rodzaju delistingu, ukraiński oligarcha uderza tak naprawdę w szerokie grono osób oszczędzających na emeryturę, narażając ich na wymierne straty. Po drugie, strategia przyjęta przez Werewskiego oparta jest na próbie osiągnięcia zamierzonego celu skandalicznie niskim kosztem, co stanowi upokorzenie dla całego polskiego środowiska inwestorów.

Po trzecie wreszcie, w najnowszej historii giełdy oraz rynków finansowych doprawdy trudno znaleźć przykład bardziej zuchwałej próby wycofania spółki z obrotu ze szkodą dla udziałowców. Czysto teoretycznie jako spółka korzystająca z gościnności Polaków Kernel powinien bardziej niż inni starać się o przestrzeganie zasad naszego prawa. Właściwie nie do pomyślenia jest, aby na podobne czyny zdecydowała się jakakolwiek spółka notowana w Londynie czy we Frankfurcie, ponieważ niemal natychmiast jej właściciele zostaliby uznani za rozbójników i wydano by im wyroki bilet. Świat giełdy i finansów to z pewnością nie azyl dla świętych, ale panują w nim pewne określone zasady, których nie wypada łamać.

Znaczna część odpowiedzialności za skandal z udziałem Kernel Holding spoczywa niestety na KNF i GPW. Prowadzone przez nich jałowe postępowania wyjaśniające i długotrwałe rozpatrywanie wniosków nie przyniosły polskim inwestorom żadnej realnej pomocy. W efekcie ukraiński oligarcha mógł się nawet czuć zachęcony do tego, aby bez żadnych skrupułów kontynuować swoje działania i mieć przy tym poczucie bezkarności.

Nie brak głosów, że winne całej sytuacji jest także polskie prawo, które nie jest dostatecznie przygotowane na tego rodzaju wariant, w którym zarejestrowana w Luksemburgu firma wykorzystuje rozbieżności między polskim a zagranicznym systemem prawnym, osiągając efekt rabunku w biały dzień. Casus Kernels powinien posłużyć więc do udoskonalenia przepisów, gdyż cała sprawa może bardzo negatywnie odbić się na

całym polskim rynku giełdowym. Brak odpowiednich mechanizmów zabezpieczających mniejszościowych akcjonariuszy może odstraszyć wielu potencjalnych inwestorów.

PERSONA NON GRATA

Bez względu na to, jak zakończy się cała awantura spowodowana działalnością Andrija Werewskiego, jego osoba i spółka powinny stać się w Polsce persona non grata. Wiadomo, że wobec blokady czarnomorskich portów Kernel korzysta obficie z polskiego systemu transportowego oraz polskich portów. Nie ma jednak żadnych powodów do tego, aby podmiot działający w tak jawny sposób na szkodę tysięcy Polaków mógł dalej swobodnie korzystać z wszelkich udogodnień zapewnianych przez polskie państwo. Najbardziej adekwatne byłoby zastosowanie swego rodzaju sankcji, które uprzytomniłyby oligarsze i jego partnerom, że Polska nie pozwoli sobie upokarzać.

Warto także zwrócić uwagę, że Andrij Werewski nie jest postacią anonimową, lecz biznesmenem zaliczającym się do ścisłego grona najbogatszych Ukraińców i osobą mającą znaczny wpływ na politykę kraju. Zaledwie kilka lat temu media informowały o tym, jak bliski współpracownik właściciela Kernel Holding, Witalij Chomutynnik, przeforsowywał w ukraińskim parlamencie zmiany w podatku VAT premiujące agroland, a uderzające w ich średnią i małą konkurencję. Z tego powodu giełdowy rozbój w biały dzień dokonany przez Werewskiego to skandal na naprawdę dużą skalę, ponieważ dostarcza kolejnego przykładu tego, jak bardzo ukraińskie elity nie szanują Polski.

Afera Kernel Holding została nagłośniona przez Konfederację dopiero w ostatnim czasie, choć na dobrą sprawę pozostawała niezauważona od ponad pół roku. Odchodząca władza wybrała milczenie, gdyż chciała dobrych relacji z Kijowem bez względu na cenę. Po nowej władzy, która wcześniej była uwikłana w wiele powiązań biznesowych z ukraińskimi oligarchami, niczego dobrego spodziewać się nie można. Strata netto zostanie koniec końców zapisana na koncie polskiej gospodarki i polskich inwestorów.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. LASY POLSKIE

Polskie lasy to łakomy kąsek

Panie dyrektorze, Parlament Europejski w przyjętej w Strasburgu rezolucji opowiedział się za zmianą traktatów unijnych. Zgodnie z propozycjami instytucje unijne otrzymałyby kolejne wyłączne kompetencje, w tym w obszarze leśnictwa. Jak pan patrzy na te propozycje?

JÓZEF KUBICA: Przeniesienie kompetencji z poziomu państw członkowskich na poziom UE, m.in. poprzez utworzenie dwóch nowych kompetencji wyłącznych UE – w zakresie ochrony środowiska oraz bioróżnorodności (art. 3 TFUE) – to po-

mysł absurdalny. O lasach w Polsce nigdy nie będą decydować urzędnicy z Brukseli. Stanowczo mówimy temu: nie! Nigdy nie będzie naszej zgody na tego rodzaju zmianę traktatów, odbierającą Polsce kompetencje w tak ważnym obszarze.

Skąd takie działania Unii Europejskiej?

Polskie lasy to łakomy kąsek dla unijnych eurokratów. Trzeba pamiętać, że lasy to nie tylko drzewa, rośliny, zwierzęta i grzyby. To ogromne terytorium, zbyt

duże, byśmy mogli z niezmałym spokojem patrzeć na to, co się może wydarzyć. Lasy w Polsce zajmują aż jedną trzecią powierzchni, czyli ponad 90 tys. km kw. Areał gruntów, na którym zmieściłyby się trzy państwa wielkości Belgii. A pod powierzchnią – wartościowe surowce, czyli gigantyczne pieniądze. I kto wie, czy pod powierzchnią unijnej polityki nie kryje się właśnie zainteresowanie kopalinami i gruntem.

Do zmian w traktatach jeszcze daleko. Załóżmy jednak, że wchodzi one w życie. Co wówczas mogłoby się wydarzyć?

Nowe rozwiązania mogą przynieść negatywne skutki dla różnorodności biologicznej, możliwości adaptacji lasów do zmian klimatu, a przede wszystkim znacząco ograniczą podaż drewna i spowodują wzrost jego ceny. To z kolei zaowocuje dynamicznym wzrostem importu – również z krajów, gdzie nie prowadzi się zrównoważonej gospodarki leśnej, co

oznacza przyspieszenie wylesiania i degradacji poza Unią Europejską. Drewno będzie zastępowane innymi surowcami, których produkcja jest energochłonna i bazuje na nieodnawialnych źródłach surowców, np. plastik, guma, beton czy ceramika. Konsekwencją będzie zatem nie powstrzymanie zmian klimatu, a ich przyspieszenie.

Warto zauważyć, że polskie lasy w 80 proc. są państwowe, co jest evenementem w Europie, Polacy zaś nie spotykają się niemal z żadnymi ograniczeniami, gdy chcą do nich pójść.

Lasy w Polsce zajmują jedną trzecią powierzchni, w 80 proc. są państwowe i nie poddają się naciskom koncernów i wielkiego biznesu. Nasze lasy to koło zamachowe polskiej gospodarki. Razem z przemysłem drzewnym odpowiadają za kilka procent krajowego PKB. Polska mebluje Europę. Jednym z naszych podstawowych zadań jest udostępnianie lasów całemu społeczeństwu. Opieka państwa nad ogromną większością z nich zapewnia fundamentalną korzyść – swobodny dostęp wszystkich obywateli do lasów. Wszystkich szukających w lesie wypoczynku zachęcamy do skorzystania z bogatej oferty turystycznej Lasów Państwowych. Czekają na państwa ośrodki wypoczynkowe, leśniczówki, pokoje gościnne pięknie położone wśród leśnych ostępów. Wszystkie informacje niezbędne, aby zaplanować obfity w atrakcje wypoczynek w lasach, znajdują państwo w stworzonym przez nas Leśnym Przewodniku Turystycznym Czaswlas.pl.

Polscy leśnicy są powszechnie szanowani. W czym tkwi sukces polskiego modelu gospodarki leśnej?

Dbamy o różnorodność biologiczną lasów, chronimy je przed wieloma zagrożeniami – klęskami żywiołowymi, plagami owadów, chorobami drzew, pożarami, zanieczyszczeniami, a także przed skutkami kłusownictwa czy wandalizmu. W ten sposób nie tylko dbamy o przyrodę, lecz także umożliwiamy Polakom bezpieczne korzystanie z jej dóbr – bezpieczne tak dla nich, jak i dla samych lasów. Dbamy również o to, by gospodarka leśna, dostarczająca na rynek uniwersalny surowiec ekologiczny, którym jest drewno, prowadzona była zgodnie z zasadami zrównoważonego rozwoju, uwzględniającego wszystkie funkcje, jakie pełnią lasy.

Dla leśników las jest nie tylko miejscem pracy, lecz także pasją. Każdego dnia ponad

25 tys. osób zatrudnionych w Lasach Państwowych pracuje z zaangażowaniem po to, by polskie lasy przetrwały i się rozwijały. Czynią to w coraz lepszych warunkach. Tradycję Lasów Państwowych łączymy bowiem z najnowszymi osiągnięciami nauki oraz techniki. Wprowadzamy maszyny leśne najnowszej generacji, sprzęt pomiarowy, monitoringowy i inne narzędzia pracy, które zapewniają bezpieczeństwo, szybkość i skuteczność naszych działań. Ogromną wagę przykładamy do wykorzystania narzędzi informatycznych. System Informatyczny Lasów Państwowych gromadzący dane i przetwarzający je wspomaga zarządzanie lasami, planowanie działań gospodarczych i nadzór nad nimi. Drewno z Lasów Państwowych można kupować przez Internet – w Portalu Leśno-Drzewnym i aplikacji e-drewno.

Gospodarka leśna to dbanie o polskie lasy, tak aby polska gospodarka miała drewno, obywatele coraz więcej zdrowych miejsc do odpoczynku, a przyroda zapewniona bezpieczny rozwój. Zrównoważona i wielofunkcyjna gospodarka leśna, którą prowadzą nasi leśnicy już od prawie 100 lat, to modelowy wzór dla całej Europy. Naprawdę mamy się czym pochwalić – lasów mamy coraz więcej i są w coraz lepszej kondycji.

Polski model trwale zrównoważonej gospodarki leśnej był dotychczas wzorem dla innych państw. Opiera się bowiem na praktykach wypracowanych przez kilka generacji polskich leśników i ich 100-letnim doświadczeniu, czerpie również z najnowszych osiągnięć nauki i wdraża nowoczesne technologie. Leśnicy nie tylko pozyskują drewno, lecz także odnawiają drzewostany i zalesiają nieużytki, dlatego powierzchnia obszarów leśnych w kraju stale rośnie. Udostępniają przy tym tereny leśne społeczeństwu, co jest rzadką praktyką w innych państwach europejskich.

Instytucja, którą pan kieruje, jest jednak niezwykle mocno atakowana przez opozycję. Zarzuca wam ona m.in., że „wyrzynacie lasy na potęgę”, a drewno eksportujecie do Chin. Jak pan odpowie na te zarzuty?

Wciąż słyszymy te same absurdalne zarzuty. Zatem niech jeszcze raz wybrzmi nasza jednoznaczna odpowiedź na nie. Lasy Państwowe nie eksportują drewna do Chin ani do żadnego innego kraju na świecie, ponieważ w ogóle nie zajmują się eksportem tego surowca. Jest on sprzedawany

legalnie działającym w Polsce podmiotom gospodarczym, w bardzo niewielkiej części również tym, które zostały zarejestrowane za granicą. To ok. 20 firm z Unii Europejskiej spośród 7 tys. kontrahentów figurujących w bazie klientów. Warto przypomnieć, że zasada swobodnego przepływu towarów i usług pochodzących z państw członkowskich leży u podstaw funkcjonowania UE. Od kilkunastu lat Lasy Państwowe posługują się w procesie sprzedaży specjalnymi narzędziami informatycznymi, które zapewniają transparentność wszystkich procedur i bezstronność przy wyborze kontrahentów. To, co robią z drewnem jego nabywcy, pozostaje ich indywidualną decyzją. Czy nabywca je wyeksportuje czy przerobi na miejscu, i w jakim stopniu to robi, to jego autonomiczne prawo, w które nie można ingerować. W tym zakresie zachodzi niemal dokładnie taka relacja jak między sklepem a kupującym. Gdy klient odchodzi od kasy, nikt nie ma prawa ingerować w to, co stanie się z zawartością jego koszyka. Jeśli będzie chciał ją wyeksportować za granicę, to kwestia ta zostanie przedmiotem zainteresowania służb celno-skarbowych, a nie sklepu.

Od prawie 100 lat leśnicy, w myśl zasad zrównoważonej i wielofunkcyjnej gospodarki leśnej, dbają o polskie lasy. Podstawowym dokumentem, na podstawie którego nadleśnictwa prowadzą gospodarkę leśną, jest plan urządzenia lasu zatwierdzany przez ministra właściwego do spraw środowiska. Powstaje raz na 10 lat, zawiera szczegółowy opis i ocenę stanu lasu oraz cele, zadania i sposoby prowadzenia gospodarki leśnej z uwzględnieniem m.in. zasad hodowli i użytkowania lasu, ochrony przyrody, krajobrazu czy różnorodności biologicznej. Opracowanie tego dokumentu jest złożonym procesem, w który zaangażowanych jest wielu specjalistów i naukowców, i trwa ok. trzech lat. Na każdym etapie jego powstawania jest zapewniony udział strony społecznej.

Po wejściu w życie planu w danym nadleśnictwie pozyskiwanie drewna odbywa się tam ściśle według określonych w nim limitów i w ściśle określonych miejscach. Nie ma możliwości wzrostu pozyskania drewna, bo zmieniła się koniunktura gospodarcza czy wzrosły ceny. Dlatego nie występuje w Polsce zjawisko „masowych wycieków”, jak często się to rozpowszechnia w mediach.



Polskie lasy wzorem



Karol Gac

Parlament Europejski opowiedział się za zmianą unijnych traktatów i przedstawił swoją propozycję w tym zakresie. Zgodnie z nią prawo weta zostałoby zlikwidowane w 65 przypadkach, a instytucje unijne otrzymałyby kolejne kompetencje w tym w obszarze leśnictwa. Czy to oznacza, że polskie lasy są w niebezpieczeństwie? Na ten temat rozmawiano podczas debaty zorganizowanej przez tygodnik „Do Rzeczy”

22 listopada w Parlamencie Europejskim odbyło się głosowanie nad sprawozdaniem Komisji Spraw Konstytucyjnych PE, zalecającym zmianę unijnych traktatów. Eurodeputowani opowiedzieli się za zmianą traktatów

unijnych. 291 z nich było „za”, 274 „przeciw”, a 44 wstrzymało się od głosu. Choć to dopiero początek całej procedury, to proponowane zapisy radykalnie zwiększają kompetencje instytucji unijnych kosztem państw członkowskich. PE opowiedział się m.in. za rezygnacją

z zasady jednomyślności w głosowaniach w Radzie UE w 65 obszarach oraz za przeniesieniem kompetencji z poziomu państw członkowskich na poziom UE, np. poprzez utworzenie dwóch nowych kompetencji wyłącznych UE – w zakresie ochrony środowiska i bioróżnorodności – oraz znaczne rozszerzenie kompetencji współdzielonych, które obejmowałyby siedem nowych obszarów

Ze względu na znaczenie tego tematu oraz toczącą się dyskusję w Polsce tygodnik „Do Rzeczy” postanowił zorganizować debatę „Zmiana unijnych traktatów a polskie lasy”. Wzięli w niej udział: wiceminister klimatu i środowiska oraz poseł Suwerennej Polski Edward Siarka, Michał Gzowski, pełnomocnik inicjatywy ustawodawczej „W obronie polskich lasów”, dr inż. Paweł Szymański, nadleśniczy Nadleśnictwa Jabłonna, oraz



Na zdjęciu od lewej: publicysta tygodnika „Do Rzeczy” Rafał A. Ziemiakiewicz, dr inż. Paweł Szymański, nadleśniczy Nadleśnictwa Jabłonna, wiceminister klimatu i środowiska oraz poseł Suwerennej Polski Edward Siarka, Michał Gzowski, pełnomocnik inicjatywy ustawodawczej „W obronie polskich lasów”, oraz redaktor naczelny „Do Rzeczy” Paweł Lisicki. FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ/ARSLUMEN



dla Europy

publicysta tygodnika „Do Rzeczy” Rafał A. Ziemiakiewicz. Rozmowę moderował Karol Gac, szef portalu DoRzeczy.pl.

Otwierając dyskusję, redaktor naczelny „Do Rzeczy” Paweł Lisicki zwrócił uwagę na tempo, w jakim politycy unijni dążą do zmian traktatowych. – Zaraz się okaże, że w ramach tej wielkiej, wspólniejszej idei federacyjnej znacząca część państwa polskiego i polskich lasów zostanie wyjęta z polskiego zarządu. Mam nadzieję, że tak się nie stanie, a nasza debata przyczyni się do ukazania niebezpieczeństw związanych z tym procesem – podkreślał.

U PROGU KATASTROFY

Wiceminister klimatu i środowiska Edward Siarka ocenił, że temat zmiany traktatów unijnych oraz wiążących się z tym niebezpieczeństw niemal nie funk-

cjonuje w świadomości społecznej. – Co gorsza, także w debacie na ten temat często nie ma rzetelnych informacji, a skupia się ona na nieważnych elementach. Generalnie cały proces przebiega w sposób nietransparentny. Trzeba podkreślić, że te zmiany uderzą w podstawy gospodarcze państw i społeczeństwa. Kiedy w lipcu mówiłem o tych zagrożeniach, a także o tym, że taka legislacja jest przygotowywana, to politycy opozycji wyśmiewali moją wypowiedź i twierdzili, że wprowadzam opinię publiczną w błąd, bo nic takiego się nie dzieje. Tymczasem okazało się, że upłynęło kilka miesięcy i mamy już stanowisko PE, które wyraźnie mówi, że obszar leśnictwa ma znaleźć się w kompetencjach wyłącznych – wskazywał.

Edward Siarka zauważył także, że próbie przeniesienia kompetencji z ob-

szażu leśnictwa na poziom kompetencji współdzielonych sprzeciwiały się Polska i państwa skandynawskie. W związku z tym „wykonano zabieg, że wśród kompetencji wyłącznych znajdzie się nowe pojęcie »bioróżnorodność« i ochrona środowiska, która była w kompetencjach dzielonych”. – To by oznaczało, że wszystkie decyzje, które zapadały na poziomie krajowym, zapadałyby de facto na poziomie unijnym. Jeśli połączymy to z dokumentami, które już są w sprawie leśnictwa, to mamy obraz, w którym wszystko próbuje się podporządkować polityce klimatycznej. Wiemy z analiz naukowych, że pogodzenie funkcji przyrodniczych i tych dotyczących ochrony klimatu skończy się katastrofą dla polskich i europejskich lasów. Nie wyobrażam sobie, że polskie lasy miałyby być zarządzane według średnich, ujednoliconych parametrów. To musi skończyć się katastrofą i wszystkie ekspertyzy, które posiadamy, jak również te z innych państw, pokazują, że doprowadzi to do głębokiej degradacji – przestrzegał.

Poseł Suwerennej Polski zwrócił również uwagę, że w tym roku mieliśmy już w Europie kilka przykładów, które pokazały, do czego może doprowadzić doktrynalne podejście do lasów, zgodnie z którym się o nie nie dba. – W efekcie mieliśmy gigantyczne pożary. Francuzi przyznają, że nasz model jest jednym z najlepszych w UE. KE też to stwierdza, ale chce podporządkować sobie ten obszar. Stoimy także jeszcze przed innym wyzwaniem – do legislacji włączono również TSUE, który domaga się od nas, aby wszystkie działania związane z gospodarką leśną były zaskarżane do sądu administracyjnego. To doprowadziłoby do tego, że organizacje pozarządowe mogłyby sparaliżować działania gospodarcze Lasów Państwowych. Trudno z tym dotrzeć do opinii publicznej, bo nie są to proste tematy. Próbuje się też dezawuować działania Lasów Państwowych, które już od 100 lat dbają o drzewostan w Polsce – mówił Edward Siarka.

ZWIĄZEK SOCIALISTYCZNYCH REPUBLIK EUROPEJSKICH

Publicysta „Do Rzeczy” Rafał A. Ziemiakiewicz przyznał, że jest optymistą, jeśli chodzi o finalny efekt procesu zmiany unijnych traktatów. Dlaczego? – Urzęd-

■ nicy unijni dysponują 1 proc. PKB wytwarzanego w Europie i nie dysponują żadnymi siłami policyjnymi, które mogłyby okiełznać wolę państw europejskich, więc wątpię, by doprowadzili do trwałych zmian, o których sobie roją. Były szef PE Martin Schulz mówił kiedyś o budowie Stanów Zjednoczonych Europy, choć bardziej pasuje Związek Socjalistycznych Republik Europejskich. Jednym z czynników tego procesu są problemy na poziomie krajowym i UE. Skoro zawodzi konstrukcja, która z powodów ideologicznych musi być uznawana za doskonałą, to trzeba znaleźć jakieś wytłumaczenie, dlaczego nie funkcjonuje. Wytłumaczenia na ogół są dwa: albo popełniliśmy błędy, albo w niewystarczający sposób wprowadziliśmy nasze rozwiązania. Podobnie jak kiedyś Związek Sowiecki ciągle mówił, że jest za mało socjalizmu, tak teraz UE powtarza, że trzeba nam jeszcze więcej integracji – wyliczał.

Rafał A. Ziemkiewicz zwrócił także uwagę na inny aspekt tego zagadnienia, przez który roszczenia Komisji Europejskiej są bardzo dalekie. – Ze względu na naszą historię, rozbiory, a także mentalność służenia obcym dworom pewne rzeczy mają miejsce. Paweł Wroński z „Gazety Wyborczej” na poważnie twierdził, że woli, by rządziła nami Bruksela niż Mateusz Morawiecki. Równolegle stworzono mit, że rządy europejskie są lepsze i fachowe. Polskie lasy to wielki skarbiec, z którego można czerpać ogromne bogactwa. W tej konstrukcji zarządu europejskiego nad dobrami państw nie istnieje przecież żadna odpowiedzialność za decyzje. Wystarczy przypomnieć sytuację z zakupem szczepionek na koronawirusa przez szefową Komisji Europejskiej, która odmówiła stawienia się przed komisją, która miała wyjaśnić sprawę. Wyobraźmy sobie, że polskimi zasobami zarządzają ludzie, którzy nie są Polakami, nie interesuje ich dobro naszego kraju, a prawdopodobnie zostali wstawieni przez lobbystów na dane stanowisko. Dopóki rządzą tym Polacy, dopóty przynajmniej teoretycznie możemy ich rozliczyć, gdyby były jakieś nieprawidłowości. Przejście pod nadzór Brukseli oznaczałoby oddanie władzy przekręciarzom, których nikt nie wybiera. Mam wrażenie, że tej świadomości w Polsce brakuje. Tworzy się mit,

że oddanie się pod zarząd europejski przyniesie lepszą jakość dla naszego dobra. Nie ma to nic wspólnego z rzeczywistością – dodawał publicysta.

OBRONIĆ LASY

Z kolei Michał Gzowski, pełnomocnik inicjatywy ustawodawczej „W obronie polskich lasów”, zauważył, że kraje, które dominują w Unii Europejskiej, muszą gdzieś zbywać swój surowiec drzewny. – W ten sposób próbują atakować Lasy Państwowe, wyłączyć grunty z produkcji i przenieść kompetencje na rzecz UE. W ciągu tygodnia zebraliśmy ponad 500 tys. podpisów w obronie polskich lasów, a dziś to już blisko milion. Widzieliśmy ogromne poruszenie ludzi, którzy żyją z leśnikami. Po co to robiliśmy? Po to, by chronić to dobro narodowe przed odebraniem ich leśnikom, którzy mają ogromną wiedzę i doświadczenie. Kiedy polscy leśnicy przestaną zarządzać lasami, dojdzie do sytuacji jak z Puszczą Białowieską – mówił.

Zdaniem Gzowskiego absolutnie nie możemy realizować polityki unijnej „pod linijkę”. – Każdy kraj ma swój mikroklimat i swoją specyfikę. W Niemczech obecnie cztery drzewa na pięć są chore lub martwe. Potwierdziła to nawet minister środowiska z Zielonych, choć wydawało się, że nie przejdzie jej to przez gardło. Wbrew temu, co próbują wmówić Polakom politycy opozycji i sprzyjający im dziennikarze, polskie lasy mają się w Polsce dobrze. Nasze lasy nieustannie przyrastają, a powierzchnia lasów ciągle się zwiększa. Leśnicy robią wszystko, by minimalizować ewentualne straty. Kiedy doszłoby do sytuacji, w której polskie lasy byłyby utracone, to stracilibyśmy dobro narodowe. Nieodżałowany prof. Szyszko, który bronił polskich lasów, także przed prywatyzacją, powtarzał nieustannie, że lasy to nasze ogromne dobro – mówił.

Gzowski podkreślił zarazem, że mamy obowiązek obrony lasów dla kolejnych pokoleń. – To prawie 30 proc. naszego kraju. Jeśli oddamy je europejskim eurokratom, to de facto oddamy im polską suwerenność. Polskie lasy muszą być w zarządzie polskich leśników. Inaczej będą oni musieli wykonywać szalone pomysły z Brukseli. Nie będą się liczyły wiedza i doświadczenie, ale emocjonalne

twierdzenia oparte na dialogu z lobbystami czy pseudoekologami – dodawał.

OD NASIONA DO DRZEWA

Z kolei dr inż. Paweł Szymański, nadleśniczy Nadleśnictwa Jabłonna, opowiadał o sukcesie polskiego modelu gospodarki leśnej. – W przyszłym roku Lasy Państwowe będą obchodzić swoje stulecie. To unikat na skalę Europy. Wszyscy biorą z nas przykład, ale to się nie bierze znikąd. Nie dość, że w Lasach Państwowych pracują fachowcy, to dodatkowo mamy bardzo dobre uczelnie i kadry. Nasi leśnicy doskonale wiedzą, jak gospodarować tymi zasobami, które mamy. Prowadzą je w sposób efektywny i ekologiczny. To leśnicy są najbliżej przyrody i dbają o jej klimat – mówił. Jak dodał, Polska jest podzielona na krainy geograficzne. – Mamy różne siedliska, drzewostan. Leśnicy wiedzą, co dzieje się na danym terenie i jak reagować na różne zmiany. Ciężko mi sobie wyobrazić, jak sprowadzić cały kraj i gospodarkę do jednego mianownika. Lasy to twór żywy i unikalny. Trzeba wiedzieć, co się dzieje w danym miejscu. Mamy badania naukowe, które pokazują, że tam, gdzie są prace gospodarcze, tam tętni życie. Jeżeli zaprzestaniemy niektórych czynności, to wpłynę to negatywnie na nasze lasy – wymieniał.

Nadleśniczy podkreślił, że główną misją leśników jest to, by zachować ciągłość lasów. – Zaczynamy już od nasion i dbamy o to, by były odpowiednio przechowywane. Przeznaczamy je do wzrostu drzew. Mamy też wiele szkółek kontenerowych, czyli takich „przedszkoli”. Później takie drzewa sadzimy i dbamy o las, realizując długoterminowe plany. Dbamy o różnorodność gatunkową, przyrodniczą. Nieustannie doglądamy, co trzeba zrobić w lasach. Pamiętajmy też, że lasy wzrastając, pochłaniają dwutlenek węgla. Jeżeli nic nie robimy z drzewami, to w pewnym momencie będą emitować ten dwutlenek węgla. Innymi słowy, leśnicy dbają o lasy od małego nasionka do jego pozyskania – podkreślił.

Uczestnicy debaty „Zmiana unijnych traktatów a polskie lasy” zgodzili się, że zaproponowane przez Parlament Europejski zmiany niosą ze sobą realne zagrożenia dla polskiej suwerenności oraz polskich lasów. Goście byli zgodni również w tym, że należy przed tym przestrzegać opinii publicznej. Cały zapis debaty dostępny jest na naszym profilu w serwisie YouTube.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Po co Polsce giełda?

Do niedawna – za rządów PiS – wydawało się, że po co Polsce giełda – Giełda Papierów Wartościowych, skoro docelowo (a na to się zanosilo) żadnych wielkich prywatnych polskich firm miało u nas nie być, a to przecież właśnie im potrzebna jest giełda – do pozyskiwania na swój rozwój kapitału inwestorów.

Choćby bowiem nie wiem kto i jak mocno zaprzeczał, gołym okiem było widać, że zmierzaliśmy w stronę kapitalizmu państwowego, a to oznaczało, że prędzej czy później większość z największych firm należałaby u nas do państwa (czyli, w jakimś sensie, do rządzących polityków).

A w przypadku takich firm państwo, starając się dla nich o pieniądze na inwestycje, nie musi się już uciekać do żmudnego zabiegania o pieniądze obywateli na giełdzie; może je im po prostu zabrać, opodatkowując ich jeszcze bardziej.

Dlatego żadna giełda państwu, czyli rządzącym nim politykom, w istocie nie byłaby już do niczego potrzebna, tym bardziej że liczba prywatnych inwestorów, pragnących inwestować swe ciężko zarobione pieniądze w państwowe firmy, i tak malała. Co jest tym bardziej zrozumiałe, gdy staje się jasne, że po prostu nie da się nie stracić (nie wspominając o zarabianiu) na inwestycji w firmę, która w coraz mniejszym stopniu może kierować się własnym interesem i rachunkiem ekonomicznym, a w coraz większym stopniu

musi – całkowicie nieprzewidywalnym interesem politycznych nadzorców i ich rachunkiem politycznym.

Zgodnie z tą tendencją w ostatnich latach liczba obecnych na GPW prawdziwych firm – czyli prywatnych, a nie udających je państwowych mastodontów – drastycznie się skurczyła. W ciągu siedmiu lat GPW opuściło prawie 80 spółek, a kolejnych 16 się do tego szykuje. I nie słyhać o nowych wielkich debiutach, które mogłyby wypełnić tę szybko powiększającą się lukę.

Ale też jakoś na razie nie słyhać zapowiedzi, że nowy rząd Tuska faktycznie, a nie tylko deklaratywnie, nie będzie – tak jak rząd Morawieckiego – traktować wolnej gospodarki prywatnej niczym piątego koła u wozu. I nie zamierza zatrzymać tysięcy posad w państwowych spółkach dla swoich „tłustych kotów”, lecz zmierza do ich sprywatyzowania.

A obcesowość, z jaką nowa koalicja już zdążyła potraktować Orlen, zmuszając go do przeznaczenia w 2024 r. ze swego zysku 15 mld zł na dalsze zamrożenie w Polsce cen energii, gazu i ciepła, jest fatalną zapowiedzią kontynuowania przez Tuska polityki Morawieckiego. Albowiem czym innym jest jakże potrzebne odpaństwowienie Orlenu i rozbicie jego monopolu przez na powrót podzielenie go na konkurujące ze sobą firmy (oraz wydzielenie PGNiG), a czym innym tak bezceremonialne oskubywanie go. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Ukraińska porażka Bidena

Najpierw rzucił mi się w oczy nagłówek w typowym internetowym stylu: „Biden: Jeśli Putin skończy z Ukrainą, pójdzie dalej”. Zdziwiłem się i nawet pomyślałem przez chwilę, że to jakaś stara informacja, co najmniej sprzed roku, która w wyniku pomyłki znalazła się ponownie na głównej stronie portalu. Ale nie: data była aktualna. Słowa amerykańskiego prezydenta odnosiły się zaś do kosza, który w Senacie dostał przygotowany przez

zawaliła, ani nawet specjalnie nie osłabła. Putin zaś ma się znakomicie, a w Arabii Saudyjskiej był dopiero co witany z największymi honorami, z konną eskortą wyposażoną w rosyjskie flagi włącznie. I to by było tyle, gdy idzie o opowieści z mchu i paproci o izolacji Moskwy na świecie czy rychłym zatrzymaniu rosyjskiego prezydenta za granicą na podstawie listu gończego wydanego przez Międzynarodowy Trybunał Karny.

Wszystko to uderza potężnie w Joe Bidena, który w Ukrainę oraz konkretnie we Wołodymyra Zełenskigo zainwestował politycznie bardzo dużo. Republikanie, mający w Senacie większość, którzy jak jeden mąż zagłosowali przeciwko pakietowi pomocy, nie mają żadnego interesu w tym, żeby Bidenowi niespełna rok przed wyborami prezydenckimi ułatwiać sprawę i doposażać Ukrainę. Mają zresztą również mocne merytoryczne podstawy, aby uznać, że byłoby to po prostu marnowanie środków, bo mimo kolejnych zastrzyków sprzętu i pieniędzy Kijów ugrzązł, a popularność prezydenta Zełenskigo leci na łeb na szyję.

Pora przyznać rację realistom: jedynym sposobem na „pokonanie” Rosji w tej wojnie byłoby włączenie się do niej NATO. A tego nikt nie chce i nikt nie powinien sobie życzyć. Pozostaje zatem dyplomacja. Im szybciej, tym lepiej. ©

Jedynym sposobem na „pokonanie” Rosji w tej wojnie byłoby włączenie się do niej NATO

administrację demokratów pakiet pomocy dla Ukrainy. Nowych argumentów Joe Biden nie miał, więc odgrzął starą śpiewkę, która nawet nad Wisłą wywołuje już tylko ziewanie, o mieście nad Potomakiem nie mówiąc.

Nic się przecież zasadniczo na ukraińskim froncie nie zmieniło. Tyle że zawaliły się kompletnie wszystkie wygłaszane z butą i pewnością siebie twierdzenia ukraińców. Ani bowiem Ukraina nie odbiła wszystkich swoich terytoriów, ani Rosja się nie

Salon meblowy Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa
Handlu Meblami w Poznaniu, 1970 r. FOT. NAC



Futerał, czyli dom polski

Rodzina robotnika z FSO na Żeraniu mieszkała na tak małej przestrzeni, że dzieciom ścielono na stole lub krzesłach, z których notorycznie spadały. »Życie Warszawy« radziło, jak zaimprowowować łóżeczko dla dziecka przy braku odpowiedniego mebla. »Dwa krzesła odwrócone siedzeniami do siebie, umocnione sznurem, jedno prześcieradło owinięte na krzesłach i zawiązane po bokach na węzły [...]. Jeszcze tylko złożony koc, który służył za materac i można położyć Piotrusia«.

W rubryce »Nasz dom« tygodnika »Przekrój« pani Donata Majewska z Pabianic instruowała: »jeśli nie mamy łazienki, zamontować wannę pod stołem kuchennym [...]. Nad wanną umieszczamy stół zbudowany na wzór kłapy [...]. »Moda i Życie«, stwierdzając bez emocji, że w starych miejskich domach po prostu najczęściej nie ma łazienki, także publikowała garść rad: »umywalnia zaaran-



Joanna Bojańczyk

Zmieniały się czasy, przywódcy polityczni, przybywało domów, ludzi, ale niedostatek mieszkań i niedostatek materialny, w którym żyły polskie rodziny, trwa przez kolejne dekady PRL. O tym jest „Futerał”, świetna książka Agaty Szydłowskiej

żowana w pokoju lub kuchni powinna być oddzielona od reszty parawanikiem, a ściana, przy której stoi, zabezpieczona kawałkiem ceraty...«.

To było dawno i nieprawda, chciałoby się powiedzieć, ale nie, to działo się w Polsce lat 50. I nie skończyło się wcale razem ze stalinizmem. Zmieniały się czasy, przywódcy polityczni, zmieniała się Polska, przybywało domów, ludzi, ale niedostatek mieszkań i niedostatek materialny, w którym żyły polskie rodzi-

ny, trwał przez kolejne dekady. Inny za Bieruta, inny za Gomułki, inny za Gierka i Jaruzelskiego. Ale w końcu bieda jest zawsze taka sama.

Dla swojej fascynującej książki „Futerał. O urządzaniu mieszkań w PRL-u” Agata Szydłowska wykonała tytaniczną pracę dokumentacyjną. Są tu setki listów, ankiet, tekstów prasowych, książek, są rysunki, anegdoty, piosenki. To wszystko napisane z nadzwyczajną lekkością pióra, bez dętego żargonu, którym czasem

zameczają czytelników historycy sztuki, jakby bez wysiłku. Podejście naukowe, spojrzenie osobiste. To idący w głąb psychologiczny i socjologiczny portret polskiej rodziny uchwyconej w jej najbardziej intymnym, prywatnym, najbardziej szczerym aspekcie życia.

„M4 i meblościanka, o tym jest ta książka?” – spytała znajoma, kiedy chwaliłam książkę Szydłowskiej. O nie, tu jest dużo, dużo więcej. I dopiero z tych opowieści o mieszkaniach, o meblach, o trudnościach w zaopatrzeniu, o problemach rodzinnych wyłania się prawdziwy obraz Polski. Tylko trzeba umieć to zrobić.

A tu są wiedza, lekkość, ironia, spojrzenie z dystansu. Autorka, historyczka designu, doktor etnologii (nie dokopałam się do daty urodzenia, ale sądząc ze zdjęcia: 30+), ma już spory dorobek naukowy, mniej ujęła parę lat temu błyskotliwą książką pt. „Paryż domowym sposobem”.

Futerał. Cóż to takiego? Zanim czytelnik znajdzie wytłumaczenie w książce, można się domyślić. To mieszkanie, podstawowa potrzeba człowieka. Miejsce, gdzie można się schronić przed rzeczywistością. Otulić, otorbić rodziną. W każdej sytuacji, w każdym systemie politycznym.

KLUCZ W DRZWIACH

Paradoksalnie najwięcej powodów do schronienia dostarczały czasy, w których mieszkanie było największym deficytem. Po tużpowojennych migracjach setki tysięcy ludzi zmieniały miejsca zamieszkania. Jednych wysiedlano, inni się osiedlali. Wiesz ruszała na miasto, nie bardzo wiedząc, z czym to się je, i zaludniała ocalałe lub opuszczone mieszkania. Obrazki królików trzymanyh w wannie, z krową w bloku się zdarzały, ale nie w skali, którą im przypisywano. Jednak faktem jest, że ludzie przybyli z nędznych warunków nie bardzo umieli odnaleźć się w nowej, miejskiej rzeczywistości.

Ziemie tzw. odzyskane władza przedstawiała jako krainę miodem i mlekiem płynącą, raj dla pionierów. Tysiące wygnańców z Wilna, ze Lwowa, z Ukrainy przywiezione do tego raju ze swoimi ubogimi tobołkami zastawały tam „domy i mieszkania” niemieckie, zostawione we wzorowym porządku, z umyтыми naczyniami i kluczem karnie tkwiącym w drzwiach – koniecznie od zewnątrz zgodnie z rozkazem rządu polskiego

To było dawno i nieprawda, chciałoby się powiedzieć, ale nie, to działo się w Polsce lat 50. I nie skończyło się wcale razem ze stalinizmem

z 14 lipca 1945 r. [...], we wspomnieniach niedawna obecność poprzedników zapisze się w obrazie talerzy z jeszcze ciepłą zupą”.

To dzieje się we Wrocławiu, w Szczecinie, w Jeleniej Górze, w Gdańsku, w tysiącach miasteczek i wsi zachodniej Polski. Nawet jeśli nie ma ciepłej zupy, to są szyby w oknach, woda w kranie i klozet. Przybysze ze wsi na Wołyniu pierwszy raz w życiu widzieli odkurzacza i nie wiedzieli, do czego służy. „Cóż to była za przyjemność pociągnąć sobie za porcelanową rączkę na mosiężnym łańcuszku, na której widniało małe błękitne kołeczko z napisem »Langfuhr«” – zwierzał się jeden z nowych osiedleńców.

Szaber kwitnie. Ziemie Zachodnie, będąc stacją docelową dla wygnańców z Kresów, stają się także łowiskiem dla handlarzy z całej Polski. Poszukują tam sprzętów, których przemysł nie zdążył jeszcze wyprodukować, co zaradniejsi pielgrzymują po antyki.

Mieszkania i domy zajmowano przypadkowo. Kto coś znalazł, zostawiał kartkę, że zamieszkane. W jednych nie było mebli, więc taszczono z tych, gdzie coś udało się znaleźć.

Lata 50. – czas względnej stabilizacji, intensywnej odbudowy, a od przełomu lat 40. i 50. – najostrzejszej propagandy. Na celowniku władzy są nie tylko odbudowa kraju, lecz także gruntowna przebudowa umysłów. Ma powstać nowy człowiek, socjalistyczny. Jego główną aktywnością jest praca dla kolektywu i dobra socjalistycznej ojczyzny. Mieszkanie ma być dla niego krótkim przystankiem, z łóżkiem do przespania. To samo dla kobiety działaczki. Jadać należy w stołówkach, prać w pralniach, gotować w publicznie dostępnych kuchniach, łazienkę też można dzielić z sąsiadami.

Trwają zmagania o znalezienie kąta do życia, a potem mozolne wysiłki, by ten kąt jako tako urządzić. Rodziny, rozdzielone brakiem dachu nad głową, będą mogły powstać dopiero wtedy, gdy znajdzie się choć jeden osobny pokój. Wędrowną kochanków poszukujących jakiegokolwiek schronienia przedstawił Marek Hłasko, potem na ekran przeniósł ją Aleksander Ford w filmie „Ósmy dzień tygodnia”.

Siedem osób w jednym pokoju, dzieci śpiące po kilkoro w jednym łóżku, wspólna kuchnia i łazienka, przepierzenie kotarą lub szafą z sąsiadem – to normalka tamtego czasu. Ale wiele z tych prowizorek, jak to prowizorki, przetrwa. Niektóre aż do lat 70.

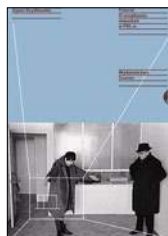
Tylko do nielicznych swoich obywateli – przodowników pracy czy zasłużonych działaczy partyjnych – państwo wyciąga pomocną dłoń. Wraczenie kluczy do nowego mieszkania na MDM to ulubiony obrazek triumfalistycznej kroniki filmowej tamtego czasu.

NIECHCIANA NOWOCZESNOŚĆ

Po odwilży sprawy nabierają innego kierunku. Wprawdzie mieszkać nadal dramatycznie brakuje, ale przed państwem stoi nowe zadanie, równie poważne jak zapewnienie dachu nad głową.

Teraz chodzi o sprawy ideowe, ale lżejszego kalibru. Priorytetem staje się już nie przerobienie człowieka na model lojalnego obywatela socjalistycznego kraju, ale skłonienie go do zerwania z mieszczańską, przedwojenną mentalnością. Władza dąży do sformatowania nowoczesnego obywatela, który ma

myśleć nowoczesnie i mieszkać w funkcjonalnie urządzonym mieszkaniu. Akcję edukacyjną należy zaprogramować w skali państwowej, działając ogólnie. Instytut Budownictwa Mieszkaniowego, instytucja państwowa, przeprowadza badania, które mają wesprzeć projektantów i służyć korygowaniu niedobrych przyzwyczajęń i praktyk. Precz z przytulnością, starocie po babci mają trafić na strych (jeśli kto ma), precz z tapicerskimi tapczanami, trzydrzwowymi szafami, makatkami, kryształami w serwantce. Na



AGATA SZYDŁOWSKA „FUTERAŁ. O URZĄDZANIU MIESZKAŃ W PRL-U” CZARNE 2023

banicję zostaje skazany główny aktor mieszkań lat 50. i 60.: okrągły stół na grubych nogach przykryty koronkową serwetą.

I tu trafiła kosa na kamień: zmuszenie ludzi do porzucenia upodobań i gustów, które nabyli w rodzinie i czerpali z tradycji, okazuje się trudniejsze niż postawienie bloku mieszkalnego. Na nic wystawy, pogadanki, które mają uczyć właściwych wzorców. Poradnia Mieszkaniowa Człowieka Pracy, która powstaje w centralnym punkcie Warszawy, na placu Trzech Krzyży, ma pomagać w doborzaniu i aranżowaniu mebli, z uwzględnieniem gustów i upodobań klientów. Ale zainteresowania brak. „Siedzieliśmy tam z kolegą przez trzy miesiące, nikt się do nas nie zgłosił” – ubolewał projektant Olgierd Szlekys.

MEBŁOŚCIANKA I JEJ RODZINA

Jak skończył się heroiczny wysiłek przebudowywania mentalności i wprowadzania nowoczesności pod strzechy? Rzeczywistość okazała się jak zwykle zupełnie inna niż wszystkie przewidywania. „Ale choć nie wszędzie pozbyto się wszystkiego, co stare, to zwyciężcą programu modernizacyjnego okazał się mebel, który odtąd na zawsze miał zostać symbolem peerelowskiego mieszkania”.

Mebłościanka – ktoż jej nie miał? Ktoż jej nadal nie ma? „Pośród mebli zrodzonych w tym świetnym okresie wzornictwa przemysłowego na początku lat 60. nieprawdopodobną karierę zrobiły meble przyściennne, tzw. meblościanki. Otworzyły one jakby nową erę w dziedzinie wnętrzarstwa polskiego [...], zrodziły się z ducha jak najbardziej racjonalnego i były doskonałym pomysłem”. Ale prosta i funkcjonalna meblościanka Kowalskich, która stała u narodzin tego mebla, z biegiem lat rozrosła się, stając się meblem gigantem. Rozpanoszyła się kosztem sprzętów, które są niezbędne w mieszkaniu, a które już się tam nie mieszczą. Zjadła prawdziwy stół, którego we współczesnych mieszkaniach na ogół brak.

Po wymarzone „koperniki”, „gdański”, „łódzie” stało się przed sklepami meblowymi, podpisywało listy obecności, dawało łapówki, szukało znajomości. Ale



Wystawa zmechanizowanego sprzętu gospodarstwa domowego firmy Predom oraz mebli i tkanin przy ul. Maklakiewicza w Warszawie, 1971 r. FOT. NAC

niekoniecznie były to meble nowoczesne, lekkie, jakimi chcieli je widzieć projektanci. Już wtedy obrastały w gzymsiki, ozdobne szybki, frezy i żłobienia. Potrzeba indywidualizacji zwyciężyła standardowy funkcjonalizm. I tu już jesteśmy w latach 70.

MARZENIE O KUCHNI

„Choćby Chruszczow nie wiadomo jak przekonywał, że komunizm jest projektem na przyszłość, spodziewano się, że dostęp do pralek może okazać się argumentem silniejszym niż jakakolwiek opowieść o ziemi obiecanej, którą trzeba budować kosztem obecnych wyrzeczeń” – pisze Agata Szydłowska.

Na poziomie zwykłego obywatela postęp technologiczny dużo bardziej niż atom i sztuczny satelita uosabiała kuchnia. W amerykańskich filmach można było oglądać wielkie kuchnie, a w nich modnie ubrane gospodynie domowe używające mikserów i z radością odkurzające podłogę elektrołuksami.

Kuchnie w polskich blokach są wprawdzie małe, ale po gierkowskim otwarciu sprzęt AGD powoli zaczyna wkraczać do polskich domów.

Tu wątek osobisty; w latach 70. staliśmy przed sklepem dwa dni na zmianę ze znajomymi, żeby kupić automatyczną pralkę Polar. Kosztowała 10 tys. (średnia pensja w roku 1973 – 2,8 tys. zł) i była najnowszą zdobyczą techniki. Za kredyt młodych małżeństw kupiliśmy także odkurzacz Zelmer i maszynę do pisania Łucznik. Jak wielu polskich inteligentów tamtego czasu przeszliśmy przez etap ikeowskich kontików, odrzutów z eks-

portu IKE-i. Siedziało się w nich wygodnie, ale wstać bez pomocnej ręki było nie sposób. Mieliśmy szczęście, bo „dostaliśmy” – jak się wtedy mówiło – mieszkanie spółdzielcze na nowym osiedlu.

Nie wszyscy mieli tak dobrze. Ale nawet najsłabsze warunki traktowano jako część rzeczywistości, nie narzekano. Ludzie wciąż mieli w pamięci obraz biedy po wojnie lub zaraz po niej, a także nędzy na wsi, z której wielu się wyprowadziło.

„Wszyscy nawykli do niedostatku, który był tak powszechny, że stawał się normą. Zauważano nędzę i głód, ale nie codzienną biedę: brak łazienek, rozchylone schody, niedziałające spłuczki w klozecie” – pisze Agata Szydłowska.

Mimo że w Polsce w latach 1950–1990 wybudowano ok. 7 mln lokali, problemu mieszkaniowego nie udało się rozwiązać. W latach 80. system ulegał powolnemu rozkładowi. Kredyty Gierka się skończyły, gospodarka nie dawała rady związać końca z końcem. Nawet ci, którzy tego nie przeżyli, znają rzeczywistość z filmów Barei, z serialu „Alternatywy 4”. Dziś wydaje się to może zabawne, ale wtedy życie codzienne było udręką. Zdobycie podstawowych artykułów spożywczych i przemysłowych urastało do problemu egzystencjalnego. Dla co zaradniejszych to moszczenie się w nowych, lepszych warunkach mieszkaniowych. Prywatna inicjatywa, aparaczczy, ciesząc się względami władzy twórcy mogli pozwolić sobie na ówczesną rodzimą wersję luksusu: wille, boazerie, salony z monstrualnymi kanapami i kolorowym telewizorem, włoską glazurę. Dziś to wszystko wydaje się żałosną namiastką i nadrabianiem kompleksów. Inteligencja krzywe ściany markowała suchymi bukietami i tapetami udającymi drewno.

Te czasy mamy szczęśliwie za sobą, ale to, co powstało w poprzednim ustroju, przetrwało w wielu domach. Jak się czują w nowych okolicznościach zohydowane kiedyś stare meble, kredensy, serwantki?

Trzydzieści lat nowej rzeczywistości czeka na kolejną książkę Agaty Szydłowskiej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



DZIENNIKARSKI POKER

od **poniedziałku**
do **czwartku**
18:25

Jeden z najważniejszych wieczornych programów publicystycznych Telewizji Republika. **Łukasz Jankowski, Adrian Stankowski, Piotr Lisiewicz i Tomasz Sakiewicz** wraz z zaproszonymi do studia politykami, ekspertami i historykami omawiają najważniejsze wydarzenia i najbardziej istotne dla Polski i Polaków tematy.



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 9b7ea0ed38



SKODA ENYAQ COUPÉ MAXX 80

Samochody elektryczne latem mają mnóstwo zalet: ciche, błyskawicznie przyspieszają i są w miarę tanie w eksploatacji. Zimą przychodzi dla nich jednak o wiele trudniejszy czas. Właśnie dlatego w grudniu wzięliśmy na warsztat elektryczną Skodę Enyaq, aby sprawdzić, jak przebojowy model czeskiego producenta radzi sobie w minusowych temperaturach i na zaśnieżonych trasach.

Sukces sprzedażowy tego modelu można wytłumaczyć choćby tym, że to jedna z najładniejszych propozycji czeskiego producenta. Wersja Coupé to zaś najbardziej seksowna odmiana, z agresywnie narysowaną linią nadwozia.

W testowanej wersji do dyspozycji są zelektryfikowane 204 KM. Napędzanemu na tylną oś

Enyaqowi w żadnej sytuacji nie brakuje dynamiki. Auto od zera do 50 km/h przyspiesza w nieco ponad 3 s. A od 0 do 100 km/h w 8,7 s. Prędkość maksymalna wynosi 160 km/h. Auto wyposażone jest w adaptacyjne zawieszenie, które zapewnia przyjemny komfort podróżowania nawet podczas pokonywania nierówności. Jednocześnie wciąż daje dużo frajdy z jazdy (choć opisywana w sierpniu w „DRz” nr 33/2023 wersja RS to jeszcze szybsza i jeszcze fajniejsza zabawka).

Teoretyczny zasięg to 552 km. Realny zasięg maksymalny testowanego modelu w letnich miesiącach w mieście, na trasie i na trasach ekspresowych wynosi nieco ok. 500 km. Podczas zimowego testu zmniejszył się on do ok. 400 km. Najniższe średnie spalanie, które udało mi się

uzyskać przy minusowych temperaturach, to 19,8 kWh/100 km (od razu uprzedzam pytania: nie, nie musiałem w tym celu wyłączyć świateł, klimatyzacji ani wycieraczek). Licząc po stawce 2,95 zł/1 kWh, przejechanie 100 km zimą kosztuje ok. 60 zł. Nie jest więc źle, zwłaszcza że w abonamencie cena ładowania jest jednak niższa. Używając „elektryka” zimą, warto jednak zwrócić uwagę nie tylko na same auto, lecz także na wciąż stosunkowo rzadko rozmieszczone ładowarki, z których część przy srogich mrozach może czasem odmówić współpracy. Dlatego gdy temperatura spadnie poniżej zera, najpewniej jest ładować samochód np. w garażach podziemnych centrów handlowych. Przy mocy ładowania 64 kW zwiększenie zasięgu ze 107 km do 372 km zajęło 50 minut.

Wróćmy jednak do samego Enyaqa. Przestronne wnętrze jest dobrze wykończony i ergonomicznie zaprojektowany. Sercem kabiny jest zaś 13-calowy wyświetlacz dotykowy, którego jakość jest naprawdę bardzo dobra. Bardzo wygodne są też fotele. Podczas jazdy zimą przez pokryte śniegiem szpalery drzew pasażerowie docenią również panoramiczny szklany dach (w standardzie w wersji Coupé). Wrażenie robi też duży bagażnik o pojemności 570 l, który po złożeniu tylnej kanapy można powiększyć do 1610 l. Kierowca może też oczywiście liczyć na komplet nowoczesnych technologii zwiększających bezpieczeństwo jazdy.

Cena: 299 500 zł. ☹☹

PROJEKTOR SAMSUNG FREESTYLE 2GEN

Kompaktowy rozmiar, dopracowany, praktyczny design, świetny system autokorekty oraz banalnie prosta obsługa – to największe zalety praktycznego projektora drugiej generacji południowokoreańskiej firmy Samsung.

Wymagające, a jednocześnie racjonalne podejście pokolenia Z wymusza zmiany nie tylko na starych szefach, którym ciągle się wydaje, że to oni robią łaskę, że dają komuś pracę, lecz także na konstruktorach wszelakich urządzeń. Samsung Freestyle to projektor, którego można używać w biurze lub w domowym salonie, ale który swobodnie można też wziąć ze sobą na weekend do hotelu, do kampera lub nawet pod namiot (w cieplejszych od Polski krajach). Model w 2022 r. był swego rodzaju eksperymentem, ale zapewne sprzedażowo udanym, skoro Samsung przygotował jego drugą edycję.

Na pierwszy rzut oka najnowsza odsłona wygląda... praktycznie identycznie jak ta pierwsza. Nadal jest to niewielka biała tuba, którą można ustawiać pod dowolnym kątem, aby rzucać obraz na ścianę, sufit etc. Urządzenie może być zasilane tradycyjnie z gniazdka lub z powerbanku.



Rozdzielczość obrazu we Freestyle 2Gen to co prawda nadal tylko Full HD (1080 p), ale automatyczne ustawianie ostrości działa po prostu rewelacyjnie, kolory są żywe, a sam obraz bardzo przyjemny w odbiorze. Mocno przyciąga uwagę nie tylko do czerni, bo jest nieco szarawa, i w tej kategorii obraz z testowanego projektora znacząco rzeczywście odbiega od tego, do czego przyzwyczaili nas dobre telewizory. Przewagą Freestyle'a drugiej generacji jest to, że wystarczy odsunąć urządzenie o niecałe trzy metry od ściany i można oglądać treści na ekranie o przekątnej nawet 100 cali.

Kolejne pluse to prostota obsługi oraz dostęp do rozbudowanej platformy Tizen. Konfiguracja jest bajecznie prosta i szybka. Po niej zaś wystarczy wziąć pilota do ręki i już można wybierać np. między różnymi serwisami VOD. Dobrze, że nowa generacja Freestyle'a ma już gniazdo micro HDMI z ARC, bo wreszcie można do niego podpiąć porządną soundbar. Muszę jednocześnie przyznać, że głośniczki wbudowane w tak małych rozmiarów projektor grają zaskakująco przyzwoicie. Projektor można wykorzystywać nie tylko do oglądania meczów, filmów czy seriali, lecz także do gier.

Wady? Po pierwsze, maksymalna jasność obrazu jest zbyt mała, by oglądać coś z przyjemnością przed zapadnięciem zmroku/zasłonięciem okien. Drugi minus to cena. Za Freestyle drugiej generacji trzeba zapłacić ok. 2,7 tys. zł. ☹☹

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKIEGO



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Śluby we lwowskiej katedrze

Katedra Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny historię ma równie dramatyczną jak samo miasto. Budowana od końca XIV w., ukończona – jak podają niektóre przewodniki – dopiero ok. 1480 r., pod kierownictwem sprowadzonych z Rzeszy architektów – Piotra Stechera, Joachima Groma i Ambrożego Rabisza.

Jako jedna z nielicznych budowli przetrwała pożar miasta w 1523 r. Przebudowana poważnie w latach 1771–1775 przez abp. Wacława Sierakowskiego, który wyburzył wiele starych grobowców i ołtarzy, dziś stanowi przykład późnobarokowej architektury kościelnej. Jej najciekawszą częścią są do dziś kaplice: Jezusa Miłosiernego, Matki Boskiej Częstochowskiej ufundowana przez komendanta miasta Pawła Grodzickiego, Ukrzyżowania, Zamoyskich, Buczackich, Najświętszego Sakramentu,

Matki Boskiej, Kampianów. I jedna z najpiękniejszych, chociaż znajdująca się poza świątynią – kaplica Boimów.

Wspaniały jest także obraz Matki Bożej Łaskawej – Ślicznej Gwiazdy miasta

Lwowa, który od XVIII w. znajduje się na ołtarzu głównym. W 1651 r. modlił się przed tym obrazem król Jan Kazimierz, dziękując za zwycięstwo pod Beresteczkiem nad Kozakami i Tatarami. 1 kwietnia 1656 r. król, który przedarł się ze Śląska do Lwowa przez kraj ogarnięty szwedzkim potopem, ponoć sam osobiście przeniósł obraz do katedry. A potem, w trakcie mszy odprawianej przez nuncjusza pa-



FOT. DOMENA PUBLICZNA

pieskiego Vidoniego, ukląkł przed ołtarzem, kiedy nadeszło podniesienie. Jan Kazimierz złożył przed obrazem słynne „śluby lwowskie”. Uczynił to – jak podaje Zbigniew Wójcik – nie sam, ale z grupą senatorów. Król uroczyste obrał za patronkę Najświętszą Pannę, oddał jej w obronę lud i wojska Rzeczypospolitej. Następnie, doceniając zasługi chłopów w walce ze Szwedami, wypowiedział słowa, które do dziś wywołują kontrowersje wśród historyków:

„A że z wielkim żalem serca mego uznaję, dla jęczenia w presji ubożego pospółstwa oraczów, przez żołnierstwo uciemiężonego, od Boga mego sprawiedliwą karę przez siedem lat w królestwie moim różnymi plagami trapiącą nad wszystkich ponoszę – mówić – obowiązuję się, iż po uczynionym pokoju starać się będę ze stanami Rzeczypospolitej usilnie, ażeby odtąd utrapione pospółstwo wolne było od wszelkiego okrucieństwa, w czym, Matko Miłosierdzia, Królowo i Pani moja, jakoś mnie natchnęła do uczynienia tego wotum, abyś łaską miłosierdzia u Syna Twego uprosiła mi pomoc do wypełnienia tego, co obiecuję”.

Po królu, w imieniu senatorów, ten sam ślub złożył podkanclerzy koronny, biskup przemyski Andrzej Trzebicki.

Śluby te Jan Kazimierz powtórzył raz jeszcze w lipcu tego roku pod Warszawą, kiedy przygotowy-

wał się do walki z armią szwedzko-brandenburską. Do dziś wywołują one kontrowersje wśród historyków, którzy przyjmują, iż była to zapowiedź zniesienia pańszczyzny. Niepełniona; jak pisał Władysław Czapliński – „nigdy król nie pomyślał o ich realizacji”.

Czy rzeczywiście była to obietnica zniesienia renty odrobkowej, na której opierała się gospodarka dawnej Rzeczypospolitej? Kontrowersji dodaje to, że tekst ślubów jest po łacinie i najczęściej cytowane jego źródło to „Nowa Gigantomachia...”, pamiętnik ks. Augustyna Kordeckiego, obrońcy Częstochowy przed Szwedami. Napis na tablicy wmurowanej w ścianę katedry pochodzący z 1956 r. jest nieco inny i zawiera obietnicę uwolnienia ludu Królestwa od „niesprawiedliwych ciężarów i ucisków”.

W dosłownej analizie król nie obiecywał zniesienia pańszczyzny, ale uwolnienie pospółstwa oraczów uciemiężonego przez żołnierstwo. Można by to zatem interpretować jako zapowiedź ochrony przed gwałtami tak ze strony Szwedów, jak własnego wojska. A trzeba przyznać, że rabunki armii koronnej, opisane choćby w pracach naukowych Tadeusza Srogosza, mogły być gorszym obciążeniem dla chłopów niż pańszczyzna. Ta bowiem wiązała obie strony – pana i poddanego – i gwarantowała podstawową opiekę ze strony dworu. Królewską obietnicę można tłumaczyć także jako ochronę przed wyzyskiem dzierżawców, którzy niejednokrotnie obdzierali nie swoich poddanych do gołej skóry. Przede wszystkim jednak Janowi Kazimierzowi chodziło o uspokojenie mas chłopstwa, które mogło stać się nieprzewidywalnym żywiołem. © ©



ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Makowiec czy rolada z makiem?

Nie wyobrażamy sobie świąt Bożego Narodzenia bez makowca. To staropolskie ciasto kryje w sobie magię. Ma wiele wariantów – od tradycyjnej rolady wypełnionej makiem, powszechnie znanego makowca na kruchym cieście, do bardziej wyszukanych wariacji, takich jak seromaki czy makowiec japoński z dodatkiem jabłek. Wspaniałe kołoczki makowe z kruszonką piecze się na Śląsku. Nam bardzo smakuje rolada makowa, czyli drożdżowe ciasto obficie wypełnione masą makową z dodatkiem miodu, skórki pomarańczowej oraz bakalii i orzechów.

Makowiec gościł na polskich stołach od dawien dawna. Kiedyś tylko na stołach bardzo zamożnych. Nie każdy na mak mógł sobie pozwolić, był to towar luksusowy.

Mak ma działanie uspakajające, świetnie wpływa na układ pokarmowy oraz pomaga obniżyć poziom złego cholesterolu, oprócz tego zawiera duże ilości potasu i pomaga w utrzymaniu prawidłowego ciśnienia krwi. Nie ma zatem na co czekać, tylko zabierać się do pieczenia przepysznej makowca.

Tradycyjny makowiec na kruchym spodzie

Spód:

- 2½ szklanki mąki krupczatki
- 4 łyżki cukru
- 200 g masła
- 3 żółtka
- szczypta soli
- ½ łyżeczka proszku do pieczenia

Masa makowa:

- 500 g mielonego maku
- 3 szklanki gorącego mleka
- 100 g masła
- ½ szklanki cukru

- 3 jajka + 3 białka
- 5 łyżek kaszy manny
- 4 łyżki miodu

Wszystkie składniki na spód umieszczamy w misce i delikatnie rozdrabniamy palcami do powstania jednolitego ciasta kruchego. 1/4 ciasta odstawiamy w formie kuli do lodówki, resztę możemy rozwałkować na grubość 0,5 cm i wyłożyć do foremki, dokładnie przycisnąć, nakłuć widelcem i włożyć do lodówki, aby się schłodziła. Podpiekamy ok. 15 min w piekarniku nagrzanym do 180 st. C. Studzimy. W tym czasie przygotowujemy masę makową.

Najlepiej kupić suchy mak mielony. Zalewamy mak gorącym mlekiem i zagotowujemy, odstawiamy na 30 min. Odcedzamy z nadmiaru mleka i przekładamy do miski, studzimy. Bakalie zalewamy wrzątkiem, odstawiamy, siekamy na drobne kawałki. Przekładamy bakalie do maku razem ze skórką cytryny i pomarańczy, dodajemy kaszę mannę, roztopione masło, w osobnej misce ubijamy jajka plus żółtka z cukrem na puszystą masę. Wszystko razem mieszamy delikatnie drewnianą łyżką, wykładamy masę na podpieczony spód. Na wierzch ścieramy na tarce schłodzone ciasto, wkładamy do nagrzanego piekarnika do 180 st. C na ok. 50 min. ©©



FOT. ANDRZEJ STOK



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Jeść albo nie jeść

W Ameryce średnio jedna trzecia ludzi zachoruje na raka w pewnym momencie życia – pisze „New York Times”. Gazeta radzi, co jeść, a czego unikać, żeby nie zachorować. Autorzy z grubsza wyliczają wszystko to, co wiemy, tylko zestaw uczonych jest trochę inny. W jadłospisie zalecają zatem: czosnek, brokuły, czerwoną kapustę, pomidory, jagody, orzechy. Omijać należy fast foody, cukier i alkohol.

Wszystkie te prozdrowotne piramidy żywienia znam na pamięć i myślę, że większość jako tako świadomych obywateli ma podobnie. Jednak życie wnosi własny wkład do tych teorii. To taki trochę chichot zza sceny. Pod tekstem znajduje się 270 komentarzy – sporo, jak zwykle pod artykułami o jedzeniu. Rzeczywistość niekoniecznie potwierdza osiągnięcia nauki.

„Odżywiam się bardzo zdrowo i jestem sprawna fizycznie – pisze czytelniczka K. z Atlantis. – A jednak w wieku 41 lat zdiagnozowano u mnie raka. Moi bliscy byli zirytowani. Jak to? Jeśli szczupła, aktywna wegetarianka ma raka, to co może nam się przytrafić? Ale przecież wiadomo, że dieta to tylko jeden z czynników związanych z wystąpieniem raka. Poza nim są: uwarunkowania genetyczne, stres, długie przebywanie blisko zanieczyszczonego środowiska”.

Sama miałam podobny do pani K. z Atlantis przypadek u bliskich znajomych. Mężczy-

zna, od 20 lat wegetarianin, obsesyjnie wręcz dbający o to, co je, zachorował na raka jelita. Nie żyje od roku.

Oczywiście nie piszę tego po to, żeby wykazać, że żywieniowe zalecenia naukowców są tynfa. Ale też bezgraniczna wiara, że nasze życie leży w naszych rękach i że możemy świadomie wpływać na jego długość, jest typowa dla mitologii kompletnie zlaicyzowanego społeczeństwa, które wierzy tylko nauce.

Istnieją dziesiątki anegdot podważających racjonalne przesłanki, najsłynniejsza z nich o Churchill. „Mój doktor mówił mi, że muszę przestać palić, ale zmarł” – mawiał sir Winston, który dożył 91 lat, nie wyjmując z ust cygara i zdrowo pociągając whisky.

W mojej całkiem bliskiej rodzinie pożegnaliśmy nałogowego alkoholika, który zmarł na serce, z wątrobą w dobrym stanie do końca. W naszym kręgu kulturowym najbardziej rozpowszechniona dieta składa się z wódki, piwka, karkówki, kiełbaski, do których od pewnego czasu dołączyły kebab i pizza.

A jednak wielu na tej diecie dożywa późnego wieku, choć nie jedli brokułów. Znam takich na wsi.

Myślę, że każdy w kręgu bliższych i dalszych znajomych ma kogoś, kto niespecjalnie zwraca uwagę na zdrową dietę, lubi się napić, a jak jest głodny w drodze, to i do fast foodu wstąpi. Umiać pilnie poszukiwany. ©©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Suweren globalny

Jak zauważył w swoim wpisie Tomasz Wróblewski, przyszły rok będzie wyjątkowy. Jak już pisałem na swym blogu, będziemy mieli nie tylko kilka kumulacji wyborczych nas interesujących (wybory samorządowe czy do euro-parlamentu), lecz także kilka międzynarodowych, które na nas mogą się odnieść (tak jak już styczniowe wybory na Tajwanie czy listopadowe wybory prezydenckie w USA). Będziemy mieli cały wysyp „mowy suwerena”, czyli – jak naliczył Tomek – wybory w 72 krajach, zamieszkałych przez 4,2 mld ludzi.

Będziemy mieli więc festiwal demokracji w skali globalnej. Ale co to może oznaczać? Co może wynikać z tego, że połowa suwerenna przemówi? Czy cały glob jest poddany jakimś zauważanym przez wyborców procesom, które mogą mieć ujście w formie politycznych decyzji przedstawicielskich? Wydaje mi się, że tak – nasza planeta poddana jest wielu procesom globalnym, jednak jej polityczne dyskutowanie ma dwa aspekty. Pierwszy to taki, że te procesy są czasem wywoływane, a zawsze dyskutowane przez elity, a wtedy w ich pragmatycznym interesie. Druga sprawa to taka, że polityczny konsument wyborczy nie zawsze je sobie uświadamia. Głosuje lokalnie, emocjonalnie, choć procesy, którym jest poddawany, mają charakter jak najbardziej prze-myślany i właśnie globalny.

Jak dowiodły nawet nasze wybory, powody emocjonalne, i to w wydaniu lokalnym, mogą mieć wręcz kontrproduktywne rezultaty. Należy tu przypomnieć, że marksowe „byt kształtuje świadomość” tak naprawdę brzmiało: „Byt społeczny kształtuje społeczną świadomość”. Wielu egzegetów wyciągało stąd – okazało się, że mylny – wniosek, że człowiek będzie wybierał zgodnie z własnym interesem (tu ekonomicznym), gdyż to on kształtuje jego poglądy. A jeżeli jego interes jest bardziej emocjonalny niż bytowy, w sensie materialnym? Jeżeli żyjemy w wieżach własnych (znaczy się wziętych za własne, a w sumie dostarczonych) koherentnych poglądów, to kwestie bytowe odchodzą na dalszy plan. Szczególnie w zasobnych społeczeństwach.

Czy byt realny dogoni kiedyś i przegoni byty wirtualne wyobrażeń? Głosowanie za karę, na złość, na miarę ruiny własnych, np. turowskich, interesów? Wydaje mi się, że tak. Jak pisał Lem, nie da się nakarmić ułudą kiełbasy. Czy dostatanie narody zachodniej Europy w ogóle zareagują na zmniejszanie się ich dobrobytu, który sobie do tej pory gwarantują wyborami opartymi na emocjonalnych wzmożeniach? Wydaje się, że tak. Tylko że dowody na tę tezę przychodziły dotąd rozłożone w czasie. W 2024 r. będziemy mieli kumulację. Woli suwerena. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Unieważnią też straty wojenne?

Zaciekłość, z jaką nowa większość sejmowa wzięła się za likwidowanie Komisji do spraw Badania Wpływów Rosyjskich, a właściwie za odwołanie jej przewodniczącego Sławomira Cenckiewicza i całego składu, ma wymiar symboliczny. Trudno o bardziej przekonujący dowód celności i wiarygodności serialu „Reset”, bo w ujawnionych tam faktach należy szukać przyczyny skwapliwości, z jaką „bohaterowie” produkcji Rachonia i Cenckiewicza przystąpili do odwetu. Filmu nie da się odzobaczyć, a raport, nawet częściowy, i pokazane dokumenty pozostaną w obiegu publicznym, świadcząc o rosyjskiej infiltracji, jakiej poddana była polska polityka za rządów PO/PSL.

Czy taki sam los spotka inną inicjatywę, którą jest parlamentarny zespół do spraw reparacji wojennych, należnych Polsce za straty poniesione podczas drugiej wojny światowej? Czy Instytut Strat Wojennych też zostanie zlikwidowany? Tu obecna większość sejmowa może mieć większy problem. Zakres, rozmiar, sposób realizacji roszczeń i formuła prawna mogą być przedmiotem dyskusji, nawet sporu. Jednak to, co zostało zrealizowane przez zespół ekspertów, jest niekwestionowanym dokonaniem. Raport robi ogromne wrażenie, i to w kilku wymiarach.

Raport podzielony na rozdziały, gdzie osobno są podane straty osobowe, demograficz-

ne, terytorialne, materialne, straty dóbr kultury, straty Skarbu Państwa, bankowości, ubezpieczeń itp. Poczynając od najbardziej bolesnego rozdziału, czyli strat ludzkich, który obejmuje nie tylko 5 219 000 zamordowanych obywateli państwa polskiego (z czego 21 proc. stanowiły dzieci poniżej 10 r.ż.), lecz także kolejne ponad 5 mln obywateli, których Polska straciła na skutek zmiany granic, wywózek, wypędzeń, ucieczek, przesiedleń i emigracji. Do strat demograficznych wliczono 196 tys. ukradzionych dzieci, z czego do Polski po wojnie wróciło tylko 30 tys. Pamiętać należy o ponad 100 tys. zamordowanych obywateli na skutek „Intelligenzaktion”, czyli likwidacji polskiej inteligencji i kadry przywódczej. Liczbę inwalidów i trwale niezdolnych do pracy nie tylko na skutek działań wojennych, lecz także pseudoeksperymentów medycznych raport określa na 590 tys. Łączna kwota strat wyliczona została na ponad 6 bln zł.

Bez względu na to, jak nowa władza podejdzie do kwestii odszkodowań, fakt, że raport powstał, jest ważnym osiągnięciem. Nie tylko mającym potencjał ekonomiczny, lecz także pozwalającym opisać to, co nie było opisywane. Ujmuje w zwięzłej formie ogrom nienawiści i bestialstwa, które wyraziły się w systemowym i przemysłowym projekcie likwidacji Polski z jej zasobami i kulturą w kształcie, w jakim rozwijała się przez 1000 lat. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

CWIERTOK

Sezon na tonące laptopy

Nie ma żadnej afery wiatrakowej, jak by PiS-owcy chcieli. Stop. Marek Suski wszedł na mównicę sejmową i poinformował, że poseł sprawozdawca nie znał ustawy i poprosił jakiegoś tajemniczego pana o odpowiedzi na jawiące się pytania. Stop. Panem okazał się człowiek z kancelarii prawnej obsługującej duże firmy energetyczne. Stop. Posłowie z PiS zaczęli skandować: „Lobbyści, lobbyści!”. Stop. Marszałek Hołownia szuka jakiejś fajnopolackiej riposty. Stop. Żarciki żarcikami, ale może prościej byłoby przegłosować i podać cenę ustawy, widełki, warunki brzegowe etc. Stop. Nie tracilibyśmy czasu i geszeft, przepraszam, prace parlamentu szyby po prostu sprawnie... Stop.

Komendant Bazooka przeszedł na emeryturę. Stop. Znaczą komendant główny policji Jarosław Szymczyk, ten, który odpalił granatnik w siedzibie KGP przy ul. Puławskiej w Warszawie. Stop. Zdemolował kilka pięter i w związku z tym – jak poinformował świat minister Mariusz Kamiński – dostał status pokrzywdzonego. Stop. Okazało się, że prokuratorzy w gabinecie naszego bohatera odnaleźli trzy granatniki i alkohol. Stop. Przeciwno alkoholowi to ja nic nie mam, ale na granatniki to Szymczyk powinien mieć pozwolenie. Stop. Posiadanie broni bez pozwolenia to przestępstwo zagrożone noszeniem pasiaków do lat ośmiu. Stop.

Marianna Schreiber, która, jak pamiętamy, ma ogólnie dość, a teraz to może nawet jeszcze bardziej, poinformowała na platformie X, że zimą padła ofiarą znieczulicy. Stop. Uwaga, bo będę cytował: „Padł mi samochód. Dodatkowo skończyła mi się benzyna”. Stop. Później dodała jeszcze: „Od dziecka interesowałam się motoryzacją, więc moja wiedza o samochodach jest większa, niż możecie się spodziewać”. Stop. Ponieważ mam zasłużoną opinię męskiej szowinistycznej... napiszę tylko, że kobiety są cudowne, nawet gdy dostarczają nam zdziwień łączonych w grupy: „Ale jak to, dodatkowo wtedy benzyny zabrakło?”. Stop.

Redaktor Woś przeprowadził wywiad z redaktorem Żakowskim nie tylko na temat mediów. Stop. I red. Jacek w jego trakcie powiedział o Romanie Giertychu: „Wszedł z tym całym swoim endeckim smrodem do liberalnego salonu i co z tego, że się przebrał, skoro pachnie tak samo?”. Stop. Widywałem się z mecenasem Giertychem wielokrotnie, najczęściej na salach sądowych, choćby jak bronił syna Tuska. Ale czy uwierzą mi państwo, że ja go nigdy nie wahałem? Stop. Nigdy! Stop. Teraz sobie wyrzucam. Stop!

CBA poinformowała prokuratorę, że płyta DVD w sprawie Pegasusa z danymi z telefonu posta Brejzy wzięła i sobie pękła – i już nic na niej nie ma. Stop. Nadchodzi sezon na tonące urzędowe laptopy... © ©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIERONIEWICZ

SPODE ŁBA

Co pokażemy tym filmem?

Zaskakującą nowiną podzielił się przed tygodniem premier Mateusz Morawiecki. Na wniosek byłego już ministra kultury przeznaczył on z rezerwy budżetowej 10 mln zł na „przygotowanie, produkcję i emisję filmu dokumentalnego o odbudowie Pałacu Saskiego, Pałacu Brühla oraz kamienic przy ulicy Królewskiej w Warszawie”. Jak na produkcję filmu dokumentalnego jest to suma rekordowo wysoka. Większość polskich dokumentów filmowych kosztuje ok. kilkaset tysięcy złotych – a więc zaledwie kilka procent tej kwoty. Projekty dokumentalne, których budżet przekracza 2 mln, są w Polsce rzadkością. Zdziwienie budzi wzmianka o zamiarze sfinansowania także emisji filmu. Czyżby, wydając na produkcję fortunę, do emisji też planowano dopłacać?

Jeszcze bardziej tajemnicze wydaje się to, że tak hojnie obdarowana przez odchodzącą władzę produkcja nie może się jeszcze pochwalić ani nazwiskiem reżysera, ani też producentem wykonawczym przedsięwzięcia. Rzecznik prasowy spółki odbudowującej Pałac Saski poinformował tylko, że „za realizację filmu będzie odpowiadał jeden z międzynarodowych koncernów medialnych”. Koncernów takich jest na świecie bardzo wiele. Dowiedzieliśmy się też, że w roli narratora filmu wystąpić ma „światowa gwiazda

filmowa”. Spółka nie zdradziła jednak, o kogo chodzi.

Już w roku 2015 prezes Jarosław Kaczyński zapowiedział zaprzęgnięcie do polskich filmów historycznych światowych gwiazd. Ideę prezesa rozwijał twórczo minister Błaszczak. „Trzeba zatrudnić Cruise’a, Gibsona czy kogoś, kto jest znany na całym świecie. Aktora hollywoodzkiego, który wcieliłby się w postać Polaka w czasie drugiej wojny i pokazał historię” – zapowiadał minister. Prezes Polskiej Fundacji Narodowej uzupełniał po latach: „Mówimy o dwóch produkcjach dotyczących: jeden – pierwszej wojny światowej, drugi – drugiej wojny światowej. Jesteśmy w trakcie rozmów, można to oficjalnie powiedzieć. Zarówno chcemy rozmawiać z Melem Gibsonem i Clintem Eastwoodem na temat tych dwóch produkcji”.

Dziś, niczym łabędzi śpiew odchodzącej władzy, znowu słyszymy zapowiedzi zaangażowania w polskim filmie „światowych gwiazd”. Jak zapewniał w wywiadzie zatytułowanym „Ośiem lat odbudowy” minister Gliniński: „Dużo zrobiliśmy, żeby powstawały produkcje poświęcone polskiej historii. Niekoniecznie jestem usatysfakcjonowany ich jakością, ale jest ich dużo. Spowodowaliśmy olbrzymi skok w filmie dokumentalnym”. Film o Pałacu Saskim wydaje się takim skokiem, olbrzymim i szczególnie zuchwałym. © ©

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Nadzieja w „Królach Arturach”



KRYSZTOF KRATYK

Kilka tygodni temu serca polskich internautów zdobył 28-latek z podłódzkiej wsi Śliwniki. Trafił do serc katolików i ateistów, prawicowców i lewicowców, kobiet i mężczyzn, starszych i młodszych. Zdobył sławę zupełnie inną niż ta, na którą tak łatwo dziś zasłużyć w Internecie – nie nagrał bowiem zabawnego filmiku, nie przewrócił się gdzieś na lodzie, nie odpowiedział „lama” na pytanie o „więcej niż jedno zwierzę”, nie ułożył nawet w jakimś imponującym czasie olbrzymiej liczby puzzli.

Czym zatem zasłynął?

Otóż pan Artur Baranowski wygrał jeden z odcinków teleturnieju. I nie – nie chodziło

gałkę muszkatołową albo z ilu dźwięków składa się akord nonowy. Wiedział zarówno, czy silnik Diesla ma świece zapłonowe, jak i to, że odaliska w sułtańskim haremie jest biała. W trwającej kilka dziesięcioleci historii tego programu nikt nawet nie zbliżył się do takiego osiągnięcia.

Otym sukcesie donosiło już wiele mediów, ale ja chciałem skupić się nie tyle na imponującym występie pana Artura, ile na społecznej nań reakcji. Oto bowiem po raz pierwszy od dawien dawna polskich internautów połączyła nie pogarda do kogoś, ale zachwyt nad kimś. I nie był to wyczyn sportowy, ale intelektualny. Fragment finału omawianego odcinka w Internecie

wulgarności, prostactwa, hołdowania najprostszym popędom i instynktom potrafiemy nadal – i to masowo – ulec czarowi czyjejś wiedzy i wysiłku intelektualnego. Że imponuje nam człowiek spokojny, wyważony i ocytany. Że on sam nie zechciał zostać celebrytą i w żaden medialny sposób nie konsumuje swoich „pięciu minut sławy” i że publice ta postawa nie tylko nie przeszkadza, lecz także wręcz budzi podziw. Że w skrajnie egalitarnych czasach nagle na moment powróciła hierarchia społeczna, a anonimowe masy „Panem” tytułują kogoś, kogo instynktownie uznały za, w jakiś sposób, lepszego od siebie.

Reakcja na sukces pana Artura Baranowskiego to swego rodzaju jutrenka nadziei dla – trwającej w ciemnej nocy – oceny polskiego społeczeństwa Anno Domini 2023, którego ulubioną książką przez wiele miesięcy była kolejna edycja erotycznego romansidła, ulubionym serialem tasieniem o stale wydzierającej się na siebie rodzinie, ulubionym filmem na YouTube od lat pozostaje facet przebrany za pajaka straszący ludzi w windzie, którego jedną z reprezentantek – po raz kolejny – została Klaudia Jachira i którego 77 proc. utrzymuje, że działania Brukseli na rzecz demokracji i praworządności są dobre lub bardzo dobre dla Polski.

Społeczeństwa, które nadal w jakimś procencie czyta „Gazetę Wyborczą”, którego to felietonista jako jedyny w Polsce postanowił zdystansować się od masowego podziwu dla pana Artura, gdyż przecież bohater teleturnieju nie wykazał się rzekomo posiadaniem realnej wiedzy, ale „jedynie informacji”. ©

Pierwszy raz od dawien dawna polskich internautów połączyła nie pogarda do kogoś, ale zachwyt nad kimś.

I nie był to wyczyn sportowy, ale intelektualny

o teleturnieju, w którym śpiewa się piosenki, przebiera za celebrytów, tańczy z gwiazdami ani pokonuje się wymyślne tory przeszkód. Zwyciężył w odcinku teleturnieju „Jeden z dziesięciu” – pozostającego dziś jednym z nielicznych telewizyjnych show, w którym liczy się szeroka wiedza ogólna.

Ale nie było to zwyczajne zwycięstwo – ekonomista ze Śliwnik odpowiedział bowiem na wszystkie pytania, bez cienia udawanej pokory, prosząc, by każde kolejne zadano jemu, a nie współzawodnikom. W siedem minut bezbłędnie i bezemocjonalnie odpowiedział na 40 pytań, w tym o to, czym są fraktale, z czego wytwarza się

odtworzono ponad 3 mln razy, wśród dziesiątek tysięcy komentarzy i setek memów bohater programu nazywany jest „Królem Arturem”, a wśród użytkowników sieci – nagle, w sposób zupełnie niesterowany, niekontrolowany, ale spontaniczny i odruchowy, nieomal bezwiedny – zwycięzca odcinka zaczął być tytułowany per Pan. A doskonale zdajemy sobie sprawę, jak rzadkie jest to w dzisiejszym „dyskursie” internetowym.

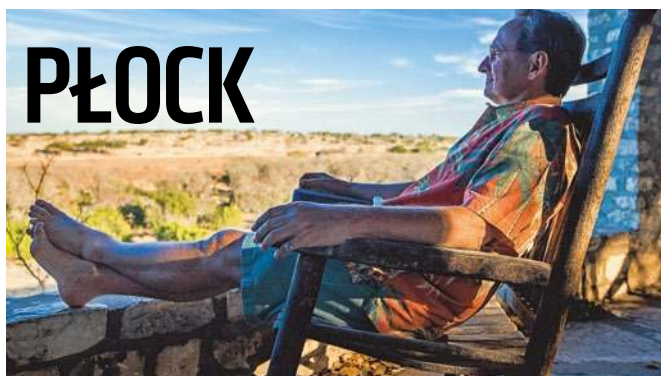
Niezwykle ucieszyła mnie ta reakcja Polaków, i to z wielu powodów. Okazało się bowiem, że w dobie nieustannej medialnej promocji bezdennej głupoty, chamskich dowcipów,

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Osama bin Laden – terrorysta; mordował Amerykanów. Jako ofiary interesowali go głównie cywile. Był na listach terrorystów poszukiwanych do zastrzelenia bez sądu. Przed śmiercią mieszkał w Pakistanie. To nie była nora w ziemi, lecz dom położony w popularnym kurorcie turystycznym. Wraz z bin Ladenem mieszkały jego trzy żony i dzieci. Po tym, gdy amerykańscy komandosi go zastrzelili, pakistański sąd skazał trzy wdowy po bin Ladenie na 45 dni więzienia za nielegalny pobyt w Pakistanie. Ha, ha...

Pakistan to sojusznik USA, był wtedy i jest nim nadal. Pakistan to kraj, z którym także Polska utrzymuje dobre stosunki – z Pakistanu do Płocka sprowadzamy tysiące robotników. Gdy wychodzą na spacer, ludzie się boją. Spacerują w grupach po 10–15, sami mężczyźni, a wiadomo, jak w ich kulturze traktuje się kobietę – jak własność, jak przedmiot, jak kożę, konia czy kanarka w klatce. Karmisz, czasami lubisz lub nawet kochasz, ale to nadal tylko zwierzątko, samiczka, a nie tej samej wartości osoba co mężczyzna muzułmanin.

Czy godzi się łączyć te dwie sprawy – pakistańską willę bin Ladena oraz tysiące pakistańskich mężczyzn sprowadzonych do Płocka? Godzi się! Rozmowa o zagrożeniach nigdy nie jest przyjemna, a unikanie tematu nie jest dobre. Udawanie, że ci pakistańscy robotnicy nie pochodzą z kultury, która popiera działania bin Ladena, oraz że nie mają hormonów



FOT. W. CEJROWSKI/UDJARDASAW.SUSNICKI

męskich, gdy ruszają na spacer po polskim mieście – udawanie tego wszystkiego nie jest bezpieczne. Gdyby to nie byli muzułmanie, lecz Polacy, to też byłaby sytuacja groźna. Tysiące młodych mężczyzn skoszarowanych w miasteczku kontenerowym. Czy ktoś uważa, że gdy ruszają na miasto, to są już wyżyci czy niewyżyci? Nadal piszę o Polakach! Czego byś się bał w Płocku, mając miasteczko kontenerowe pełne młodych POLSKICH chłopaków? Że będą po pracy chlać i robić burdy na mieście? Że ci zbałamucą córkę? Że się zaczną bić z miejscowymi? Że będą kradli? Czego byś się bał? Tak zwyczajnie – w ramach zdroworozsądkowych rozważań wewnątrz naszej kultury ogólnie chrześcijańskiej, którą rozumiesz i którą oni rozumieją tak samo jak ty, i pewne rzeczy wynieśli z domu i ich nie robią lub gdy nawet robią, to rozumieją, że tak robić nie należy, nie wypada, nielegalne...

A teraz: Czego byś się bał, gdyby ci chłopacy nie byli Polakami i z powodu wyznania muzułmańskiego mieli zupełnie inne zasady dotyczące tego, co wypada, a czego nie, co legalne, a co nie?

Dwadzieścia lat temu bin Laden napisał „List do Ameryki”, w którym wyjaśnił, czemu organizuje zamachy. Z grubsza chodzi o to, że Ameryka jest zła, więc Osama ją zwalcza, a islam jest dobry, więc mamy się wszyscy na-

wrócić na islam. Dwie proste tezy plus garść przykładów.

Młodzi w USA zaczytują się obecnie tym listem, bo jest tam wspomniana Palestyna, działania Izraela nazwane są okupacją i nieszczęściem dla ludu arabskiego, istnienie Izraela jest „zbrodnią”, a Amerykanie są przywódcą całego procederu. Bin Laden dodaje, że każdy, kto przyczynił się do zaistniałej sytuacji, musi za nią zapłacić.

Manifestacji propalestyńskich w USA, Europie, a nawet w Polsce przybywa. Potrzebne są jakieś hasła. Skąd je brać? No... to może z listu bin Ladena.

Manifestujący poparcie dla Palestyny nie rozumieją tamtego kontekstu, bo ich jeszcze wtedy na świecie nie było, ale list o tym, jak okropna jest Ameryka i jak ją trzeba doszczętnie zniszczyć, im się podoba. Mocny, rewolucyjny, pobudniczy. Czytają z wypiekami na twarzy, popierają całym sercem, szukają bin Ladena, wielu myśli, że nadal żyje, bo te słowa tak pasują do obecnego kontekstu, jakby były pisane wczoraj.

Jedno z haseł: Wolna Palestyna – od rzeki do morza. Co to znaczy „od rzeki do morza”? To znaczy likwidację państwa Izrael – jeden z postulatów bin Ladena. Państwo Izrael ma zniknąć, aby mogła na jego terenie zaistnieć Palestyna od rzeki do morza. Żadnej koegzystencji, żadnych kompromisów w rodzaju dwa państwa.

Ktoś macha takim transparentem i nie myśli, co w takim układzie zrobi z tymi wszystkimi Żydami, którzy obecnie mieszkają pomiędzy rzeką a morzem i jest ich ponad 9 mln. Palestyna ma być wolna, a o tym, co robić z Żydami, nie dyskutujemy. Hm. Gdybym był Żydem, to akurat ten aspekt interesowałby mnie najbardziej: Co ludzie popierający wolną Palestynę zamierzają zrobić z tymi wszystkimi Żydami? Wysiedlić? Dokąd? A może wybić, jak to planował Hitler w ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej.

Jeżeli ich propozycja to wysiedlenie, to od razu zawiadamiam, że łatwiej wysiedlić 5 mln ludzi niż 9 mln. Statystycznie mniej krzywdy, czyli bardziej „wydajnym” rozwiązaniem byłoby wysiedlenie Palestyńczyków, których jest ok. 5 mln, niż Żydów, których jest ponad 9 mln.

„Wolna Palestyna” – co to znaczy? Czy w wolnej Palestynie będą obowiązywały takie same wolności obywatelskie jak w USA? Nie, bo Ameryka jest zła i nie powielamy tego modelu. Jakie w takim razie prawa będą mieli obywatele wolnej Palestyny? Takie jak w innych państwach arabskich. Kobieta będzie mogła być ukamienowana. Całą masę rzeczy będzie jej wolno robić jedynie z zezwoleniem od męża. I proszę zapomnieć o niektórych zawodach oraz dyscyplinach sportu.

Czy ktoś z manifestujących chciałby mieszkać w tej Wolnej Palestynie, o którą walczą? Wolna Palestyna oznacza kolejne państwo islamskie. Palestyńczycy mają obecnie więcej praw jako obywatele Izraela niż u siebie, jako obywatele Autonomii Palestyńskiej. ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE
KSIAŻKI

KS. PATRICK J. PEYTON:
„WSZYSTKO DLA NIEJ”,
SOHRAB AHMARI: „NIEZERWANA NIĆ”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

217,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 315 zł

~~532 zł~~

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 9b7ea0e038

LIDO
JURATA

Jeśli Bałtyk, to Jurata,
jeśli hotel, to Lido!

KUP APARTAMENT NAD MORZEM I ZARABIAJ

70%
zysku
dla właściciela

**Pobyt
właścicielski
bez ograniczeń**

tylko
30%
wpłaty
przy zakupie

Dowiedz się
więcej



lidojurata.pl
+48 222 645 279